

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**DONATIEN ALPHONSE FRANÇOIS
DE SADE**

ZBRODNIĘ MIŁOŚCI

«LES CRIMES L'AMOUR»

**TYTUŁY ORYGINAŁÓW
«FLORVILLE ET COURVAL»
«EUGENIE DE FRANVAL»**

PRZEŁOŻYŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ JERZY ŁOJEK

ZE ZBIORU «LES CRIMES DE L'AMOUR»

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Twórczość literacka i filozoficzna markiza de Sade jest w dziejach myśli ludzkiej zjawiskiem wyjątkowym, i niezwykłym nie tylko ze względu na jej cechy immanentne, ale również z powodu niezwyklej i dramatycznej ewolucji pojęć i ocen jej dotyczących, która nastąpiła w sto lat po śmierci osławionego pisarza i myśliciela. Za życia i przez cały wiek XIX Sade uchodził powszechnie za szaleńca ogarniętego manią Zła, propagatora zbrodni, którego imaginacja, wsparta reminiscencjami ze swoich rzekomych własnych przeżyć i doświadczeń, płodziła odrażające wizje okrucieństwa i upodlenia człowieka, celem perwersyjnego rozkoszowania się kultem Zła. Dzieła Sade'a tropiono i niszczone ze zdumiewającą zawziętością, zepchnięte zostały do literackich podziemi i dzielić musiały losy utworów pornograficznych, do których pośpiesznie je zaliczono. Co prawda, idee i wizje Sade'a fascynowały i niepokoiły ludzi XIX wieku tak dalece, że trudno było jego pisma skazać po prostu na zapomnienie. W roku 1834 Jules Janin przestrzegał na łamach „Revue de Paris” przed niebacznym zainteresowaniem dziełami potępionego pisarza ubolewając: „Nie oszukujcie się, markiz de Sade jest wszędzie! Znaleźć go można we wszystkich bibliotekach, w ukryciu na półkach pełnych tajemnic; to jedna z tych książek, które stawia się zazwyczaj za świętym Janem Chryzostomem, *Traktatem o moralności* Nicole'a albo *Myślami* Pascala. Zapytajcie któregośkolwiek z notariuszy, w ilu to inwentarzach sporządzanych po śmierci testatorów nie umieszczali dzieł markiza de Sade!” Dopiero w ostatnich latach wnikliwe studia nad twórczością wielu wybitnych pisarzy epoki romantyzmu i naturalizmu udowodniły, jak szeroki i twórczo zapładniający był ówczesnie wpływ idei i koncepcji artystycznych Sade'a. Niemniej jednak przez całe prawie stulecie dzieła markiza uchodziły powszechnie za rodzaj drastycznego *curiosum* literackiego, którego traktować mogli poważnie tylko psychiatrzy i seksuolodzy. Poza kilku mniejszymi utworami o drugorzędnym znaczeniu dzieła Sade'a nigdzie nie ukazywały się legalnie; wznawiane były przez pokątnych księgarzy jako przedmiot spekulacji i sprzedawane poufnie jako najskandaliczniejsza literatura obsceniczna.

Zwrot ku poważnemu zainteresowaniu koncepcjami filozoficznymi i wizją artystyczną Sade'a nastąpił dopiero w początkach naszego stulecia. W roku 1909 Guillaume Apollinaire pisał: „Wydaje się, że nadejdzie godzina dla tych idei, które dojrzywały w niesławnej atmosferze rozmaitych bibliotecznych piekieł, i człowiek ten, który był niczym przez cały wiek XIX, może zapanować nad wiekiem XX.” Słowa te mogły się wydawać przekorną demonstracją subiektywnych poglądów wielkiego poety, zirytowanego negatywnym stosunkiem opinii publicznej do spuścizny człowieka, którego uważał za jednego z największych myślicieli i pisarzy w dziejach ludzkości; jednakże już w ćwierć wieku później przepowiednia ta zaczęła się sprawdzać. Zainteresowanie życiem i twórczością Sade'a – i to z wielu punktów widzenia: historii literatury, historii myśli społecznej, stosunków społecznych i obyczajów, filozofii, seksuologii, psychologii – rosnąć poczęło w wielu krajach Europy i w Ameryce z niespodziewaną siłą. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza powstało kilkaset prac naukowych, poświęconych rozmaitym aspektom ideologii i twórczości Sade'a oraz wpływom jego idei na rozwój koncepcji literackich i filozoficznych XIX i XX wieku. Wokół wartości i sensu moralno-filozoficznego jego dzieł trwają ciągle dyskusje, chociaż drastyczne obscena, zawarte w najwybitniejszych utworach markiza, utrudniają, a nawet zupełnie uniemożliwiają szersze ich upowszechnienie.

Jednakże spuścizny literackiej Sade'a nikt już dzisiaj nie może ignorować. I to właśnie jest największym triumfem pisarza, który przed półtora wiekiem umierał w szpitalu w Charenton, skazany nie tylko na wzgardę i potępienie współczesnych i potomnych, ale również na wieczne – zdawało się – zapomnienie, na całkowitą banicję z historii francuskiej literatury.

Donatien-Alphonse-François markiz i hrabia de Sade urodził się w Paryżu dnia 2 czerwca 1740 roku. Pochodził ze wspaniałego rodu prowansalskiego, korzeniami swoimi sięgającego XIII wieku, bardzo już jednak zubożałego. W czasie wojny siedmioletniej (1756-1763) był oficerem kawalerii i odbył paroletnią kampanię. Po powrocie do Paryża zasłynął ze skandalicznego, rozpustnego trybu życia, a przede wszystkim z ostentacyjnego nonkonformizmu ideowego: był zdecydowanym materialistą i ateuszem, drwił z chrześcijańskiej moralności, jako zdecydowany libertyn uważał poszukiwanie rozkoszy zmysłowej za istotny cel życia człowieka. Był jednocześnie człowiekiem o usposobieniu filozoficznym i refleksyjnym; wcześniej zaczął tworzyć swój niezwykle, arcy pesymistyczny system filozofii, którego osią będzie koncepcja okrutnej i niszczycielskiej Natury, inspirującej człowieka (przez wszczepione w jego świadomość i podświadomość popędy) przede wszystkim do zła i zbrodni, składającej każdą jednostkę ludzką do szukania wokół siebie, w każdej dziedzinie (również w dziedzinie stosunków seksualnych), nie partnera, ale ofiary...

Pod naciskiem rodziny Donatien de Sade poślubił Renatę Pelagię de Montreuil (1763), córkę prezydenta jednej z izb sądowych parlamentu paryskiego. Wszedł w rodzinę niedawno uszlachconą, pełną „nuworiszowskich” kompleksów i ambicji, bogatą i wpływową, która z szacunkiem patrzyła na tarczę herbową młodego oficera. Ale poglądy i tryb życia markiza de Sade doprowadziły rychło do konfliktu; największego wroga zyskał w matce swej żony, kobiecie dość ograniczonej, ale energicznej i wpływowej; prezydentowa de Montreuil przez ćwierć wieku będzie główną inspiratorką wszystkich jego niedoli; ona to właśnie wyrobi dla niesforemego zięcia królewski *lettre de cachet* i spowoduje jego kilkunastoletnie uwięzienie.

Prezydentowej de Montreuil zawdzięczał Donatien de Sade, że jego ekscesy – na tle obyczajów epoki w końcu nie tak niezwykle – zyskały w całej Francji ponury rozgłos. W roku 1768 zwabił do swojej willi w Arcueil pod Paryżem niejaką Różę Keller, trzydziestosześcioletnią kobietę o dwuznacznej reputacji, i poddał ją wyrafinowanej chłóście. Stało się do w dzień Wielkanocy, oskarżony więc został o bluźniercze parodiowanie Męki Pańskiej. Musiał opuścić Paryż i zamieszkać w swoim prowansalskim majątku, La Coste. Ale w roku 1772 został (zresztą zupełnie bezpodstawnie) oskarżony w Marsylii o „sodomię” i otrucie kilku prostytutek. Skazano go zaocznie na karę śmierci, musiał zbiec za granicę, ukrywał się we Włoszech; wskutek starań pani de Montreuil został aresztowany i uwięziony w alpejskiej twierdzy Miolans, skąd zresztą uciekł po kilku miesiącach. Podróżował po Włoszech, wrócił wreszcie do Francji. W roku 1777 osadzony został w królewskiej twierdzy Vincennes. Przesiedział w więzieniu (od roku 1784 w Bastylii) aż do pierwszych lat Rewolucji.

W więzieniu zaczął pisać. Twórczość jego wyrastała z najbardziej radykalnego nurtu francuskiego Oświecenia, nawiązywała do idei i postaw moralnych, które nazywano wtedy najogólniej libertynizmem, do najdalej idących koncepcji materialistycznych. Była zarazem negacją tego wszystkiego, co Wiek Oświecony uznał za swój najważniejszy drogowskaz ideowy. Koncepcje Sade’a były skrajnie pesymistyczne, pozostawały w zasadniczej sprzeczności z wizją Natury pogodnej, dobroczynnej i sprzyjającej rodzajowi ludzkiemu, który doprowadziwszy swą egzystencję do zgodności z jej zasadami mógłby dzięki temu osiągnąć pełną szczęśliwość – jak to głosili najślawniejsi filozofowie epoki Oświecenia. Wykład doktryny filozoficznej i moralnej markiza de Sade nastęrcza zresztą poważne trudności. Sade prawie nigdy nie przemawiał wprost od siebie; zasadnicze wypowiedzi wkładał w usta swoich bohaterów, z reguły postaci moralnie odrażających i przedstawionych w sytuacjach doszczętnie je kompromitujących; z wypowiedziami ich podejmował (przynajmniej pozornie) zasadniczą polemikę. Nikt dotąd nie zdołał jeszcze wykazać, jak dalece pisarz solidaryzował się z doktrynami swoich bohaterów i po dziś dzień pozostaje kwestią sporną, czy idee im przypisane można bez zastrzeżeń uznać za jego własne, za wyraz jego rzeczywistych poglądów. Wszystkie dyskusje filozoficzne; przedstawione w najważniejszych dziełach Sade’a, obracały się wokół idei Natury, pojmowanej jako zespół czynników biologicznych, fizycznych i po części

społecznych, determinujących bezwzględnie egzystencję wszystkich istot żyjących, a przede wszystkim człowieka. Odrzucając ideę Boga jako nierozumną i społecznie szkodliwą fikcję, Sade przyznawał jego rolę w świecie właśnie wszechmocnej Naturze. Natura ta jest – z punktu widzenia człowieka – okrutna i zbrodnicza, ale jakkolwiek opór wobec jej wskazań i nakazów jest bezcelowy i bezsensowny. Natura dąży do utrzymania nieustannego ruchu i zmienności w świecie; unicestwianie bytów już istniejących, aby ze składającej się na nie materii tworzyć byty nowe, jest istotą jej aktywności. Dlatego też człowiek podejmujący dzieło zniszczenia spełnia właśnie wolę Natury i idzie za jej wskazaniem. Nagrodą za posłuszeństwo tej wszechmocnej inspiracji, którą otrzymuje z rąk Natury, jest indywidualna satysfakcja, której najwyższym stopniem jest fizyczna rozkosz. Poszukując owej rozkoszy, bez względu na jej społeczną cenę, a raczej właśnie za cenę gwałcenia norm życia społecznego, istota ludzka, zdolna pojąć najwyższe wskazania Natury, służy najlepiej jej woli. Zresztą z punktu widzenia Natury wszystkie czyny ludzkie – cnotliwe czy zbrodnicze – są jednak obojętne i nie mają żadnej moralnej wartości. Natura jest „okrutną macochą” ludzkości, ale właśnie dlatego wszystkie skłonności i popędy człowieka trzeba uznać za całkowicie równoprawnione. Natura nie może działać przeciwko samej sobie; człowiek nie może mieć w swojej psychice niczego, co by od niej nie pochodziło; a więc zaspokojenie wszystkich potrzeb i realizacja wszelkich popędów człowieka – choćby najdziwniejszych i najbardziej szokujących – jest nakazem Natury. Natura inspiruje człowieka do zła i zbrodni; na tym polega tragiczny dylemat losu ludzkiego. Idąc za wskazaniem Natury człowiek wyzwala się wewnętrznie i spełnia swoje powołanie, ale musi wejść w konflikt z prawami społeczeństwa, opartymi po części na niewiedzy ludzkiej, po części zaś na spisku indywidualów słabych i przeciwnych przeciwko tym nielicznym, którzy pojęli sens świata. Szanując prawa społeczne człowiek staje w sprzeczności z Naturą i sam siebie unieszczęśliwia... Zresztą szanować te prawa człowiek może tylko w takim stopniu, w jakim zezwala mu na to Natura; albowiem wszystkie czyny ludzkie są absolutnie zdeterminowane przez Naturę i jednostka ludzka nie może ponosić za nie żadnej odpowiedzialności. Idea wolnej woli i indywidualnej odpowiedzialności za swoje czyny jest w tym układzie pojęć absurdalna i bezsensowna.

Z tej ogólnej, bardzo zresztą rozbudowanej i nie zawsze jednoznacznej doktryny filozoficznej wynika konsekwentnie głoszona przez bohaterów Sade’a koncepcja seksualizmu. Dążąc do wprowadzenia w świat zewnętrzny zmian o największym nasileniu, istota ludzka osiąga maksimum satysfakcji seksualnej dzięki najgłębszemu poruszeniu jestestwa partnera. A wrażeniem, które wstrząsa najsilniej, jest przeżycie bólu. Dlatego też źródłem najgłębszych przeżyć seksualnych jest okrucieństwo. Przeżycia te osiągają swoje apogeum w momencie wprowadzenia do świadomości istot ludzkich, połączonych jakimkolwiek kontaktem o charakterze seksualnym, pierwiastka okrucieństwa, terroru, grozy, lęku, przymusu, gwałtu. Zjawiska te są źródłem najgłębszych wzruszeń przede wszystkim dla ich sprawcy, który osiągając pełnię władzy karzącej czy niszczycielskiej nad drugą istotą wyzwala się całkowicie i realizuje najwyższe wskazania Natury. Ale mogą być również źródłem ekscytacji i rozkoszy dla istoty zagrożonej unicestwieniem, poddanej męce i bólowi, która w ten właśnie sposób zdolna jest ze swej strony wypełnić nakaz Natury, oddającej zawsze istotę moralnie słabszą na pastwę istoty psychicznie silnej, doskonalszej... Studia nad zachowaniem seksualnym istot ludzkich będą przez całe życie jedną z głównych pasji Sade’a a elementy seksu przepajają w mniejszym lub większym stopniu wszystkie jego dzieła, dochodząc czasami do takiego nasilenia, że po dziś dzień są – w połączeniu zresztą z problemami ściśle moralnymi i etycznymi – przyczyną poważnych kontrowersji i wątpliwości dotyczących wpływu i sensu udostępniania szerszemu ogółowi dzieł Sade’a.

Poza kilkudziesięciu opowiadaniem i utworami dramatycznymi oraz pierwszymi zarysami swoich słynnych później powieści Sade napisał w więzieniu głośne wyznanie wiary ateisty: *Dialog między księdzem a umierającym* (wydany dopiero w 1926 roku) oraz niezwykle stu-

dium psychopatologii seksualnej – *120 dni Sodomy, czyli Szkoła libertynizmu* (wyd. 1905). Rękopis tego ostatniego dzieła utracił zresztą w chwili opuszczenia Bastylli i przekonany był, że zostało ono zniszczone; uważał to za stratę niepowetowaną i przez resztę życia starał się odtwarzać elementy tego utworu w swoich następnych dziełach.

Markiz de Sade uwolniony został z więzienia (przez ostatni rok przebywał w zakładzie specjalnym w Charenton) dopiero w kwietniu 1790 roku. Przez cały okres Rewolucji przebywał w Paryżu, chociaż synowie jego emigrowali. W roku 1791 wydał pierwszą wersję swojej słynnej powieści filozoficznej *Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty*. Żył w niedostatku, chronił się przed prześladowaniami politycznymi, demonstrując swoje patriotyczne uczucia w broszurach politycznych i wystąpieniach na jednym ze zgromadzeń dzielnicowych ludu Paryża, tzw. Sekcji Pik. Mimo to nie uniknął uwięzienia. Aresztowany został 8 grudnia 1793 roku i przez kilka miesięcy wisiała nad nim groźba gilotyny. Należał do grupy więźniów, którzy stanąć mieli przed rewolucyjnym trybunałem w dniu 27 lipca 1794 roku czyli 9 termidora roku II... Ocalił go przed śmiercią dokonany w tym dniu antyjakobiński zamach stanu, kończący epokę rewolucyjnego terroru we Francji.

Wyszedł na wolność w październiku 1794 roku. Przez kilka następnych lat żył z pióra. Wydał powieść filozoficzną *Alina i Valcour* (1795), w której przedstawił między innymi wizję idealnego ustroju społecznego, opartego na zasadach swojego rodzaju utopijnego socjalizmu oraz zbiór dialogów pt. *Filozofia w buduarze* (1795). Przystąpił wreszcie do pracy nad nową wersją *Justyny*, znacznie poszerzoną i wzbogaconą o drugą część, *Historię Julietty*.

Nowa Justyna i Historia Julietty ukazały się anonimowo w roku 1797, w dziesięciu niewielkich tomach. Jest to największe i najważniejsze dzieło w całym dorobku literackim markiza de Sade. Ta okrutna opowieść o dziejach dwóch sióstr – uparcie wyznającej światopogląd chrześcijański, usiłującej iść zawsze drogą cnoty, i właśnie dlatego nieszczęśliwej i prześladowanej Justyny oraz triumfującej zawsze zbrodniarki Julietty – zawiera wykład całej filozofii Sade'a przedstawionej w wypowiedziach poszczególnych bohaterów prześladowców Justyny i współników Julietty. Zawiera również olbrzymie bogactwo studiów i obserwacji z zakresu psychopatologii seksualnej, przedstawionych z obsceniczną brutalnością, ale wplecionych integralnie w strukturę dzieła. Jest to utwór szokujący i drastyczny, a jednocześnie przewrotny i sugestywny, pełen niezwykłych, zaskakujących wizji, oscylujących często na granicy realizmu i nadrealizmu... *Nowa Justyna i Historia Julietty* cieszyły się w czasach Dyktoriiu znaczną poczytnością, później jednak zostały skazane na zejście do literackich podziemi; dopiero w ostatnich latach stały się przedmiotem poważnego zainteresowania historyków i krytyków literatury.

Sade niedługo przebywał na wolności; w marcu 1801 roku został znowu aresztowany. Przypuszczano do niedawna, że powodem tego uwięzienia był przypisywany mu drastyczny pamflet obyczajowy pt. *Zoloe i jej dwie akolitki*, wymierzony przeciw żonie Pierwszego Konsula, Józefinie Beauharnais, ale w świetle nowszych badań hipoteza ta okazała się błędna. Sade nie miał nic wspólnego z tym utworem i o jego autorstwo nie był ówczesnie podejrzewany. Jednakże na wolność już nie wyszedł; resztę życia spędził w więzieniu, początkowo w Sainte-Pélagie i Bicêtre, a od kwietnia 1803 roku w zakładzie specjalnym w Charenton.

Był to oficjalnie dom zdrowia dla umysłowo chorych, w rzeczywistości zaś coś w rodzaju obozu dla osób, które ze względów politycznych czy obyczajowych nie powinny – zdaniem władz – pozostawać na wolności, ale którym trudno było wytoczyć proces kryminalny. Regulamin w Charenton był stosunkowo łagodny. Korzystając z tego Sade kontynuował pracę pisarską, zajmował się również teatrem, organizując przedstawienia amatorskie, na które przybywali często goście z Paryża. Jednakże zbyt głośno o tych imprezach i jakiś skandal, wywołany przez jedno z przedstawień latem 1808 roku, skłoniły administrację zakładu do pozbawienia markiza dotychczasowej względnej swobody. Od tej chwili otoczony został surowym nadzorem, który utrzymano aż do chwili jego śmierci.

Donatien de Sade zmarł w Charenton dnia 2 grudnia 1814 roku. Po jego śmierci zniszczono większość pozostawionych w rękopisach dzieł, które stworzył w ciągu kilkunastu lat internowania. Syn markiza, Donatien-Claude-Armand de Sade, starał się za wszelką cenę zatrzeć pamięć o życiu i twórczości swojego ojca. Współcześni i potomni uznali jego dzieła za haniebną pornografię i dowód zbrodniczego wynaturzenia umysłu, zarażonego straszliwymi doktrynami materializmu i ateizmu, za przejaw szaleństwa imaginacji, podsycanej okropnymi wspomnieniami z własnego „zbrodniczego” życia.

W całym dorobku pisarskim Sade’a twórczość nowelistyczna ma znaczenie drugorzędne, ale warta jest na pewno wnikliwego zainteresowania. Sade dzielił wyraźnie swoje dzieła na dwa rodzaje: w jednych (wydawanych wyłącznie anonimowo albo zachowanych w rękopisach), których autorstwa do końca życia się wypierał, wykladał całą swoją doktrynę; w innych zaś, dzięki którym spodziewał się pozyskać uznanie literackiej opinii publicznej, przedstawiał bardzo złagodzoną wersję swojego systemu filozoficznego. Do pierwszej grupy należą wszystkie wielkie powieści Sade’a (z wyjątkiem *Aliny i Valcoura*), do drugiej zaś utwory dramatyczne (pozbawione zresztą większej wartości) oraz opowiadania różnego rodzaju, których w ciągu życia napisał ponad 50, z czego zachowało się do dzisiaj 37.

Wszystkie prawie opowiadania Sade’a (a przynajmniej pierwsze ich zarysy) powstały w Bastylji w latach 1785–1789. Po odzyskaniu wolności markiz zamierzał wydać je w dwóch lub trzech zbiorach, które miały nosić tytuły: *Contes et Fabliaux du XVIIIe siècle par un troubadour provençal*, *Le Portefeuille d’un homme de lettres*, *Le Boccace français* lub *Les Crimes de l’Amour*. Za życia autora ujrzał światło dzienne jedynie zbiór oznaczony tym ostatnim tytułem (1800). Weszło doń 11 opowiadań – obszerniejszych i osnutych wokół dramatycznych wątków fabularnych – którym dzisiaj przysługiwałoby raczej miano nowel. Reszta pozostała w rękopisach przez całe stulecie. W roku 1881 staraniem Anatola France’a ogłoszono jedno z nie publikowanych dotąd opowiadań Sade’a, *Dorci OU la Bizarrierie du sort*. Resztę, 25 pozycji, wydał dopiero w 1926 roku znakomity badacz życia i twórczości markiza de Sade, Maurice Heine, pt. *Historittes, Contes et Fabliaux*.

Nowele ze zbioru *Zbrodnie miłości* są studiami psychologicznymi, ukazującymi tragizm losów człowieka uwikłanego w konflikt między własnymi nieokiełznanymi namiętnościami a wskazaniami przyjętego w społeczeństwie systemu norm etycznych i moralnych. Wartość artystyczna tych utworów jest zresztą nierówna, a ogólnie stwierdzić można, iż opowiadania osnute na tle anegdot historycznych (jest ich w tym zbiorze cztery) znacznie ustępują nowelom o tematyce współczesnej, osiemnastowiecznej, wśród których dwie uchodzą dzisiaj za warte włączenia do każdej większej antologii nowelistyki światowej. Są to właśnie *Floryville i Courval* oraz *Eugenia de Franval*.

We wszystkich prawie swoich dziełach Sade poświęcał wiele uwagi problemowi umowności wszystkich znanych z historii myśli ludzkiej systemów moralnych. System norm moralnych, któremu zmuszeni jesteśmy się podporządkować, nie ma – zdaniem Sade’a – żadnego obiektywnego uzasadnienia, ani transcendentnego, ani racjonalnego. Jest po części zupełnie przypadkowym, po części zaś ukształtowanym historycznie zbiorem nakazów i zakazów, które dziedziczymy z pokolenia na pokolenie, nie mogąc oprzeć się sile tradycji, chociaż – jak wyobrażał sobie markiz – rozumnego uzasadnienia dla większości tych norm znaleźć nie sposób. Najlepszym na to dowodem jest fakt rozbieżnej oceny moralnej tych samych postaw lub czynów ludzkich w rozmaitych społeczeństwach, zależnie od miejscowych warunków naturalnych ich egzystencji i własnej tradycji historycznej. Regulujący życie społeczne system norm moralnych (Sade atakował tu przede wszystkim moralność chrześcijańską) prowadzi nieuchronnie ku unieszczęśliwieniu znacznej liczby istot ludzkich. Teza ta jest puentą obu przedstawionych poniżej opowieści Sade’a. „Czemu nieszczęsna Florille – pyta autor – istota najcnotliwsza i godna prawdziwego szczęścia, przez niepojęty zbieg fatalnych okoliczności

musi okazać się najpotworniejszym monstrem, jakie kiedykolwiek stworzyła Natura”? To retoryczne pytanie nie znajduje w noweli odpowiedzi i – jak wyraźnie sugeruje autor – znaleźć jej w ogóle nie może. Jest bowiem tragicznym skutkiem obowiązującego w naszym świecie, zupełnie konwencjonalnego systemu moralnego, że bohaterka opowieści, dziewczyna dotknięta w życiu wielu nieszczęściami, ale przecież godna szacunku i współczucia, okazuje się nagle w oczach własnych i w pojęciu najbliższych potworną zbrodniarką, która nie może już dłużej udźwignąć ciężaru egzystencji – dlatego jedynie, że wyszły na jaw utajone dotąd związki rodzinne, łączące ją z innymi postaciami noweli, chociaż jej czyny i przeżycia w istocie swojej pozostały niezmienione. Inny aspekt tego zagadnienia przedstawiają dzieje Franvala i jego córki Eugenii. Kazirodczy związek tej pary, utworzony przez oboje z całą świadomością i przekonaniem, jest źródłem ich największej i jedynej osobistej satysfakcji, wszelako przyjęty społecznie system pojęć uniemożliwia egzystencję takiego związku, prowadzi nieuchronnie do zbrodni i tragicznego końca trojga bohaterów. Sade nie angażuje się bynajmniej w obronę Franvala i jego występnej córki Eugenii; przeciwnie – występuje jako rzecznik przyjętych powszechnie konwencji moralnych, przymierza ich czyny do skali pojęć, uznanej w świecie chrześcijańskim. Autorskie moralizatorstwo jest jednak przesadnie natrętne, zgroza i oburzenie są wyraźnie nieszczerze, końcowa puenta dźwięczy fałszywą nutą... Sade osiągnął zamierzony cel: zasiał w duszy czytelnika zwątpienie w istotną wartość norm i pojęć, do których przywykł od najwcześniejszego dzieciństwa.

W pojęciu ludzi epoki Oświecenia świat był maszyną stosunkowo prostą i nietrudną do zrozumienia, a recepta na szczęście powszechnie wydawała się łatwa do zrealizowania. Należało poznać prawa Natury i zgodnie z nimi kształtować życie społeczne, należało iść drogą Cnoty, która w końcu – bez względu na przypadkowe niepowodzenia tej czy innej jednostki – w skali społecznej musiała doprowadzić do pomnożenia ludzkiego szczęścia. Tej radosnej i optymistycznej ideologii epoki Sade przeciwstawił swoją wizję – pesymistyczną i okrutną. Jako środek osiągnięcia powszechnego uszczęśliwienia Cnota okazywała się nie więcej warta niż Występek, a poddanie się woli Natury musiałoby prowadzić do skutków zupełnie odmiennych od pogodnych wyobrażeń filozofów Wieku Oświeconego.

Ale uzasadnienia i ogólnej dyskusji nad tą tezą nie znajdziemy w nowelach markiza de Sade. Przedstawić nam ją mogą tylko prześladowcy Justyny i towarzysze zbrodni Julietty i do nich musimy się zwrócić, jeśli chcemy w pełni zrozumieć, jakie właściwie znaczenie mają poglądy Franvala czy wypowiedzi przewrotnej opiekunki Florville, pani de Verquin.

Jerzy Łojek

FLORVILLE I COURVALL

Pan de Courval ukończył pięćdziesiąt pięć lat; rześki, dobrze się trzymający, mógł jeszcze liczyć na przynajmniej dwadzieścia lat życia. Ze swą pierwszą żoną doświadczył jeno zgryzoty; porzuciła go przed laty, aby bez żenady poświęcić się libertynizmowi; na podstawie niepewnych skądinąd świadectw był przekonany, że istota ta od dawna leży już w grobie, postanowił więc związać się po raz drugi z osobą rozsądną, która zaletami charakteru i nieskazitelnością obyczajów mogłaby umożliwić mu zapomnienie dawnych niedoli.

Również i dzieci nie przyniosły szczęścia panu de Courval; miał ich tylko dwoje, dziewczynkę, którą utracił w wieku niemowlęcym, i chłopca, który mając piętnaście lat opuścił go za przykładem matki, wyznając niestety te same rozpustne zasady. Przekonany, iż żadne więzy nie łączą go już z tym niegodziwcem, pan de Courval zamierzał syna wydziedziczyć, a całą fortunę pozostawić w spadku dzieciom, które miał nadzieję spłodzić z nowo poślubioną małżonką. Miał piętnaście tysięcy liwrów rocznej renty; zajmował się kiedyś interesami, były to owoce jego własnej pracy, a korzystał z nich – wzorem uczciwego człowieka – razem z kilku przyjaciółmi, którzy wszyscy cenili go, poważali i odwiedzali często w Paryżu, gdzie zajmował ładne mieszkanie przy ulicy Saint-Marc, a zwłaszcza w małej, a uroczej posiadłości ziemskiej w pobliżu Nemours, gdzie pan de Courval spędzał zazwyczaj dwie trzecie roku.

Szlachetny ów człowiek zwierzył się przyjaciołom ze swoich zamiarów, a widząc ich aprobatę prosił usilnie, aby poszukali wśród swoich znajomych osoby w wieku trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, wdowy lub panny, która mogłaby być dla niego stosowną partią.

Nazajutrz jeden z kolegów oświadczył, iż znalazł kandydatkę, która powinna mu odpowiadać.

– Panna, którą ci swatam – mówił ów przyjaciel – ma dwie zasadnicze wady, od których powinienem zacząć, aby potem móc cię pocieszyć, opowiadając o wszystkich jej zaletach. Nie ma niestety ani ojca, ani matki i nie wiadomo nawet, kim byli jej rodzice i kiedy ich utraciła. Wiemy tylko – kontynuował przyjaciel – że jest kuzynką pana de Saint-Prât, człowieka szeroko znanego, który ją otacza opieką, poważa a z pewnością wygłosi bezstronną i w pełni zasłużoną pochwałę jej zalet. Nie odziedziczyła niczego po rodzicach, ma jednak cztery tysiące franków pensji dzięki panu de Saint-Prât, w którego domu wychowała się i spędziła młodość. To jej pierwsza wada; przejdźmy do drugiej – mówił znajomy pana de Courval. – Otóż w wieku szesnastu lat przeżyła przygodę, wynikiem której było dziecko, zresztą już nieżyjące; ojca tego dziecięcia nigdy już potem nie widziała. To wszystko, co można o niej złego powiedzieć; teraz parę słów o zaletach...

– Panna de Florville ma lat trzydzieści sześć, a wygląda najwyżej na dwadzieścia osiem; trudno by znaleźć buzię wdzięczniejszą i miłszą; rysy łagodne i delikatne; liliowa karnacja; włosy – a jest szatynką – spływają niemal do ziemi; świeże i pięknie ukształtowane usta są wizerunkiem wiosennej róży. Jest bardzo wysoka, ale ładnie zbudowana, a w ruchach ma tyle gracji, iż nie sposób zarzucić niczego jej figurze, chociaż bez tego wdzięku wydawałaby się może trochę zbyt surowa. Jej ramiona, piersi i nogą są pięknie ukształcone, a odznacza się tym szczególnym rodzajem urody, która nieprędko się starzeje. Co do jej konduity, to nie spodoba ci się może skrajna surowość obyczajów. Nie lubi wielkiego świata, żyje w odosobnieniu; jest bardzo pobożna, bardzo oddana praktykom klasztoru, w którym zamieszkuje; a jeśli budzi podziw całego otoczenia swoimi religijnymi cnotami, to również zachwyca

wszystkich wdziękiem swojego umysłu i słodyczą charakteru... Jednym słowem, jest to anioł zesłany na ziemię, którego niebiosy zachowały dla uszczęśliwienia twojej starości.

Pan de Courval był zachwycony taką okazją i natarczywie upraszał przyjaciela, aby przedstawił go osobie, o której opowiadał.

– Nie dbam o jej urodzenie – mówił. – Skoro ma w sobie czystą krew, czy ważne jest, po kim ją odziedziczyła? Przygoda w wieku szesnastu lat również mnie nie trwoży; odpokutowała ten błąd latami rozsądku. Poślubię ją po prostu jako wdowę; skoro zdecydowałem się wziąć kobietę trzydziesto- czy trzydziestopięcioletnią, byłoby trudno i śmiesznie stawiać warunek dziewictwa. Tak więc w twojej propozycji nie ma niczego, co by mnie odstraszało; pozostaje mi jedynie prosić cię, abys pokazał mi tę pannę.

Przyjaciel pana de Courval rychło spełnił jego żądanie; w trzy dni potem wydał u siebie obiad, na który zaprosił pannę de Florville. Trudno było pozostać obojętnym po pierwszym spotkaniu z tą zachwycającą dziewczyną; można by sądzić, że oto Minerwa we własnej postaci zechciała ukryć swą wyniosłość i powagę pod łagodnym wdziękiem. Ponieważ wiedziała, jaki był cel tego spotkania, zachowywała się z tym większą rezerwą; jej powściągliwość, opanowanie i szlachetność gestu, połączone z taką urodą, z usposobieniem tak łagodnym, z umysłowością tak zrównoważoną i bogatą, do tego stopnia zawróciły w głowie biednemu Courvalowi, że błagał przyjaciela, aby jak najspieszniej doprowadził do ostatecznego porozumienia.

Spotkali się jeszcze parę razy, w tym samym domu, potem u pana de Courval i pana de Saint-Prât, wreszcie panna de Florville oświadczyła po usilnych naleganiach, że nic nie mogłoby bardziej jej pochlebić niż honor, którym chce ją zaszczyścić pan de Courval, ale delikatność nie pozwala jej przyjąć tej propozycji, póki nie zostanie on przez nią samą powiadomiony o całej historii jej życia.

– Nie o wszystkim jeszcze panu wiadomo – mówiła ta czarująca dziewczyna – a ja nie mogę zgodzić się na związek z panem, póki nie dowiesz się reszty. Zbyt jest mi drogi pański szacunek, abym mogła ryzykować jego utratę; z pewnością bym nań nie zasługiwała, gdybym korzystając z pańskiego zaślepienia zgodziła się zostać twoją żoną, zanim sam nie osądzisz, czy jestem godna tego tytułu.

Pan de Courval zapewniał ją, że wie już o wszystkim, że podejmuje się uspokoić wszystkie jej obawy; a skoro miał szczęście jej się spodobać, nie powinna o nic więcej się troszczyć. Panna de Florville obstawała jednak przy swoim; oświadczyła stanowczo, że nie zgodzi się na małżeństwo, póki pan de Courval nie zostanie dokładnie powiadomiony o wszystkim, cokolwiek jej dotyczy. Trzeba było na to przystać. Pan de Courval zdołał tylko wymóc zgodę panny de Florville na przyjazd do swego mająteczku koło Nemours; postanowił rozpocząć zaraz przygotowania do upragnionego ślubu, a skoro panna de Florville zwierzy mu się z całej swojej historii, nazajutrz pójdą do ołtarza.

– Skoro wszystkie te przygotowania mogą jednak okazać się niepotrzebne – mówiła dziewczyna – po co je podejmować? Jeżeli przekonam pana, że się bynajmniej na twoją żonę nie nadaję?

– Tego jednego nie zdołasz, o pani, nigdy mi dowieść – odpowiedział szlachetny Courval. – Gotów jestem założyć się, że nie potrafisz mnie przekonać. Jedźmy, zaklinam panią: proszę nie sprzeciwiać się moim zamierzeniom...

W tej sprawie nie sposób było z nim dyskutować; wszystko zostało załatwione, wyjechali do majątku Courvala. Wszelako udali się tam tylko we dwoje, panna de Florville stanowczo tego zażądała. Sprawy, o których miała opowiedzieć, mogły być ujawnione jedynie człowiekowi, który chciał się z nią związać; nie dopuszczono więc nikogo obcego. Nazajutrz po przyjeździe ta niezwykła dziewczyna poprosiła pana de Courval, aby zechciał jej wysłuchać – i tak oto zaczęła opowiadać dzieje swojego życia:

HISTORIA PANNY DE FLORVILLE

Zamiary, które żywi pan wobec mojej osoby; nie pozwalają mi w czymkolwiek cię zwozić; poznałeś pana de Saint-Prât, o którym powiedziano ci, że jest moim krewnym; on sam również to potwierdził, a jednak w tej właśnie kwestii został pan przez wszystkich wprowadzony w błąd. Nie znam swojego pochodzenia, nie udało mi się dowiedzieć, komu zawdzięczam swe istnienie; gdy miałam zaledwie kilka dni, znaleziono mnie w kołysce z zielonej tafty pod bramą domu pana de Saint-Prât razem z listem anonimowym przyczepionym do kołderki, w którym było napisane tylko tyle:

„W ciągu dziesięciu lat swego małżeństwa nie doczekał się pan dzieci, a nieustannie ich pragniesz. Zaadoptuj tę dziewczynkę; jest czystej krwi, to owoc najuczciwszego hymenu, bynajmniej nie libertyńskiej rozwiązłości; pochodzi z prawego łóża. Jeżeli dziecię to ci się nie spodoba, każ je odnieść do sierocińca. Nie czyn żadnych poszukiwań, pozostaną bezskuteczne, nie zdołasz niczego więcej o niej się dowiedzieć.”

Szlachetni ludzie, u których zostałam podrzucona, przyjęli mnie, wychowali, otoczyli najstaranniejszą opieką i mogę powiedzieć, że zawdzięczam im doprawdy wszystko. Ponieważ nie można było ustalić mojego prawdziwego nazwiska, pani de Saint-Prât nadała mi to, które noszę: Florville.

Kończyłam właśnie piętnasty rok życia, kiedy spotkało mnie nieszczęście: śmierć mojej opiekunki. Trudno wyrazić ból, którym przejęła mnie ta strata. Byłam jej tak droga, że umierając błagała męża, aby zapewnił mi cztery tysiące liwrow renty i nigdy mnie nie porzucił; pan de Saint-Prât spełnił skwapliwie obie te prośby, a do swoich dobrodziejstw dodał i tę łaskę, że uznał mnie za kuzynkę swej zmarłej żony i w tym charakterze przyjął do swojej rodziny. Nie mogłam jednak pozostać dłużej w tym domu; pan de Saint-Prât dał mi to wyraźnie do zrozumienia.

– Jestem wdowcem i mężczyzną jeszcze młodym – powiedział ów cnotliwy człowiek. – Gdybyś zamieszkała ze mną pod jednym dachem, dałoby to powód do podejrzeń, na które nie zasługujemy. Twoje szczęście i reputacja są mi zbyt drogie, nie chcę ich wystawiać na niebezpieczeństwo. Musimy się rozstać, Florville; oczywiście nie opuszczę cię do końca życia i nie chcę, abyś straciła kontakt z moją rodziną; mam w Nancy owdowiałą siostrę, pošlę cię do niej; ręczę za jej przyjaźń. W ten sposób pozostaniesz pod moją opieką, będę mógł nadal czuwać nad tobą, zapewnić ci edukację i ustalić potem twój los.

Słowa te wycisnęły mi łzy z oczu; ten nadmiar niedoli dał mi tym boleśniej odczuć stratę, jaką poniosłam wskutek śmierci swej opiekunki. Przekonana wszelako o słuszności uwag pana de Saint-Prât, postanowiłam pójść za jego radą. Wyjechałam do Lotaryngii pod opiekę pewnej damy, zamieszkałej w tej prowincji, której zostałam zarekomendowana i która przekazała mnie w ręce pani de Verquin, siostry pana de Saint-Prât; u niej właśnie miałam zamieszkać.

Dom pani de Verquin różnił się wielce od domu pana de Saint-Prât; o ile w tamtym panowała powściągliwość, wiara i dobre obyczaje, o tyle tutaj płochość, upodobanie w rozkoszach i niezależność myśli miały swoje prawdziwe królestwo.

Już po kilku dniach pani de Verquin powiedziała mi wprost, że mój wygląd skromnisi wcale jej się nie podoba, że to niesłychane przyjeżdżać z Paryża z ułożeniem tak niezgrabnym... z tak śmiesznym upodobaniem do cnoty; że jeżeli chcę żyć z nią w zgodzie, powinnam całkiem się zmienić. Taki początek wielce mnie zaniepokoił; nie usiłuję bynajmniej przedstawić się w pańskich oczach lepszą, niż jestem naprawdę, ale wszelkie odstępstwo od religii i dobrych obyczajów przez całe życie tak mną wstrząsało, byłam zawsze taką nieprzyjaciółką każdego, kto gardził cnotą, a zbłądzenia, w które mimo woli popadłam, wtrąciły mnie w tak

wielkie wyrzuty sumienia, że – wyznaję to szczerze – ktoś usiłujący wprowadzić mnie w wielki świat oddałby mi doprawdy złą przysługę. Nie jestem stworzona do takiego życia, jestem dzika i nietowarzyska; najdalsze odludzie odpowiadałoby najbardziej i stanowi mej duszy; i dyspozycjom umysłu.

Refleksje te, jeszcze nie uformowane, jeszcze niedojrzałe w wieku, w którym wówczas się znajdowałam, nie były w stanie uchronić mnie przed niebezpiecznymi skutkami rad pani de Verquin ani przed złem, w jakie jej uwodzicielskie starania musiały mnie wtrącić. Świat, który wokół siebie widziałam, złudne rozkosze, którymi byłam otoczona, przykład, jaki miałam przed oczami, rozmowy, wszystko to w końcu mnie uwiodło. Zapewniano mnie, że jestem ładna, a ja na swoje nieszczęście ośmieliłam się w to uwierzyć.

W Nancy stacjonował wówczas regiment normandzki. Dom pani de Verquin był miejscem spotkań jego oficerów; wszystkie młode damy również u niej się zjawiały i tutaj właśnie zawiązywano, zrywano i znowu podejmowano głośne w całym mieście miłosne intrygi.

Prawdopodobnie pan de Saint-Prât nie miał pojęcia o tej stronie życia pani de Verquin; przy swojej surowości obyczajów jakże mógłby się zgodzić na wysłanie mnie do niej, gdyby to wszystko było mu wiadome? Myśl ta powstrzymała mnie przed napisaniem do niego listu ze skargą; czy należało go o tym uświadamiać?! Zresztą i sama coraz mniej się trapiłam; nieczyste powietrze, którym zmuszona byłam oddychać, poczęło brukać mą duszę; jak Telemak na wyspie nimfy Calypso nie byłam już zdolna słuchać rad Mentora.

Bezwstydną pani de Verquin, od dawna usiłująca mnie zdeprawować, zapytała wreszcie pewnego dnia, czy rzeczywiście przyjechałam do Lotaryngii z czystym sercem, czy nie wzdycham za jakimś kochankiem pozostawionym w Paryżu?

– Doprawdy – odrzekłam – nie mam nawet pojęcia o grzechach, które pani we mnie podejrzewa, a szanowny twój brat może zaświadczyć o mojej konducie...

– Nie masz pojęcia o grzechach! – przerwała mi pani de Verquin. – Dopuściłaś się jednego, i to ciężkiego: w tym wieku jesteś ciągle tak naiwna! Mam jednak nadzieję, że się poprawisz.

– O pani! Nie pojmuję, co mogą znaczyć te słowa w ustach osoby tak szanownej?

– Szanownej? Moja droga, zapewniam cię, że ze wszystkich sentymentów, które mogę w kimkolwiek wzbudzić, najmniej mi zależy właśnie na szacunku. Wolę wzniecać miłość... W moim wieku, mam nadzieję, jeszcze nie jestem skazana na szacunek. Idź w moje ślady, kochanie, a znajdziesz szczęście... À propos, czy zauważyłaś pana de Senneval? – dorzuciła ta zwodnicza syrena, wspominając pewnego młodego, siedemnastoletniego ledwo oficera, który często ją odwiedzał.

– Tak, pani – odrzekłam, ale upewniam cię, że patrzę nań zupełnie obojętnie.

– Ależ, moje dziecko, tego właśnie musisz się wystrzegać; chciałabym, abyśmy odtąd dzieliły się swymi zdobyczami... Musisz mieć tego Sennevala; to moja sprawa, postaram się go przysposobić, kocha cię; trzeba więc, abyś go miała...

– O pani! Gdybyś zechciała uwolnić mnie od tego zadania! Doprawdy, na nikim mi nie zależy...

– To konieczne; postanowiliśmy tak z pułkownikiem, który, jak ci wiadomo, pełni teraz funkcję mojego d y ż u r n e g o amanta.

– Zaklinam panią, racz pozostawić mi swobodę decydowania w tych sprawach o własnym losie! Nie odczuwam żadnych skłonności ku rozkoszom, które tak bardzo cenisz!

– O, to się zmieni; pewnego dnia polubisz je nie gorzej ode mnie; trudno cenić coś, czego się w ogóle nie zna. Ale nie wolno również odrzucać okazji poznania tego, co stworzone jest, aby dać nam najwyższe upojenie. Jednym słowem, to sprawa przesądzona; Senneval, moja panno, dziś wieczorem wyzna ci swoją miłość, a ty, z łaski swojej, nie pozwolisz, aby zbyt długo wzdychał bez pocieszenia. Inaczej się pogniewamy... tym razem poważnie.

Przyjęcie było wyznaczone na piątą po południu; ponieważ dzień był bardzo upalny, goście zasiedli w ogrodzie do kart; wszystko zostało tak ułożone, abyśmy z panem de Senneval pozostali jedynymi osobami, które nie brały udziału w grze; musieliśmy więc rozmawiać.

Nie chcę przed panem ukrywać, że skoro tylko ów młodzian tak miły i pełen zalet umysłu zwierzył mi się z namiętności, jaką w nim wzbudziłam, poczułam doń skłonność trudną do opisania; kiedy chciałam zdać sobie sprawę z istoty tej sympatii, nie mogłam znaleźć dla niej właściwego wytłumaczenia; zdawało mi się, że pociąg ten nie mógł być skutkiem zwykłego uczucia, jakaś mgła przesłoniła mi oczy i nie pozwoliła rozeznąć się we wszystkim, co się nań składało. Z drugiej strony, w tej samej chwili, gdy serce wyrwało mi się ku panu de Senneval, jakaś przemożna siła zdawała się je powstrzymywać; w tym tumultcie... w tym wirze przyływów i odpływów sprzecznych uczuć i myśli, nie mogłam pojąć, czy powinnam kochać Sennevala, czy też uciec od niego jak najdalej.

Dano mu dosyć czasu, aby mógł spokojnie wyznać mi swoją miłość... niestety! dano mu tego czasu nawet za wiele! Wydałam mu się czułą i wrażliwą, umiał skorzystać z mego zakłopotania, żądał, abym wyznała swe uczucia; okazałam się tak słabą, że zdołał wyrwać mi wyznanie, iż nie budzi we mnie bynajmniej odrazy. W trzy dni później mógł się już cieszyć swoim pełnym nade mną zwycięstwem.

Szczególna jest doprawdy ta złośliwa radość, którą objawia występki, gdy uda mu się zatriumfować nad cnotą; trudno opisać uniesienie pani de Verquin, skoro tylko dostrzegła, że wpadłam w zastawioną przez nią pułapkę; drwiła ze mnie, bawiła się moim kosztem, a wreszcie zapewniła, że czyn, którego się dopuściłam, jest w rzeczy samej najzwyklejszy i arcyrozsądny, że mogę co noc w jej domu przyjmować bez obawy swojego kochanka... że przymknę na wszystko oczy... Zresztą będzie nadal podziwiał moją cnotę, gdyż jest bardzo prawdopodobne, że ograniczę się do tego jednego amanta; ona sama, zmuszona dawać sobie radę z trzema kochankami, okazałaby się na pewno daleka od mojej rezerwy i skromności! Kiedy ośmieliłam się odpowiedzieć, że taka swoboda wydaje mi się ohydna, że trudno zachować przy tym wrażliwość i uczucia, że w ten sposób płeć nasza spada do poziomu najnikczemniejszych bestii, pani de Verquin wybuchnęła śmiechem.

– O ty galijska heroino! – powiedziała. – Podziwiam cię i wcale nie ganię. Rozumiem, że w twoim wieku delikatność i uczucia są bóstwami, na których ołtarzu poświęca się chętnie fizyczną rozkosz. W moim natomiast wszystko wygląda inaczej; gdy pozbywamy się złudzeń, widma te tracą nad nami swoją władzę, realne przyjemności przekładają się nad głupstwa, które tak cię entuzjazmują. I po cóż to miałybyśmy zachowywać wierność wobec ludzi, którzy na pewno nie odplacą się nam wzajemnością? Skoro i tak jesteśmy słabe, czy musimy być również naiwne? Szalona byłaby kobieta, która pragnęłaby subtelności w stosunkach z mężczyznami. Mówię ci, kochanie, szukaj coraz to nowych rozkoszy, skoro twe lata i wdzięki na to pozwalają, i odłóż na bok swoją chimeryczną stałość, swoją ponurą i dziką cnotę, która z pewnością nawet ciebie samej nie usatysfakcjonuje, a innych nie przekona.

Zadrzałam słysząc te poglądy, ale zdałam sobie sprawę, że nie mam już prawa z nimi dyskutować. Zbrodnicze starania tej niemoralnej kobiety były mi teraz niezbędne, musiałam się z nią liczyć. Jednym z najfatalniejszych skutków występku jest fakt, że skoro się go dopuścimy, popadamy w zależność od ludzi, którymi inaczej moglibyśmy głęboko pogardzać. Zgodziłam się więc na wszelkie względy pani de Verquin; każdej nocy Senneval darzył mnie nowymi dowodami swej miłości i sześć miesięcy upłynęło prędko w takim upojeniu, że ledwo miałam czas, aby się nad wszystkim zastanowić.

Fatalne następstwa tego trybu życia otworzyły mi wreszcie oczy; zaszłam w ciążę i myślałam, że umrę z rozpaczy widząc się w stanie, z którego pani de Verquin jawnie szydziła.

– Wszelako – powiedziała – trzeba ratować pozory; ponieważ nie przystoi, abyś rodziła w moim domu, pułkownik regimentu Sennevala i ja podjęliśmy odpowiednie starania. Da on urlop temu młodemu człowiekowi; wyjedziesz do Metz na kilka dni przed nim, on pośpieszy

za tobą; tam pod jego opieką wydasz na świat ten niepotrzebny owoc swojej czułości; potem wrócicie tutaj jedno po drugim, podróżując w podobny sposób jak w tamtą stronę.

Musiałam być posłuszna; mówiłam już panu, że skoro zdarzyło się komuś nieszczęście, iż raz jeden dał fałszywy krok, musi się odtąd zdać na łaskę ludzi i hazard sytuacji; prawa do jego osoby przechodzą na własność całego świata; staje się niewolnikiem wszystkiego, co żyje i oddycha, skoro zapomniał się do tego stopnia, że został niewolnikiem swoich namiętności.

Sprawy ułożyły się tak, jak mówiła pani de Verquin; po trzech dniach spotkałam się w Metz z Sennevałem i zamieszkałam u pewnej akuszerki, której adres wzięłam ze sobą opuszczając Nancy. Tutaj urodziłam chłopca. Senneval, który nie przestał okazywać mi swoich namiętności i subtelnych uczuć, zdawał się miłować mnie jeszcze goręcej, skoro – jak powiadał – istniałam odtąd w dwóch osobach; cieszyłam się wszelkimi jego względami. Prosił mnie, abym zostawiła mu syna, zaprzysiągł, że do końca życia otaczać go będzie najstaranniejszą opieką i nie wróci do Nancy, póki nie spełni danego mi przyrzeczenia, iż zabezpieczy należycie los dziecka.

Dopiero w chwili jego wyjazdu ośmieliłam się dać mu do zrozumienia, jak bardzo unieszczęśliwił mnie występki, którego był współwinowajcą, zaproponowałam mu, abyśmy naprawili swój błąd łącząc się u stóp ołtarza. Senneval, który nie oczekiwał chyba tej propozycji, wielce się zakłopotał.

– Niestety – powiedział – jakże mógłbym się na to zdecydować? Jestem jeszcze niepełnoletni, musiałbym uzyskać najpierw zgodę ojca. Czym okazałoby się nasze małżeństwo bez tej niezbędnej formalności? A zresztą, trzeba by się najpierw zastanowić, czy jestem dla ciebie odpowiednią partią. Jako siostrzenica pani de Verquin (tak przedstawiono mnie w Nancy) możesz liczyć na coś znacznie lepszego. Wierz mi, Florville, lepiej będzie puścić w niepamięć nasze zbłądzenia; możesz być pewna mojej dyskrekcji.

Słowa te, których doprawdy nie oczekiwałam, w okrutny sposób uświadomiły mi cały ogrom mojego występkę. Duma nie pozwoliła mi odpowiedzieć, ale cierpienie moje stało się tym boleśniesz. Jeśli cokolwiek łagodziło dotąd grozę mojej sytuacji, to była nią – szczerze panu wyznaję – nadzieja naprawienia kiedyś swego błędu przez małżeństwo z kochankiem. Łatwowierna dziewczyno! Nie wyobrażałam sobie, mimo całej przewrotności pani de Verquin, która bez wątpienia winna była mnie w tej mierze oświecić, iż można uczynić sobie zabawę z uwiedzenia nieszczęśliwej dziewczyny, a potem beztrósko ją porzucić; nie rozumiałam, że honor, ten skarb w oczach mężczyzny tak bezcenny, nie ma wobec nas żadnego zastosowania, i że nasza słabość może usprawiedliwić zniewagę, którą mężczyźni między sobą opłaciliby ceną krwi. Byłam więc nie tylko skrzywdzona, ale i oszukana przez człowieka, za którego po tysiąckroć oddałabym swe życie; nie wiele brakowało, by ten straszny wstrząs wpędził mnie do grobu. Senneval nie opuścił mnie zresztą, troskliwość jego bynajmniej się nie zmniejszyła, ale nie wspominał już ani razu o mojej propozycji, a ja byłam zbyt dumna, by po raz drugi mówić mu o swojej nadziei. Odjechał w końcu, gdy wróciłam do zdrowia.

Byłam zdecydowana nie wracać już do Nancy i przeczuwałam, że po raz ostatni widzę swego kochanka, toteż wszystkie rany mej duszy otworzyły się w chwili rozstania; miałam jednak dość siły, aby znieść i ten ostatni cios. Okrutny! Wyjechał, wyrwał się z mych objęć, a ja nie dostrzegłam w jego oczach nawet jednej łzy...

Oto co pozostaje z tych przysiąg i miłosnych zaklęć, w które tak obłędnie zazwyczaj wierzymy! Im bardziej jesteśmy wrażliwe, tym prędzej opuszczają nas uwodziciele... Przewrotni! Porzucają nas właśnie z powodu wysiłków, których nie szczędzimy, aby ich przy sobie zatrzymać.

Senneval zabrał ze sobą dziecko i zostawił je na wsi, w okolicy, której nie udało mi się odszukać. Chciał mnie pozbawić szczęścia oglądania i wychowywania własnym staraniem tego

ukochanego owocu naszego związku. Podobno życzył sobie, bym zapomniała o wszystkim, cokolwiek mogło nas jeszcze ze sobą wiązać; zapomniałam więc, a może raczej wmówiłam sobie, że już nie pamiętam...

Postanowiłam wyjechać natychmiast z Metz i nie wracać wcale do Nancy; nie chciałam jednak obrazić pani de Verquin; bądź co bądź była bliską krewną mego dobroczyńcy i dlatego chciałam oszczędzać ją do końca życia. Napisałam więc do niej list w tonie możliwie najserdeczniejszym; aby wytłumaczyć jakoś odmowę powrotu do jej miasta, powołałam się na wstyd z powodu hańby, którą się tam okryłam; prosiłam w końcu o pozwolenie na wyjazd do Paryża, do domu jej brata. Odpisała mi niezwłocznie, że mogę robić, co zechcę, i zapewniła iż zachowa dla mnie na zawsze najszczerzą przyjaźń. Dodała również, że Senneval jeszcze nie wrócił, że nie wiedzieli wcale o jego ucieczce i że byłabym doprawdy głuptasem, gdybym przejmowała się tymi strapieniami.

Odebrawszy ten list pośpieszyłam zaraz do Paryża i pobiegłam rzucić się do nóg panu de Saint-Prât. Moje łzy i milczenie dały mu poznać całą moją niedolę; baczyłam jednak pilnie, aby oskarżać tylko siebie samą; nigdy nie powiedziałam mu o postępowaniu jego siostry. Jak wszyscy ludzie szlachetni, pan de Saint-Prât nie był w stanie nawet podejrzewać jej o rozwiązłość, uważał ją za najuczciwszą z kobiet; pozwoliłam mu zachować te złudzenia, a postępowanie moje, o którym pani de Verquin rychło się dowiedziała, zjednało mi jej wdzięczność i umocniło przyjaźń.

Pan de Saint-Prat zlitował się nade mną; dał mi odczuć cały ogrom mych błędów, ale zakończył przebaczeniem.

– Moje dziecko – mówił z łagodną skromnością człowieka uczciwego, jakże odmienną od ohydneho zadufania zbrodni – moja droga dziewczynko, widzisz sama, ile kosztuje cię zejście z drogi uczciwości... Przyzwyczajenie do cnoty jest tak potrzebne, jest ona tak ściśle związana z całą naszą egzystencją, że skoro tylko się jej wyrzekniemy, zaraz ściągamy na siebie naprzykrzejszą niedolę. Porównaj spokój stanu niewinności, w którym opuściłaś mój dom, ze straszną rozterką, w jakiej teraz powracasz. Czy marne rozkosze, których zakosztowałaś w czasie swego upadku, są zdolne wynagrodzić ci tortury rozdierające teraz twoje serce? Moje dziecko, szczęście można znaleźć tylko na łonie cnoty; wszystkie sofizmaty jej wrogów nie są w stanie zastąpić najmniejszej z jej radości. Ach, Florville, ci wszyscy, którzy negują istnienie tego szczęścia, którzy zwalczają rozkosze wywodzące się z cnoty, te radości tak słodkie i przejmujące, czynią to, bądź pewna, jeno przez zawiść, przez barbarzyńską żądzę wciągnięcia innych do tej otchłani winy i nieszczęścia, w której sami się znaleźli. Są zaślepieni i chcą wszystkich oślepić; są oszukani i chcą innych oszukać; gdybyśmy mogli jednak zajrzeć w głąb ich duszy, znaleźlibyśmy tam jeno ból i rozpacz; wszyscy apostołowie zbrodni to ludzie niegodziwi i zdesperowani; nie masz wśród nich nikogo, kto by nie przyznał, chcąc być szczerym, że ich trucicielskie dysputy i niebezpieczne pisma inspirowane są zawsze przez nieokiełznane namiętności. A któż mógłby doprawdy twierdzić z zimną krwią, że podstawy moralności mogą być naruszone bez żadnego ryzyka? Któż ośmieliłby się utrzymywać, że ostatecznym celem człowieka nie powinno być właśnie: pragnąć dobra i czynić dobro? A w jaki sposób ktoś, kto chciałby szerzyć wokół siebie tylko zło, może spodziewać się szczęścia żyjąc w społeczeństwie, które usilnie dąży do tego, by nieustannie pomnażać dobro? Czy zresztą ów apologeta zbrodni sam by nie zadrżał, gdyby naprawdę udało mu się wykorzenieć z serc ludzkich jedyny fundament powszechnego bezpieczeństwa, któż by przeszkodził jego sługom w zrujnowaniu majątku swego pana, gdyby stracili nagle wiarę w sens cnoty? Kto by powstrzymał jego własną żonę przed okryciem go hańbą, gdyby uwierzyła, że cnota nie przydaje się na nic? Któż by powściągnął zabójczą dłoń własnych jego dzieci, gdyby ośmielił się był zniszczyć posiew dobra w ich sercach? Czy jego wolność i własność byłyby respektowane, gdyby oświadczył wielkim tego świata: możecie liczyć na bezkarność, cnota jest tylko czczym złudzeniem? Kimkolwiek byłby ów nieszczęśnik, mężem czy ojcem, bogaczem czy

ubogim, panem czy niewolnikiem, zewsząd czyhałoby nań groźne niebezpieczeństwo, ze wszystkich stron godziłyby w jego pierś zabójcze sztylety. Gdyby udało się komukolwiek zniszczyć w duszy człowieka jedyny głos zdolny zrównoważyć wrodzoną przewrotność, trudno wątpić, że nieszczęśliwy prędzej czy później sam padłby ofiarą swego strasznego systemu¹

– Zapomnijmy na chwilę o religii, rozważmy – jak chcą niektórzy – człowieka jako takiego. Czy znajdzie się istota na tyle nierozsądna, by uwierzyć, iż ktoś łamiący wszelkie prawa społeczeństwa będzie przez to znieważone społeczeństwo pozostawiony w spokoju? Czyż nie leży w interesie ludzkości i praw, które formułuje ona dla swego bezpieczeństwa, zniszczyć natychmiast każdego, kto zakłóca ich działanie albo wprost godzi w ich egzystencję? Pozycja albo bogactwo mogą czasami zapewnić występniemu przelotny blask powodzenia; jakże krótkie będzie wszelako jego panowanie! Rozpoznany i zdemaskowany, stanie się wkrótce przedmiotem publicznej nienawiści i powszechnej pogardy; czy znajdzie wtedy apologetów swego postępowania, a choćby i zwolenników gotowych pocieszyć go w chwili upadku? Nikt już nie zechce przyznać się do niego; skoro nie będzie miał niczego do zaoferowania. wszyscy porzucą go jak zbyteczny balast; nieszczęścia spadną nań ze wszystkich stron, będzie jęczał w hańbie i niedoli, a utraciwszy ostatnie oparcie w swym skalanym sercu, skona wkrótce w opuszczeniu i rozpacz. Cóż jest więc warte absurdałne rozumowanie naszych przeciwników? Po cóż te bezużyteczne wysiłki ponizenia cnoty, te argumenty, że wszystko, co nie jest uniwersalne, jest tylko chimera, a więc cnota, która jest zjawiskiem wcale nie powszechnym, w rzeczywistości nie istnieje? I cóż stąd? Nie masz cnoty, ponieważ każdy z ludów ma własne o niej wyobrażenie? Ponieważ rozmaite klimaty i rozmaite temperamenty zmuszają do nakładania ludziom odmiennych hamulców? Ponieważ cnota rozmnożyła się w tysiącnych postaciach, miałyby w ogóle zniknąć z powierzchni ziemi? Można by podobnie zwątpić w istnienie rzeki, gdyż rozdzieliła się ona na tysiąc odnóg i dopływów. Ach! Cóż dowodzi lepiej i możliwości cnoty, i powszechnego do niej dążenia niż właśnie potrzeba serca ludzkiego kierowania się jej wskazaniem w każdym warunkach obyczajowych, uczynienia z niej podstawy wszelkich obyczajów? Niech mi pokażą jakikolwiek lud nie znający pojęcia cnoty, choć jedno społeczeństwo, które nie uznawałoby sprawiedliwości i poszukiwania dobra za swoją fundamentalną więź! Więcej powiem: niech mi pokażą choćby towarzystwo złoczyńców, które nie byłoby zjednoczone przez jakąś z zasad cnoty... Wtedy dopiero przestanę bronić swojej sprawy... Skoro jednak wszystko dowodzi użyteczności cnoty, skoro nie masz narodu, stanu, społeczeństwa, nawet samotnego indywiduum, które mogłoby bez niej się obejść, jeżeli – jednym słowem – człowiek nie może żyć bez cnoty ani w szczęściu, ani w bezpieczeństwie, czyż nie mam racji, drogie dziecię, że tak gorąco cię upominam, abyś nigdy już nie zboczyła z jej drogi? Popatrz, Florville – kontynuował mój dobroczyńca, ściskając mnie w ramionach – popatrz, dokąd zawiodły cię pierwsze twoje zbłądzenia; a jeśli występki jeszcze cię pociągają, jeśli twa słabość lub zepsucie gotują ci nowe klęski, pomyśl o dotychczasowych nieszczęściach, pomyśl wreszcie o człowieku, który miłuje cię jak własną córkę... któremu rozdierasz serce swoimi grzechami; a w tych refleksjach znajdziesz na pewno siłę potrzebną dla ukochania cnoty, którą chciałbym uczynić dla ciebie przewodnikiem na całe życie!

Pan de Saint-Prât, wyznający niezmiennie te same zasady, i tym razem nie ofiarował mi gościny w swoim domu. Zaproponował jednak, abym zamieszkała u jego krewnej, niewiasty równie wslawionej swoją wielką pobożnością, jak pani de Verquin swoim wybrykami. Po-

¹ „Och mój drogi, nigdy nie próbuj deprawować osoby, która miłujesz; może to mieć skutki doprawdy trudne do przewidzenia” – powiedziała pewna rozsądna kobieta przyjacielowi, który usiłował ją uwieść. Niewiasto godna uwielbienia, pozwól mi zacytować w tym miejscu swoje słowa; tak dobrze odbiła się w nich dusza kobiety, która wkrótce ocaliła życie temu samemu mężczyźnie, że chciałbym wyrzucić tę wzruszającą sentencję na śpizowej tablicy w świątyni pamięci, gdzie cnoty twoje zapewniły ci prawdziwie poczesne miejsce!

myśl ten wielce mi się spodobał. Pani de Lerince bardzo chętnie mnie przyjęła, przeniosłam się do niej zaraz w pierwszym tygodniu mojego pobytu w Paryżu.

Och! Drogi panie, jakże ta czcigodna dama różniła się od mojej poprzedniej opiekunki! Jeśli występki i zepsucie założyły u tamtej swoje królestwo, to serce tej kobiety było schronieniem wszelkich cnót. O ile pierwsza przerażała mnie swoim zdeprawowaniem, o tyle druga pocieszała wzniosłymi i budującymi zasadami. Słuchając pani de Verquin gromadziłam w swej duszy gorycz i wyrzuty sumienia; obcując z panią de Lerince syciłam się radością i pocieszeniem... Ach, proszę mi pozwolić, abym dokładniej opisała panu tę uwielbianą istotę, którą na zawsze pokochałam; serce moje winne jest ten hołd jej cnotom; nie potrafię się oprzeć temu pragnieniu!

Pani de Lerince miała wówczas lat prawie czterdzieści, ale wyglądała jeszcze bardzo młodo; prostota i skromność bardziej zdobiły jej rysy niż boskie proporcje, którymi obdarzyła ją Natura. Wskutek swej szlachetności i powagi mogła wydać się w pierwszej chwili nieprzystępną i wyniosłą, ale pozory surowości znikwały natychmiast, gdy tylko przemówiła do swego rozmówcy. Była to dusza tak piękna i czysta, pełna tak doskonałego spokoju, tak prosta i szczerza, że obcując z nią odczuwało się mimo woli nie tylko podziw, który od razu we wszystkich wzbudzała, ale również serdeczne wzruszenie. Pobożność pani de Lerince wolna była od jakiegokolwiek przesady czy zabobonu; była to po prostu wyjątkowa wrażliwość na wszystko, co wiązało się ze sprawami wiary. Myśl o istnieniu Boga, kult należny Istocie Najwyższej były to najwyższe radości tej wspaniałej duszy. Często wyznawała publicznie, że byłaby najniezwyklejszym ze stworzeń, gdyby perfidna nauka zniszczyła w niej miłość i szacunek dla religii chrześcijańskiej. Przywiązana raczej do wzniosłej nauki moralnej tej wiary niż do jej praktyk czy ceremonii, kierowała się zasadami tej najdoskonalszej moralności we wszystkich dziedzinach życia. Nigdy oszczerstwo nie skalało jej warg; nie pozwalała sobie nawet na żarty, które mogłyby zranić bliźnich. Pełna dla nich miłości i współczucia, uważała ludzi za godnych szacunku mimo wszelkich zbłądzeń i grzechów; starała się usilnie albo taić te występki, albo z całą słodyczą naprawiać ich skutki. Gdy spotykała nieszczęśliwych, nie miało dla niej takiego uroku jak ulżenie ich niedoli; nie chciała, by ubodzy przychodzili do niej z błaganiami o wsparcie, sama ich szukała, wykrywała, a radość szła w ślad za nią, gdy udało się jej pocieszyć wdowę lub zaopatrzyć sierotę, gdy wносиła dostatek pod dach ubogiej rodziny albo własnymi rękoma zrywała kajdany niewoli. A jednocześnie nie była nigdy ani oschła, ani surowa; jeżeli proponowano jej jakieś zabawy, byle tylko niewinne i czyste, oddawała się im z rozkoszą; sama je nawet wyszukiwała w obawie, by nie nudzono się w jej towarzystwie. Rozsądna i światła w rozmowach z moralistą, głęboka w dysputach z teologiem, potrafiła inspirować pisarza i natchnąć poetę, zdumiewała prawodawcę i polityka, a jednocześnie umiała bawić się beztrząsliwie z dziećmi. Posiadała wszystkie zalety umysłu, a szczególnie wyróżniała się usilnym staraniem, nadzwyczajną troską, aby ujawniać podobne talenty u innych i znajdować je wszędzie. Upodobawszy sobie życie w odosobnieniu, ciesząc się przyjaźnią osób wybranych, pani de Lerince – prawdziwy model doskonałości dla obu płci – pozwalała swemu otoczeniu radować się spokojnym szczęściem, tą niebiańską rozkoszą obiecaną ludziom sprawiedliwym przez dobrego Boga, którego prawdziwym wizerunkiem była na tym świecie.

Nie będę nudziła pana monotonnymi szczegółami mego życia w ciągu siedemnastu lat, które miałam szczęście spędzić u boku tej doskonałej istoty. Rozmowy o sprawach wiary i moralności, praktyki dobroczynne, w miarę możliwości najczęstsze, były to nasze stałe obowiązki, którym poświęcałyśmy wszystkie dni.

– Ludzie nie lękali się religii, moja droga Florville – mówiła mi pani de Lerince – gdyby niezręczni duszpasterze nie ukazywali im tylko jej więzów i ciężarów, pomijając pożytki i słodycze. Czyż może istnieć człowiek na tyle nierozumny, aby otworzywszy szeroko oczy na cały ten świat ośmielił się utrzymywać, iż wszystkie te cuda nie muszą być dziełem jedyne

i wszechmocnego Boga? A jeśli pozna tę najważniejszą prawdę, czy potrzeba czegoś więcej ponad szczerzy odruch serca, aby dostatecznie został przekonany? Jak okrutnym i barbarzyńskim musiałby okazać się taki człowiek, aby zdołał odmówić swego hołdu dobroczynnemu bóstwu, które wy dobyło go z nicości! Niepokoi nas różnorodność kultów religijnych, niektórzy dopatrują się dowodu na fałszywość wiary właśnie w ich mnogości. Co za sofistyka! Czyż niezbitego dowodu egzystencji Istoty Najwyższej nie mamy właśnie w tej jedności ludów, które wszystkie uznają i czczą jakieś bóstwo, w tym cichym wyznaniu wiary, wrytym w sercu każdego człowieka i świadczącym dobitniej nawet niż wzniosłe cuda Natury? Jakże to? Człowiek nie może istnieć bez pojęcia Boga, nie może wniknąć w swe jestestwo nie znajdując natychmiast w sobie samych dowodów jego działania, nie może otworzyć oczu nie oglądając wszędzie śladów jego ręki, a miałyby weń wątpić? Nie, Florville, nikt nie może być ateistą w dobrej wierze: pycha, upór, namiętność, oto narzędzia zniszczenia wiary w Boga, tego Boga, który odżywa nieustannie w sercu i umyśle człowieka. A jeśli każde uderzenie serca, każdy błysk świadomości dowodzi mi egzystencji tej najpotrzebniejszej istoty, jakże bym śmiała odmówić jej swego hołdu, pozbawić ją daniny, na którą moja słabość zdobyć się może dzięki jej dobroci! Jakże bym mogła nie ukorzyć się przed jej wspaniałością i nie błagać o łaskę wytrzymania nędzy swego życia i uczestniczenia kiedyś w jej chwale! Czyż mogłabym nie walczyć o szczęście pogrążenia się w wieczności na łonie Boga albo narażać się na wtrącenie w otchłań nie kończących się męczarni, tylko przez upór w odrzucaniu niewątpliwych dowodów egzystencji Istoty Najwyższej, którymi zechciała ona zewsząd mnie otoczyć! Moje dziecko, ta przerażająca alternatywa nie pozwala nam nawet na chwilę wahania. O wy, którzy z uporem gasicie żar wzniesiony przez Boga w głębi waszych serc, choć przez chwilę bądźcie sprawiedliwymi i przynajmniej przez litość nad sobą przyznajcie rację niezbitemu argumentowi Pascala: „Jeśli nie ma Boga, cóż wam szkodzi weń wierzyć, jakie zło może wyniknąć z takiego założenia? Albowiem jeśli Bóg istnieje, na jak straszne niebezpieczeństwo wystawiacie się, odmawiając mu swej wiary!” Odpowiedzcie mi, niedowiarkowie, że trudno wam wybrać rodzaj hołdu, jaki winniście złożyć Bogu, ponieważ mnogość religii bardzo was deprymuje. Dobrze więc, zbadajcie wszystkie, chętnie się na to godzę, a potem orzeknijcie w dobrej wierze, w której znaleźliście największą powagę i majestat. Chrześcijanie zaprzeczcie, jeśli to możliwe, że właśnie ta, w której mieliście szczęście się urodzić, przewyższa wszystkie inne walorami świętości i wzniosłości! Gdzie spotkacie tak wielkie tajemnice, dogmaty tak czyste, tak podniosłą moralność? Czy w nauce jakiegokolwiek innego wyznania uda się wam odkryć bezgraniczną ofiarę bóstwa na rzecz swego stworzenia? Piękniejsze obietnice, radośniejszą przyszłość, doskonalsze i wznioślejsze pojęcie Boga? Nie, nie zdołasz tego dokonać modny filozofie; nie w twojej to mocy; niewolniku rozkoszy, którego wiara zmienia się wraz z fizycznym stanem nerwów; bezbożny, gdy znajdują się one w ogniu namiętności, łatwowierny, skoro tylko się uspokoją, nie jesteś zdolny do stałych poglądów. Uczucie dowodzi nieustannie istnienia Boga, przeciw któremu buntuje się twój rozum; jest on zawsze z tobą, nawet wówczas, gdy pogrążasz się w swoich błędach. Stargaj więzy, które przykuwają cię do zbrodni, a nigdy już ten potężny i majestatyczny Bóg nie opuści świątyni, którą wznosił w głębi twego serca! Albowiem w argumentach serca, a nie rozumu, trzeba, droga Florville szukać dowodu na istnienie Boga, aby zrozumieć, że wszystko w świecie uzasadnia go i wskazuje. I serce właśnie przekonuje nas o potrzebie kultu, któremu się poświęcamy, i tylko serce dowiedzie ci, droga przyjaciółko, że najszlachetniejszy i najczystszy ze wszystkich jest właśnie ten, w którym się urodziłyśmy. Oddawajmy się więc z zapalem i radością praktykom naszej wiary, pełnej słodyczy i pocieszenia, aby przeżyć w niej najpiękniejsze chwile i doszedłszy drogą miłości do ostatniego momentu życia złożyć na łonie Przedwiecznego tę duszę od niego otrzymaną, stworzoną po to tylko, aby radowała się poznaniem Boga, wierzyła weń i nieustannie go czciła.

Oto jak przemawiała do mnie pani de Lerince, oto jak umacniała mój umysł swoimi radami, oto jak dusza moja doskonaliła się pod jej świętą opieką. Wszelako, jak już panu obiecałam, pominię milczeniem drobne szczegóły mego życia w tym domu, aby zwrócić twoją uwagę tylko na sprawy najważniejsze. Mam przecież zwierzyć się panu ze swoich upadków, a skoro niebiosy pozwoliły mi żyć tam w spokoju i iść drogą cnoty, wystarczy, że podziękuję im i resztę przemilczę.

Przez cały czas nie przestałam korespondować z panią de Verquin, regularnie otrzymywałam od niej wiadomości dwa razy w miesiącu, a chociaż powinnam była niewątpliwie wyrzec się tej znajomości, chociaż poprawa obyczajów i nowe zasady w pewnym sensie wymagały ode mnie ostatecznego z nią zerwania, to jednak obowiązek wdzięczności wobec pana de Saint-Prét, a co więcej – wyznam szczerze – potajemny sentyment do miejsc, z którymi tak wiele drogich sercu wydarzeń niegdyś mnie wiązało, a wreszcie nadzieja, że być może otrzymam pewnego dnia jakieś wiadomości od mego syna, wszystko to skłaniało mnie do kontynuowania przyjaźni którą pani de Verquin ze swej strony starannie podtrzymywała. Próbowalam ją nawrócić, zachwalałam słodczy trybu życia, który teraz prowadziłam, ale uważała to za chimerę i nie przestawała szydzić z moich postanowień albo wprost je zwalczała trwając niezmiennie przy swoich przekonaniach. Upewniała mnie, że nic na świecie nie jest w stanie osłabić jej światopoglądu; pisała mi o nowych prozelitkach, które udało się jej pozyskać, stawiła ich pojętność znacznie powyżej mojej; ich liczne upadki – twierdziła ta przewrotna kobieta – były małymi triumfami, które dawały jej prawdziwe upojenie, a rozkosz zaprawiania tych młodych serc do występku i rozpusty pocieszała ją w strapieniu, iż nie wszystko, co podsuwała jej imaginacja, mogło być zrealizowane. Prosiłam często panią de Lerince, aby użyczała mi swego zręcznego pióra dla obalania wywodów mojej przeciwniczki, godziła się na to z prawdziwą radością; pani de Verquin zawsze nam odpowiadała, a jej sofizmaty, niekiedy bardzo zręczne, zmuszały nas do wspierania rozumu potężnymi dowodami wrażliwego serca, w które wierzyła najbardziej pani de Lerince, i tu znajdowałyśmy nieodparte argumenty, zdolne poniżyć występki i zmieszać niedowiarstwo. Prosiłam czasami panią de Verquin, aby doniosła mi cokolwiek o losach człowieka, którego nadal kochałam, ale nie potrafiła czy nie chciała nic mi napisać.

Czas już, abyśmy przeszli do drugiej katastrofy mojego życia, do tej krwawej historii, której wspomnienie za każdym razem rozdziera mi serce, a która – skoro tylko dowie się pan o ohydnej zbrodni, jakiej się dopuściłam – skłoni cię bez wątpienia do rezygnacji ze zbyt łaskawych dla mnie pańskich zamiarów.

Przy całej surowości obyczajów, panującej w domu pani de Lerince, którą już panu opisałam, przyjmowała ona jednak u siebie nielicznych przyjaciół. Pani de Dulfort, dama w podeszłym już wieku, niegdyś związana blisko z księżną Piemontu, która często nas odwiedzała, poprosiła pewnego dnia panią de Lerince, aby pozwoliła przedstawić sobie młodego człowieka gorąco jej poleconego, którego chciała wprowadzić do jakiegoś zacnego domu, gdzie liczne przykłady cnoty mogłyby przyczynić się do właściwego uformowania jego charakteru. Moja opiekunka chciała się od tego wymówić, twierdziła, że nigdy nie przyjmuje u siebie młodych mężczyzn, ale uległa w końcu gorącym prośbom swojej przyjaciółki i zgodziła się poznać kawalera de Saint-Ange. Zjawił się w naszym domu.

Czy było to przecucie, czy też cokolwiek innego, trudno mi powiedzieć, ale gdy ujrzałam tego młodzieńca, przejął mnie dreszcz, którego przyczyny nie potrafiłam odgadnąć... byłam bliska omdlenia. Nie analizując źródeł tego dziwnego uczucia przypisałam je jakiemuś wewnętrznemu niedomaganiu i Saint-Ange przestał mnie zajmować. Jeżeli jednak ów młody człowiek od pierwszego wejrzenia tak bardzo mnie poruszył, to ja sama zrobiłam na nim podobne wrażenie... dowiedziałam się o tym później z własnych jego ust. Saint-Ange przejęty był tak wielkim szacunkiem dla domu, do którego został wprowadzony, że nie ośmielił się w żaden sposób ujawnić wewnętrznego żaru, który się w nim rozpałił. Minęły więc trzy miesią-

ce, zanim ośmielił się do mnie przemówić; ale wzrok jego wyrażał tak wiele, że nie mogłam się mylić. Zdecydowana nie powtórzyć już nigdy występku, który niegdyś stał się przyczyną nieszczęścia mego życia, umocniona przez wzniosłe zasady, chyba ze dwadzieścia razy byłam już gotowa uprzedzić panią de Lerince o namiętności, którą zgadywałam w tym młodym człowieku; powstrzymana jednak przez obawę, że mogę go skrzywdzić, zachowałam w końcu milczenie. Fatalne, bez wątpienia, było to postanowienie, skoro stało się przyczyną przerażającego nieszczęścia, o którym chcę panu opowiedzieć.

Miałyśmy zwyczaj spędzać co roku sześć miesięcy w ładnej posiadłości wiejskiej, którą miała pani de Lerince o dwie mile koło Paryża. Pan de Saint-Prât często nas tam odwiedzał; na moje nieszczęście tego roku unieruchomiła go podagra nie był w stanie wyjechać na wieś. Mówię: na moje nieszczęście, gdyż pokładając w nim naturalnie większe zaufanie niż w jego kuzynce, wyznałabym mu na pewno to wszystko, czego nie śmiałam powiedzieć innym, a takie zwierzenie zapobiegłoby bez wątpienia tragicznemu wypadkowi, który wkrótce potem nastąpił.

Saint-Ange prosił panią de Lerince, aby mógł towarzyszyć nam w podróży, a ponieważ pani de Dulfort również na to nalegała, uzyskał w końcu zgodę.

Staraliśmy się usilnie dowiedzieć, kim był właściwie ten młody człowiek. Pochodzenie jego nie było ani pewne, ani określone; pani de Dulfort przedstawiła go nam jako syna jakiegoś szlachcica z prowincji, który był jej krewnym; on sam, zapominając czasami o tym, co mówiła pani de Dulfort, wspominał o sobie jako o Piemontczyku, co mogło być prawdą zważywszy jego znajomość języka włoskiego. Niczym się jeszcze nie zajmował, chociaż był w wieku, w którym mógł już coś robić, i nie wydawało się nam, aby na cokolwiek był zdecydowany. Skądinąd odznaczał się piękną figurą, był bardzo przystojny, ułożenie miał przyzwoite, wyrażał się szlachetnie i widać było, że otrzymał znakomitą edukację. Z tym wszystkim łączył jednak nadmierną żywość i pewnego rodzaju porywczosć, które to cechy temperamentu czasami nas przerażały.

Skoro pan de Saint-Ange znalazł się z nami na wsi, namiętności jego rozogniły się do tego stopnia wskutek hamulców, które usiłował sobie nałożyć, że nie potrafił już ich przede mną utaić. Drżałam z przerażenia... ale na tyle jeszcze byłam zdolna nad sobą panować, że okazywałam mu tylko współczucie.

– Doprawdy, mój panie – mówiłam – albo nie potrafisz zdecydować się, w którą stronę zwrócić swoje zainteresowania, albo masz dużo czasu do stracenia, skoro spędzasz go na wzdychaniu do kobiety dwa razy od ciebie starszej. Przypuśćmy nawet, że byłabym na tyle szalona, aby cię wysłuchać; jakież to śmieszne nadzieje ośmielasz się wiązać z moją osobą?

– Tylko nadzieję połączenia się z tobą, o pani, najświętszymi więzami małżeństwa; jakże mało mnie szanujesz, jeśli mogłaś przypuszczać cokolwiek innego!

– Drogie panie, nie mam zamiaru robić z siebie publicznego widowiska, przedstawiając światu kobietę trzydziestoczteroletnią, której zachciało się za męża siedemnastoletniego dzieciaka!

– Ach! Okrutna! Czy dostrzegalabyś te nieznaczne dysproporcje, gdyby w głębi twego serca tliła się choćby jedna tysięczna tego żaru, który spala moje?

– To prawda, że co do mnie, to jestem zupełnie spokojna... spokojna od wielu lat i będę nią, mam nadzieję, tak długo, dopóki spodoba się Bogu zachować mnie przy życiu.

– A więc odbierasz mi nawet nadzieję wzruszenia cię choćby w odległej przyszłości?

– Więcej nawet, stanowczo zabraniam panu rozmawiać odtąd ze mną o swoich szalonych pomysłach.

– Ach! Piękna Florville! Chciałabyś więc zostać nieszczęściem mego życia?

– Życzę panu i szczęścia i spokoju.

– Bez pani to niemożliwe!

– Tak... póki nie stłumisz w sercu niedorzecznych sentymentów, na które nie powinienesz być nigdy sobie pozwolić; spróbuj je zwalczyć, postaraj się opanować, a spokój twój powróci.

– Już nie potrafię.

– Bo nie chcesz; musimy się więc rozstać, abyś mógł odzyskać równowagę. Jeśli nie będzie mnie pan spotykał przynajmniej przez dwa lata, niepokój w tobie zgaśnie, zapomnisz o mnie i znowu będziesz szczęśliwy.

– Nigdy! Nie masz dla mnie szczęścia, jeno u twoich stóp...

W tym momencie przyłączyła się do nas reszta towarzystwa i trzeba było przerwać rozmowę.

W trzy dni później Saint-Ange znalazł okazję spotkania mnie na osobności i chciał wznowić niedawną dyskusję. Tym razem nakazałam mu milczenie tak surowo, że łzy pociekły obficie z jego oczu. Pożegnał mnie szorstko oświadczając, że wtrącam go w rozpacz i że rychło odbierze sobie życie, jeśli nadal będę go traktowała w ten sam sposób. Potem zawrócił i podbiegł do mnie jak szalony.

– Pani! zawołał – nie znasz jeszcze duszy, którą znieważasz! Tak, nie znasz mnie jeszcze... Wiedz, że zdolny jestem do najgorszego... do takich czynów, których nawet nie potrafisz sobie wyobrazić! Tak, po tyśiąćkroć posunę się raczej do ostateczności, a nie wyrzeknę się szczęścia, które w tobie widzę.

I odszedł pogrążony w przejmującej rozpacz. Nigdy nie odczułam większej niż wtedy pokusy, aby powiedzieć o wszystkim pani de Lerince, ale powstrzymałam mnie, powtarzam panu, lęk przed zaszkodzeniem temu młodemu człowiekowi; więc milczałam. Saint-Ange przez osiem dni starannie mnie unikał, zaledwie się odzywał, odsuwał się ode mnie przy stole, w salonie, na spacerach, po to niewątpliwie, aby sprawdzić, czy taka zmiana zachowania robi na mnie jakieś wrażenie. Gdybym podzielała jego uczucia, sposoby te na pewno okazałyby się skuteczne, ale byłam od nich tak daleka, że zachowałam minę, jakbym ledwo dostrzegała jego manewry.

W końcu przyłapał mnie w głębi ogrodu.

– Pani – powiedział, okazując gwałtowne wzburzenie – zdołałem wreszcie się uspokoić, rady twoje sprawiły pożądaną skutek... widzisz, jak jestem spokojny... chciałem zobaczyć się z panią na osobności, aby ostatecznie się pożegnać... tak, mam zamiar uciec przed tobą na zawsze... chcę uciec, nie zobaczysz już więcej człowieka, którego darzysz taką nienawiścią! O tak, nie zobaczysz mnie więcej!

– Zamysł pański sprawia mi wielką przyjemność; cieszę się, że odzyskałeś rozsądek. Ale – dodałam z uśmiechem – to nawrócenie nie wydaje mi się jakoś szczere.

– W jaki więc sposób mogę przekonać panią o swojej obojętności?

– Zachowaniem zgoła odmiennym niż dotychczas.

– Kiedy już mnie tutaj nie będzie... kiedy nie będę już sprawiał pani przykrości swoim widokiem, może uwierzysz jednak w zmianę, którą takim wysiłkiem starałaś się we mnie wywołać?

– To prawda, że dopiero taki krok zdoła mnie przekonać; nie przestaję doradzać go panu od dawna.

– Ach! Wydaję się więc pani aż tak odrażającym?

– Jest pan bardzo miłym chłopcem, który wszelako powinien zająć się odpowiednimi dla siebie dziewczętami i zostawić w spokoju kobietę, która nie jest w stanie pana wysłuchać.

– Wysłuchasz mnie jednak! – zawołał z gniewem. – Tak, okrutna, wysłuchasz, choćbyś nie chciała, wszystkich płomiennych uczuć zrodzonych w mej duszy, wysłuchasz przysięgi, że nie ma takiego czynu, na który bym się nie odważył, aby cię pozyskać... albo zmusić! Chyba nie wierzy pani – mówił porywczo – w mój rzekomy wyjazd? Udałem ten zamiar, aby cię wypróbować! Miałbym odjechać... miałbym porzucić miejsce, w którym ty przebywasz... po tyśiąćkroć dałbym raczej odebrać sobie życie! Przeklinaj mnie, perfidna, przeklinaj, skoro

taki jest mój nieszczęsny los, ale nie lędz się, że zdołasz kiedykolwiek zwalczyć we mnie miłość, którą żywię ku tobie...

Wymawiając te słowa Saint-Ange był w takim stanie, że w przedziwny i niepojęty sposób zdołał do tego stopnia mnie wzruszyć, iż musiałam odwrócić się, aby ukryć łzy; zostawiłam go w głębi zarośli, w których przed chwilą mnie zatrzymał. Nie poszedł za mną; słyszałam, iż upadł na ziemię w przystępie jakiegoś okropnego delirium. Ja sama, chociaż z całą pewnością, może mi pan wierzyć, nie żywiłam żadnych miłosnych uczuć dla tego młodzieńca, byłam do tego stopnia poruszona, czy to współzuciem, czy wspomnieniami, że nie potrafiłam powstrzymać się od szlochu.

– Niestety – mówiłam sobie, oddając się bolesnym rozmyśleniom – tak samo mówił niegdyś do mnie Senneval... tymi samymi słowami przekonywał mnie o swoich płomiennych uczuciach... Było to również w ogrodzie... w takim samym jak tutaj... mówi, że będzie miłował mnie wiecznie... a przecież tak okrutnie mnie oszukał! Boże sprawiedliwy! Był w tym samym wieku! Ach! Senneval, Senneval, czyżbyś raz jeszcze chciał odebrać mi spokój? Czy po raz drugi zjawiasz się przede mną w uwodzicielskiej postaci tego chłopca, aby znowu wciągnąć mnie w przepaść? Uchodź, nędzniku, przecz stąd, brzydę się nawet twoim wspomnieniem!

Osuszyłam łzy i zamknęłam się w swoim pokoju aż do kolacji; zesłam wtedy na dół, ale Saint-Ange nie pojawił się przy stole; kazał zawiadomić, że czuje się chory, a nazajutrz był już tak opanowany, iż z twarzy jego wyczytałam tylko spokój. Dałam się oszukać; naprawdę uwierzyłam, iż zdołał przemóc w sobie tę nieszczęsną namiętność. Łudziłam się! Perfidny! Niestety! Nie wolno mi obrzucać go inwektywami... ma już tylko prawo do moich łez, do moich wiecznych wyrzutów sumienia...

Saint-Ange mógł zdobyć się na taki spokój tylko dlatego, że ułożył już ostatecznie swoje plany. Minęły dwa dni; pod wieczór trzeciego obwieścił publicznie swój wyjazd; umówił się podobno ze swoją protektorką, panią de Dulfurt, w sprawie wspólnych interesów w Paryżu.

Wszyscy pokładli się spać... Zechce mi pan wybaczyć wzburzenie, w które wtrąca mnie myśl o tej strasznej katastrofie... nie potrafię wracać do tych wspomnień nie dygocząc ze zgrozy...

Ponieważ zapowiadała się noc nadzwyczaj gorąca, leżałam w łóżu prawie naga. Pokojówka wyszła, zgasiłam świecę... Na nieszczęście zostawiłam obok posłania otwarty koszyczek do robót ręcznych, gdyż skończyłam właśnie wycinać owal, którego nazajutrz potrzebowałam. Ledwo zdążyłam przymknąć oczy, gdy usłyszałam jakiś szmer... zerwałam się żywo i usiadłam... gdy nagle uczułam, że obejmuje mnie czyjeś ramię...

– Nie ujdiesz mi, Florville, – usłyszałam głos Saint-Ange’a, gdyż on to był właśnie – Przebacz, ale to było ponad moje siły... nie próbuj się wyrwać... musisz być moja!

– Nikczemny uwodzicielu! – zawołałam – precz stąd natychmiast albo zadrzysz przed skutkami mego gniewu!

– Boję się tylko jednego: że mogę cię nie mieć, okrutna dziewczyno! – odpowiedział roz-namiętniony młodzieniec, chwytając mnie tak zręcznie i z taką siłą, iż w chwilę potem byłam już jego ofiarą, nie zdoławszy podjąć obrony... Rozwścieczona tą zuchwałością, zdecydowana na wszystko, byle tylko nie dopuścić do dalszych skutków tej sytuacji, zdołałam oswobodzić się na tyle, że mogłam uchwycić nożyce leżące u moich stóp. Mimo gniewu panowałam jednak nad sobą i szukałam w ciemnościach jego ramienia, aby tu jedynie ugodzić i raczej odstraszyć go swoją determinacją niż ukarać stosownie do winy. Czując moje szamotanie podwoił gwałtowność swoich wysiłków.

– Precz! Zdrajco! – wołałam, uderzając, jak sądziłam, w jego ramię – precz stąd natychmiast i wstydz się tej zbrodni!

Och, panie de Courval! Fatalnie wymierzyłam swoje ciosy! Nieszczęśliwy młodzieniec krzyknął i osunął się na podłogę. Zapaliłam świecę i pochyliłam się nad nim... Boże sprawie-

dliwy! Przebiłam mu serce... umierał! Rzuciłam się na krwawiące ciało, przycisnęłam je w rozpacz do piersi... złączyłam z nim usta, usiłując powstrzymać uchodzącą duszę; łzami zalewałam krwawiącą jego ranę. O drogi! Którego jedyną zbrodnią była zbyt wielka miłość do mnie – wołałam w zamroczeniu – czy zasłużył na taką kaźń? Miałbyś stracić życie z ręki kobiety, której gotów byłeś je poświęcić? Nieszczęśliwy młodzieńcze... tak podobny do człowieka, którego kiedyś uwielbiałam... jeżeli moja miłość mogłaby przywrócić ci życie, to dowiedz się w tej strasznej chwili, kiedy nie możesz już mnie usłyszeć... dowiedz się, jeżeli pozostała w tobie choć isierka świadomości, że chciałabym cię ożywić nawet za cenę reszty moich dni... dowiedz się, że nigdy nie byłeś mi obojętny, że nie mogłam patrzeć na ciebie bez wielkiego wzruszenia, a uczucia moje ku tobie były chyba szlachetniejsze od marnej miłości, która gorzała w twym sercu!

Wołając tak upadłam bez zmysłów na zwłoki tego nieszczęśliwego młodzieńca; pokojówka usłyszała hałas, wbiegła do pokoju, poczęła mnie cucić, usiłowała przywrócić do życia biednego Saint-Ange'a. Niestety! Wszystko na próżno! Wybiegłyśmy z tego fatalnego pokoju, zamykając starannie drzwi i zabierając klucz, i wyjechałyśmy natychmiast do Paryża po pana de Saint Prât. Kazałam go obudzić, wręczyłam mu klucz do śmiertelnej sypialni, opowiedziałam straszną przygodę. Użalił się nade mną, pocieszał i mimo choroby udał się natychmiast do pani de Lerince: ponieważ z jej posiadłości nie było daleko do Paryża, udało się wszystko załatwić tej samej nocy. Mój opiekun przyjechał do swojej kuzynki o świcie, kiedy w domu służba poczęła dopiero wstawać i nic jeszcze na jaw nie wyszło. Najlepsi przyjaciele, najbliżsi krewni nigdy nie zachowaliby się szlachetniej; oboje dalecy byli od naśladowania ludzi głupich czy okrutnych, którzy w takiej sytuacji rozgłaszają z rozkoszą wszystko, co może pognać i unieszczęśliwić ich samych i całe otoczenie; domownicy nawet nie domyślali się tego, co zaszło w tym domu...

– A więc, panie de Courval – powiedziała panna de Florville, przerywając opowieść z powodu łkania, które ścisnęło ją za gardło – czy chciałbyś poślubić kobietę zdolną do takiego mordu? Czy ścierpiałbyś w swoich ramionach istotę, która zasłużyła na najcięższą karę? Nieszczęśnicę, którą torturuje nieustannie wspomnienie zbrodni? Która od tej strasznej chwili ani jednej nocy nie przespała spokojnie? Tak, proszę pana, nie było odtąd nocy, aby moja nieszczęśliwa ofiara nie jawiła mi się skąpana we krwi, którą wytoczyłam z jej serca....

– Proszę się uspokoić, zaklinam panią! – odrzekł pan de Courval, łącząc swe łzy z płaczem tej niezwyklej dziewczyny. – Znając wrażliwą duszę, którą obdarzyła cię Natura, rozumiem twoje wyrzuty sumienia. Ale cała ta fatalna przygoda nie ma znamion zbrodni; bez wątpienia, straszne to nieszczęście, ale tylko nieszczęście. Nie zamyśliłaś przecież zabójstwa, nie kierowałaś się żądzą krwi, chciałaś tylko obronić się przed okropnym zamachem... było to jednym słowem, zabójstwo przypadkowe, w obronie własnej... Rozchmurz się, uspokój, żądam tego! Najsurowszy z trybunałów mógłby tylko osuszyć twe łzy. Och! Jakże się mylisz, jeśli sądzisz, że takie wydarzenie mogłoby pozbawić cię w mym sercu tych wszystkich praw, które przyznały ci twe zalety! Nie, piękna Florville, przygoda taka, zamiast cię zhańbić, objawia tylko mym oczom wszystkie twoje cnoty; czyni cię tym godniejszą wspierającego i pocieszycielskiego ramienia, które powinno ci dopomóc w zapomnieniu tej rozterki.

– To wszystko, co w swojej dobroci raczy mi pan mówić – odrzekła panna de Florville – powiadał również pan de Saint-Prât. Ale wasze słowa nie mogą jednak stłumić mych wyrzutów sumienia, cierpienia nie ukoją. Mniejsza z tym. Chcę mówić dalej, zapewne jest pan ciekawy zakończenia tej historii.

Trudno wątpić, że pani de Dulfort była w rozpacz; ów młody człowiek tak ją interesował i był jej tak gorąco polecony, że opłakiwała szczerze jego zgon. Rozumiała jednak potrzebę tajemnicy, wiedziała, że rozgłos mógłby mnie zgubić, ale nie przywróciłby z pewnością życia jej protegowanemu, więc milczała. Pani de Lerince, mimo całej surowości swoich zasad i obyczajów, postąpiła jeszcze szlachetniej, gdyż roztropność i miłosierdzie były szczególnymi

zaletami jej charakteru; rozgłosiła przede wszystkim w domu, że wskutek dziwnej fantazji zachciało mi się wyjechać w nocy do Paryża, aby odetchnąć po drodze świeżym powietrzem, że uprzedziłam ją z góry o tym ekstrawaganckim pomysle; że zresztą poczułam się już o wiele lepiej, więc jej zamiarem jest pośpieszyć teraz za mną do stolicy i tam zostać do kolacji; pod tym pretekstem zwolniła na ten wieczór całą służbę. Pozostawszy sama z przyjaciółką i panem de Saint-Prât posłała po księdza; proboszcz pani de Lerince był również jak ona człowiekiem rozsądnym i światłym; bez żadnych trudności wydał pani de Dulfort urzędowe zaświadczenie o naturalnym zgodnie i pochował osobiście, w tajemnicy i tylko przy pomocy dwóch swoich ludzi, nieszczęśliwą ofiarę mojego zapamiętania.

Po dokonaniu tego dzieła wszyscy zaprzysięgli utrzymanie tajemnicy, a pan de Saint-Prât pośpieszył mnie uspokoić, zdając sobie sprawę ze wszystkiego, co zostało dokonane, aby czyn mój pozostał na zawsze w zupełnym utajeniu. Chciał mnie namówić, abym powróciła najzwyczajniej do pani de Lerince... była gotowa mnie przyjąć... ale nie mogłam się na to zdobyć; wówczas doradził mi jakąkolwiek podróż. Pani de Verquin, z którą utrzymywałam ciągle, jak już panu mówiłam, przyjazną korespondencję, od dawna nalegała, abym odwiedziła ją i spędziła u niej parę miesięcy, powiedziałam o tym jej bratu, zgodził się i w osiem dni później wyjechałam do Lotaryngii.

Niestety, wspomnienie mej zbrodni szło za mną wszędzie, nie mogłam się uspokoić. Zrywałam się w środku nocy, słysząc jęki i krzyk biednego Sain-Ange'a, widziałam go nadal skrwawionego u swoich stóp; zdawało mi się, że gorzko wypomina mi moje okrucieństwo, że przysięga, iż wspomnienie tego potwornego czynu ścigać mnie będzie aż do grobu, a zarazem boleje, iż nie poznałam się na sercu, które przebiłam morderczym ostrzem...

Pewnej nocy stanął przede mną Senneval, nieszczęsny kochanek, którego nie mogłam zapomnieć, gdyż tylko on wiązał mnie jeszcze z Nancy, i pokazał mi dwa trupy: Saint-Ange'a i jakiejś obcej mi zupełnie kobiety². Oblewał je łzami i wskazywał opodal trumnę wyslaną cierniami, która zdawała się dla mnie otwierać. Zbudziłam się w strasznym podnieceniu, tyśiące mieszanych uczuć kłębiły się w mej duszy, jakiś wewnętrzny głos mówił mi: „Zawsze, gdy zaśniesz, ta nieszczęsna ofiara będzie ci wyciskać z oczu krwawe i co dzień boleśniejsze łzy. Cierń twych wyrzutów sumienia będzie szarpał cię nieustannie i nigdy nie stępieje”...

W takim oto stanie ducha przybyłam do Nancy; oczekiwały mnie tam nowe i wielkie strapienia; skoro raz jeden ręką losu przygniecie nas swoim ciężarem, ciosy jego prędko się pomnażają.

Zajechałam zaraz do domu pani de Verquin; prosiła mnie o to w swym ostatnim liście, radując się z góry – jak pisała – na myśl, że znowu mnie zobaczy. Wielki Boże, w jakiej sytuacji było nam dane zakosztować wzajemnie tej radości! Leżała na łożu śmierci, chociaż minęło ledwo piętnaście dni od chwili, gdy pisała do mnie... opowiadała o swoich aktualnych radościach i dzieliła się nadzieją na przyszłość... I cóż są warte plany śmiertelników, skoro w dniu, kiedy je układają, wśród zabaw i rozkoszy bezlitosna śmierć przecina nić ich żywota; i nie zastanowiwszy się nawet nad tą straszną chwilą, żyjąc tak, jakby istnieć mieli tutaj wiecznie, odchodzą nagle w ciemną otchłań nieśmiertelności, niepewni losu, który ich tam czeka!

Muszę przerwać na chwilę historię swego życia, aby opowiedzieć panu o tej bolesnej stracie i ukazać ci przedziwny i straszny stoicyzm, z którym ta kobieta wstąpiła do grobu.

Pani de Verquin, która była już osobą niemłodą, miała bowiem lat pięćdziesiąt dwa, po jakiejś szaleńczej orgii skoczyła do wody, aby się ochłodzić, a wyniosła z niej chorobę, która rozwinęła się w niebezpieczne cierpienie; nazajutrz wywiązało się zapalenie płuc; szóstego dnia powiedziano jej, że ma przed sobą najwyżej dwadzieścia cztery godziny życia. Wiadomość ta wcale jej nie strwożyła; wiedziała, że mam przyjechać, wydała polecenia, aby należycie mnie przyjęto. Przyjechałam... i oto zaraz na progu powiedziano mi o orzeczeniu lekarza, że tej samej nocy powinna skonać. Kazała się położyć w pokoju urządzonym z najwyż-

² Należy zapamiętać te słowa: „obcej mi zupełnie kobiety”, aby nie zgubić wątku opowieści. Florville poniesie jeszcze inne klęski, zanim rozjaśni się mrok i pozna imię osoby, która widziała we śnie.

szym smakiem i elegancją; spoczywała w negliżu na rozkosznym łożu, którego liliowe zasłony były wdzięcznie uniesione przez girlandy żywych kwiatów, goździki, jaśminy, róże i tuberozy zdobiły wszystkie kąty jej sypialni, kwiecie wysypywało się z koszyków, pokrywało cały pokój i łożo. Gdy mnie ujrzała, wyciągnęła ręce:

– Chodź, Florville – mówiła – uściśnij mnie, siadź na tym kwietnym łożu... jakżeś wyrosła i wypiękniała... Och! Doprawdy, moje dziecko, cnota jakoś ci służy... Wiesz już o moim stanie... mówiono ci... Ja też wiem... za parę godzin już mnie nie będzie; nie przypuszczałam, że na tak krótko się spotkamy... – A dostrzegając łzy w moich oczach uśmiechnęła się: – Cicho, głuptasie, nie bądź dzieckiem... Myślisz może, że jestem nieszczęśliwa? Czyż nie dosyć nacieszyłam się życiem? Niewiele tracę, tylko lata, kiedy i tak trzeba by było wyrzec się rozkoszy, a jakże ja bym się bez niej obchodziła? Naprawdę, nie skarzę się, że nie dożyję starości; za parę lat żaden mężczyzna już by mnie nie zechciał, a ja zawsze pragnęłam żyć tylko tak długo, póki w nikim nie budzę odrazy. Moje dziecko, tylko wierzący lękają się śmierci; zawieszeni stale między piekłem a niebem, niepewni swojego ostatecznego przeznaczenia, są nieustannie przygniecenii trwogą i niepokojem. Ja nie spodziewam się niczego, pewna jestem, że po śmierci nie będę nieszczęśliwsza niż przed urodzeniem, więc zasnę cicho na łonie Natury, bez żalu i bólu, bez wyrzutów sumienia i bez niepokoju. Kazałam się pochować pod krzakiem jaśminu, przygotowano już tam dla mnie miejsce, tam spocznę, Florville, a częstokim mego rozpadłego ciała pożywią się kwiaty, które najbardziej ukochałam. Widzisz – uśmiechnęła się, pieszcząc moje policzki gałązką jaśminu – gdy w przyszłym roku poczujesz zapach tego krzewu, oddychać będziesz duszą swojej starej przyjaciółki. Cząsteczki kwiatów przenikną do tkanek twego mózgu, natchną cię pięknymi ideami i skłonią, byś znowu pomyślała o mnie.

Z oczu płynęły mi łzy... ścisłałam ręce tej nieszczęśliwej kobiety, chciałam nakłonić ją, aby wyrzekła się tych strasznych idei materializmu na rzecz systemu mniej bezbożnego. Zaledwie jednak ujawniłam to pragnienie, gdy pani de Verquin odtrąciła mnie ze zgrozą.

– Florville! – zawołała – błagam cię, nie zatruwaj swoim przesadami ostatnich chwil mego życia, pozwól mi umrzeć w spokoju. Nie po to gardziłam nimi przez całe życie, aby ulec im w chwili śmierci!

Zamilkłam; cóż by pomogły moje słabe argumenty w obliczu takiej stałości? Oplakiwałam więc panią de Verquin, nie próbując jej nawracać; nie pozwalało mi na to poczucie ludzkości. Zadzwoiła; a wtedy posłyszałam dźwięki koncertu słodkiego i melodyjnego, który brzmiał za ścianą.

– Widzisz – powiedziała ta epikurejka – tak chciałam umrzeć! Czyż nie więcej to warte niż konanie w otoczeniu księży, którzy zakłócają ostatnie chwile życia niepokojem, groźbami i rozpaczą? Nie, chcę pokazać twoim bigotom, że można umrzeć spokojnie nie upodabniając się do nich; chcę ich przekonać, że nie religii potrzeba, aby skonać w równowadze ducha, ale tylko odwagi i rozsądku.

Dzień się nachylił ku wieczorowi; przyszedł notariusz, kazała go wprowadzić. Muzyka umilkła; podyktowała swoją ostatnią wolę; nie mając dzieci i od wielu lat żyjąc we wdowieństwie była panią dużego majątku; zapisała znaczne legaty przyjaciołom i służbie. Potem kazała podać sobie małą szkatułkę z sekretery stojącej obok łoża.

– Oto co mi pozostało – rzekła – trochę pieniędzy i klejnotów. Zabawmy się przez resztę wieczoru; jest was sześcioro w tym pokoju, podzielę to na sześć części; zrobimy loterię, wyciągniecie losy i każdy weźmie cząstkę, która mu przypadnie w udziale.

Zdumiewałam się zimną krwią tej kobiety; niepojęte było dla mnie, jak można z sumieniem obciążonym tylu grzechami tak spokojnie oczekiwać ostatniej chwili życia. Potworne są skutki niedowiarstwa! Jeżeli przejmuję nas zgrozą okropna śmierć niektórych złoczyńców, bardziej jeszcze powinna was zatrwożyć tak wielka zatwardziałość w chwili zgonu!

Wszelako życzeniu jej stało się zadość. Kazała podać wspaniałą kolację, skosztowała wielu dań, piła hiszpańskie wina i likiery; lekarz nie bronił jej tego mówiąc, że w jej stanie nic już nie może zaszkodzić.

Wyciągnęliśmy losy, wypadło na każdego prawie po sto ludwików, bądź w złocie, bądź też w klejnotach. Ledwo skończyliśmy tę zabawę, gdy schwycił ją gwałtowny atak.

– A więc... czy to już? – zwróciła się do lekarza z niezmienną pogodą ducha.

– Lękam się, pani...

– Chodź więc, Florville – powiedziała, wyciągając do mnie ręce – przyjmij moje ostatnie pożegnanie, chciałabym skonać w objęciach cnoty... – Przytuliła się do mnie kurczowo, a w chwilę potem piękne jej oczy zamknęły się na zawsze.

Byłam obca w tym domu i nic więcej już mnie z nim nie wiązało, opuściłam go więc natychmiast... domyśla się pan, w jakim stanie... i jak wydarzenie to wstrząsnęło moją imaginacją.

Zbyt wiele dzieliło sposób myślenia pani de Verquin od mojego światopoglądu, abym mogła ją szczerze miłować; czyż nie była zresztą pierwszą przyczyną mojego upadku i wszystkich jego konsekwencji? Wszelako ta niewiasta, siostra jedynego człowieka, który opiekował się mną przez całe życie, okazywała mi zawsze tyle względów, była dla mnie tak łaskawa nawet w chwili zgonu, że łzy moje były szczerze, a gorycz ich pomnożona refleksją, że mimo wszystkich swoich znakomitych zalet ta nieszczęsna istota sama się zgubiła, a teraz odrzucona od tronu Przedwiecznego cierpi bez wątpienia najokrutniejsze męczarnie, przeznaczone dla dusz tak zdeprawowanych... Tylko myśl o niezmierniej dobroci Boga pocieszała mnie w tych rozpaczliwych rozważaniach; padałam na kolana, ośmielałam się błagać Najwyższą Istotę o zmiłowanie nad nieszczęśliwą. Ja, która tak bardzo potrzebowałam miłosierdzia niebios, chciałam wyprosić je dla innych! Aby zaś w miarę swoich możliwości złagodzić gniew nieba, przeznaczyłam na jałmużnę dziesięć ludwików ze swego udziału w loterii pani de Verquin i kazałam natychmiast rozdzielić je wśród ubogich tej parafii.

Ostatnia wola zmarłej została skrupulatnie wypełniona; zbyt starannie się zresztą zabezpieczyła, aby można było w czymkolwiek jej uchybić. Pochowano zwłoki pod krzewem jaśminu, a na płycie nagrobnej wyryte zostało tylko jedno słowo: VIXIT.

Tak oto skończyła siostra mojego najbliższego przyjaciela; pełna wiedzy i zalet umysłu, uformowana z samych wdzięków i talentów, pani de Verquin zdolna była przy innej konducie zasłużyć na szacunek i miłość wszystkich, którzy ją znali; niestety, wzbudzała tylko pogardę. Rozwiązłość jej wzmagala się wraz z upływem lat; brak zasad nigdy nie jest bardziej niebezpieczny niż w wieku, kiedy utraciło się już poczucie wstydlivości; zepsucie zżera serce, wyrafinowanie pogłębia występki i niepostrzeżenie dochodzi się do zbrodni sądząc, że popełnia się najwyżej nieznaczne błędy. Wszelako niewiarygodne zaślepienie jej brata nie przestawało mnie zdumiewać; tak wielka jest moc dobroci i naiwności! Ludzie szlachetni nigdy nie podejrzewają u innych zła, do którego sami nie są zdolni i dlatego właśnie padają od razu ofiarą pierwszego nicponia, który zechce ich zwodzić; stąd tak łatwo i tak niegodziwie jest ich oszukiwać; bezczelny łotr, który godzi na ich cześć lub mienie, musi jeno dostatecznie się upodlić, a nie dowiódłszy nawet swej biegłości w zbrodni, tym bardziej przyczynia się do rozślawienia cnoty.

Wraz ze śmiercią pani de Verquin postradałam wszelką nadzieję na otrzymanie kiedykolwiek jakichś wiadomości o swym kochanku i swoim synu; pojmuje pan, że nie mogłam rozmawiać z nią o tych sprawach w tak strasznym stanie, w jakim ją zastałam.

Zdruzgotana tą katastrofą, umęczona podróżą którą odbyłam w krańcowym upadku ducha, postanowiłam odpocząć przez jakiś czas w Nancy; w oberży, w której się zatrzymałam, nie spotykając się absolutnie z nikim, tym bardziej że pan de Saint-Prât zdawał się życzyć sobie, abym taila swoje nazwisko. Stąd też napisałam do swego drogiego opiekuna, zdecydowana wyjechać dopiero po otrzymaniu jego odpowiedzi.

„Nieszczęśliwa dziewczyna, która nic dla pana nie znaczy – pisałam – która ma prawo tylko do twej litości, ciągle zakłóca spokój twej egzystencji. Zamiast rozprawiać o bólu, w którym jest pan pogrążony z powodu poniesionej straty, ośmiela się pisać o swoich kłopotach, prosić o twe wskazania i oczekiwać rozkazów” etc.

Ale było widać przeznaczone, że nieszczęście ma ścigać mnie wszędzie i że nieustannie będę albo ofiarą, albo świadkiem jego złowrogich działań!

Pewnego wieczoru wracałam dość późno z przechadzki w towarzystwie swojej służebnej; szła ze mną tylko ta dziewczyna i dochodzący lokaj, którego najęłam po przyjeździe do Nancy; w oberży wszyscy już spali. Kiedy otwierałam drzwi swego mieszkania, kobieta co najmniej już pięćdziesięcioletnia, wysoka, bardzo jeszcze przystojna, którą znałam z widzenia od czasu, kiedy mieszkałam w tym samym hotelu, wybiegła nagle ze swego pokoju sąsiadującego z moim i trzymając w ręku sztylet wpadła do izby po drugiej stronie korytarza... Wiedzioma naturalnym odruchem chciałam zobaczyć, co się dzieje... pobiegłam... za mną pośpieszyli moi służący. W mgnieniu oka, zanim zdołaliśmy wszczać alarm czy pośpieszyć z pomocą, ta nieszczęśnica rzuciła się na jakąś kobietę, przebiła ją nożem ze dwadzieścia razy, a potem zawróciła i wbiegła do swego pokoju, nawet nas nie dostrzegając. Wydało się nam wtedy, że była to obłąkana; nie rozumieliśmy zbrodni, w której trudno było dopatrzeć się jakiegoś motywu. Pokojówka i służący poczuli krzyknąć; nie zdając sobie sprawy, czemu to czynię, stanowczym ruchem nakazałam im milczenie, schwyciłam za rękę i wciągnęłam do swojego pokoju, gdzie zaraz się zamknęliśmy.

Z korytarza dobiegały nas odgłosy strasznego zamieszania; zraniona śmiertelnie kobieta zdołała dowlec się do schodów, wydając przeraźliwe wrzaski; zanim skonała, wyszeptła jeszcze nazwisko swojej morderczynie. Ponieważ zaś wiadomo, że tego wieczoru jako ostatni wróciliśmy do oberży, zaarrestowano nas razem z przestępczynią. Zeznania umierającej nie pozostawiły co do nas żadnych wątpliwości, władze zadowolili się więc nakazaniem nam jedynie, abyśmy do zakończenia procesu nie opuszczali oberży. Zawleczona do więzienia zbrodniarka nie przyznała się do niczego i broniła się przed oskarżeniem z wielką stanowczością; oprócz mnie i dwojga moich służących nie było innych świadków, trzeba więc było stanąć przed sądem... zeznawać... i ukryć starannie niepokój, który rozdzierał mi duszę. Przecież ja sama również zasłużyłam na śmierć, podobnie jak owa zbrodniarka, którą moje wymuszone zeznania miały zaprowadzić na szafot; dopuściłam się podobnej zbrodni! Nie wiem, ile bym dała, byle tylko uniknąć tych okrutnych zeznań; gdy je składałam, zdawało mi się, że za każdym słowem wydzierają mi z serca po kropli krwi. Musiałam jednak mówić; zeznaliśmy, cośmy widzieli. Aczkolwiek wszyscy przekonani byli o zbrodni tej kobiety, która – jak się dowiedziałam – zabiła swoją rywalkę, chociaż – powiadam – sędziowie byli pewni, że jest winna, okazało się jednak, że bez naszych zeznań nie można było jej skazać, gdyż w aferę tę zamieszany był pewien mężczyzna podejrzanego konduity, który zbiegł, a łatwo mógł być osądzony o dokonanie tego mordu. Ale zeznania nasze, a zwłaszcza lokaja, który należał do personelu oberży i znał dobrze dom, w którym popełniono zbrodnię... te okrutne zeznania, których bez własnej kompromitacji nie mogliśmy odmówić, przypieczętowały wyrok śmierci na tę nieszczęśliwą.

W czasie ostatniej konfrontacji kobieta ta przypatrywała mi się z wyraźnym poruszeniem, a potem zapytała, ile mam lat.

– Trzydzieści cztery – odrzekłam.

– Trzydzieści cztery? I pochodzisz z tej prowincji?

– Nie, pani.

– A nosisz nazwisko Florville?

– Owszem – odpowiedziałam – tak się nazywam.

– Nie znałam pani – mówiła – ale jesteś osobą uczciwą i jak powiadają, szanowaną w tym mieście. To wystarczy, na moje nieszczęście... – I kontynuowała z przejęciem: – Widziałam panią we śnie, wśród tych wszystkich okropności... była pani razem z moim synem... gdyż jestem matką, i to, jak widzi pani, nieszczęśliwą... miałaś tę samą postać, ten sam wzrost, tę suknię... a przede mną wznosił się szafot...

– We śnie! – zawołałam – we śnie, o pani.. – Wtedy dopiero przypominałam sobie własny sen sprzed niejakiego czasu; uderzyły mnie rysy twarzy tej kobiety; rozpoznałam w niej postać, która ukazała mi się razem z Sennevałem obok cierniowej trumny... Oczy zwilżyły mi się łzami; im bardziej przyglądałam się tej kobiecie, tym usilniej pragnęłam odwołać swoje zeznania... nawet przyjąć na siebie jej wyrok śmierci... Chciałam uciekać, a nie mogłam się poruszyć. Dostrzeżono moje zmieszanie, ale trybunał był przeświadczony o mojej niewinności, więc zadowolił się przerwaniem naszej rozmowy... Wróciłam do siebie zdruzgotana, pełna sprzecznych uczuć, których źródła nie potrafiłam sobie wytłumaczyć. Nazajutrz poprowadzono tę nieszczęśnicę na śmierć.

Tego samego dnia otrzymałam odpowiedź od pana de Saint-Prât; zobowiązał mnie do powrotu. Po tych fatalnych wydarzeniach Nancy nie było dla mnie przyjemnym miejscem pobytu, opuściłam je więc niezwłocznie i podążyłam do stolicy, ścigana teraz przez widmo tej kobiety, które zdawało się wołać za mną: „To ty, nieszczęsna, posłałaś mnie na szafot, a nie wiesz nawet, kogo skazałaś na śmierć!”

Wstrząśnięta tylu ciosami, przygnieciona takim strapieniem, prosiłam pana de Saint-Prât, aby wyszukał mi jakieś schronienie, gdzie mogłabym dokonać żywota w najgłębszym osamotnieniu, oddając się tylko pokutom i spełnianiu religijnych obowiązków. Wskazał mi klasztor, w którym mnie pan znalazł; zamieszkałam tutaj w tym samym tygodniu, zdecydowana opuszczać jego mury tylko dla odwiedzenia dwa razy w miesiącu swojego opiekuna i spędzenia zarazem kilku dni u pani de Lerince. Ale niebiosa, które nie szczędziły mi cierpień, nie pozwoliły również radować się długo szczęściem obcowania z tą ostatnią przyjaciółką; utraciłam ją w ubiegłym roku. Była dla mnie zbyt dobra, abym opuściła ją w tych ostatnich okrutnych chwilach; ona także umarła na moich rękach.

Ale czy uwierzy pan? Nie miała tak spokojnej śmierci jak pani de Verquin; tamta niczego się nie spodziewała i nie bała się wszystkiego utracić; ta zaś zdawała się lękać utraty wszelkiej nadziei. Nie widziałam najmniejszych wyrzutów sumienia u kobiety, która powinna była uginać się pod ich ciężarem; u tej natomiast, która wolna była od wszelkiego grzechu, pojawiły się one przed zgonem, Pani de Verquin w chwili śmierci żałowała jedynie, że nie dosyć grzeszyła; pani de Lerince konała wyrzucając sobie, iż czyniła za mało dobra. Pierwsza okryła się kwiatami, oplakując jedynie utratę rozkoszy; druga chciała umrzeć na pokutniczym łożu, rozpaczając na wspomnienie godzin, które zaniedbała poświęcić cnocie.

Zastanowiły mnie te przeciwieństwa i trochę zwątpienia wkradło się do mej duszy. – I czemuż to – mówiłam sobie – spokój w ostatniej chwili życia nie jest udziałem cnoty, ale raczej grzechu i występku? – Ale w tej samej chwili umocnił mnie jakiś wewnętrzny głos, pochodzący z głębi serca. – Czy przystoi mi – pomyślałam – badać zamiary Przedwiecznego? To, co widziałam: winno mnie jeszcze bardziej umocnić w wierze: trwoga pani de Lerince była niepokojem cnoty, natomiast okrutna apatia pani de Verquin ostatnim dowodem skutków zbrodni. Ach! Gdybym mogła wybrać dla siebie rodzaj śmierci, niechby Bóg przyznał mi łaskę niepokoju tej pierwszej, a ustrzegł przed ośpieniem tamtej...

Taki jest koniec mojej historii. Od dwóch lat mieszkam w klasztorze Wniebowzięcia, gdzie umieścił mnie mój dobroczyńca. Tak, proszę pana, żyję tam już dwa lata, a nie miałam jeszcze ani chwili ukojenia; każdej nocy jawi się przede mną wizerunek nieszczęśliwego Saint-Ange’a i tej biednej kobiety, którą w Nancy posłałam na śmierć. W takim stanie ducha spotykam teraz pana; to były tajemnice, z których miałam ci się zwierzyć. Czyż nie było moim obowiązkiem powiedzieć ci o wszystkim zanim ulegniesz uczuciom, które tak cię zwodzą? Widzi pan sam, czy mogę być ciebie godna... czy ta dusza rozdarta cierpieniem może przynieść ci w życiu jakąkolwiek radość... Ach! Drogi panie, pozbądź się tych złudzeń i pozwól mi wrócić do surowej samotni, która jedyna teraz mi przystoi. Gdybyś wyrwał mnie stamtąd, to miałbyś wiecznie przed sobą straszne widowisko wyrzutów sumienia, bóleści i niedoli!

Panna de Florville zakończyła swoją opowieść w stanie wielkiego wzburzenia. Z natury żywa, wrażliwa i delikatna, nie potrafiła wspominać swoich nieszczęść nie przeżywając ich od nowa.

Pan de Courval, który w ostatnich wydarzeniach jej życia nie dopatrywał się bynajmniej argumentów zdolnych zniweczyć jego zamiary, starał się usilnie uspokoić ukochaną dziewczynę.

– Powtarzam pani – mówił – w tym wszystkim, coś mi opowiedziała, wiele jest zdarzeń dziwnych i fatalnych, ale nie widzę ani jednego, które mogłoby naprawdę niepokoić twe sumienie albo szkodzić twojej reputacji... Ta przygoda w wieku lat szesnastu... smutna, przyznaję, ale tyle było przecież okoliczności zdolnych cię usprawiedliwić... Młodość, wpływ pani de Verquin... ów młody człowiek, zapewne bardzo przystojny... którego chyba nigdy już potem nie widziałaś? – dorzucił pan de Courval z niepokojem w głosie – i którego zapewne nigdy więcej nie zobaczysz...

– O nigdy, na pewno! – odrzekła Florville, zgadując powód niepokoju pana de Courval.

– A więc, o pani, dojdźmy do porozumienia; zakończmy tę sprawę! Zaklinam panią, pozwól się przekonać, że w historii twego życia nie masz niczego, co mogłoby w sercu uczciwego człowieka umniejszyć najwyższy szacunek należny twoim cnotom albo ująć cokolwiek z podziwu, który budzą twoje powaby.

Panna de Florville poprosiła jednak o pozwolenie powrotu do Paryża, aby po raz ostatni zasięgnąć rady swojego opiekuna; przyrzekła, że z jej strony nie będzie już na pewno żadnych trudności. Pan de Courval nie mógł nie zgodzić się na spełnienie tej zacnej powinności; wyjechała, a po ośmiu dniach wróciła razem z panem de Saint-Prât. Pan de Courval przyjął go z niesłychaną gościnnością; okazywał wyraźnie, jak bardzo pochlebia mu związek z dziewczyną, którą Saint-Prât raczył otoczyć swą opieką, prosił go, aby na zawsze zechciał zachować tytuł kuzyna tej uroczej osoby. Saint-Prât odpowiadał równie uprzejmie i nadal wystawiał zaletom i charakterowi panny de Florville jak najpochlebniejsze świadectwo.

Nadszedł wreszcie dzień tak upragniony przez Courvalla; odbyła się ceremonia zaślubin, a przy odczytaniu intercyzy małżonek wielce się zdumiał; gdy okazało się, że nie uprzedzając nikogo pan de Saint-Prât dorzucił do pensji panny de Florville cztery tysiące liwrow rocznej renty i zapisał jej ponadto w testamencie darowiznę w wysokości stu tysięcy franków.

Ta niezwykła dziewczyna rozplakała się przyjmując nowe dobrodziejstwa od swojego opiekuna, w głębi duszy była jednak rada, że może ofiarować człowiekowi, który tak wysoko ją ocenił, fortunę co najmniej równą majątkowi, jaki dotąd posiadał.

Serdeczność, najczystsza radość, dowody wzajemnego szacunku i przywiązania ze strony obojga małżonków towarzyszyły obrzędowi tego hymenu... hymenu fatalnego, nad którym zbierały się groźne chmury...

Podobnie jak wszyscy przyjaciele nowo zaślubionej pary pan de Saint-Prât spędził u Courvalów osiem dni, ale małżonkowie zdecydowali się nie wracać z nim do Paryża; postanowili pozostać na wsi aż do nadejścia zimy, aby uporządkować należycie swoje interesy i doprowadzić je do stanu umożliwiającego utrzymanie w stolicy przyzwoitego domu. Pan de Saint-Prât obciążony został zadaniem wyszukania w swoim sąsiedztwie jakiejś ładnej nieruchomości, aby mogli się wzajemnie jak najczęściej odwiedzać. Radując się nadzieją szczęśliwej przyszłości państwo de Courval przeżyli razem już trzy miesiące, spodziewali się nawet potomstwa, o czym donieśli natychmiast panu de Saint-Prât, gdy nagle nieprzewidziane wydarzenie zdruzgotało brutalnie ich szczęśliwe pożycie i zmieniło w cmentarne cyprysy wszystkie róże hymenu.

Pióro wypada mi z ręki... winienem błagać czytelników o łaskę i zmiłowanie, zaklinać ich, aby powstrzymali się przed dalszą lekturą... Tak... aby odrzucili natychmiast tę książkę, jeżeli nie chcą zadrzeć ze zgrozy... Tragiczna jest dola człowieka na tym świecie... okrutne są skutki

igraszek losu... Czemu nieszczęsna Florville, istota najcnotliwsza i godna prawdziwego szczęścia, przez niepojęty zbieg fatalnych okoliczności musi okazać się najpotworniejszym monstrem, jakie kiedykolwiek stworzyła Natura?

Pewnego wieczoru spoczywała u boku męża, czytając romans angielski pełen niewiarygodnych okropności, który cieszył się ówczesnie wielkim rozgłosem.

– Doprawdy – powiedziała odkładając książkę – oto historia prawie tak samo tragiczna jak moja własna.

– Tak tragiczna jak twoja! – zawołał pan de Courval, obejmując czule małżonkę. – O Florville, myślałem, żeś już zapomniała o swoich nieszczęściach! Widzę, że się myliłem... czemu dopiero teraz o tym się dowiaduję?

Pani de Courval pogrążyła się w zadumie; nie odpowiedziała ani słowem na pieszczoty męża, bezwolnym ruchem odepchnęła go ze zgrozą i upadła na sofę tłumiąc łkanie. Na próżno ów szlachetny małżonek ukląkł u jej stóp. Zaklinał ukochaną kobietę aby się uspokoiła albo ujawniła mu chociaż przyczynę tego ataku rozpacz. Pani de Courval wciąż go odpychała i odwracała głowę, gdy próbował osuszyć jej łzy, do tego stopnia, że Courval, przekonany, iż smutne wspomnienie dawnej miłości ponownie ją rozplomieniło, nie mógł powstrzymać się od gorzkich wyrzutów. Pani de Courval wysłuchiwała go w milczeniu.

– Nie – odpowiedziała wreszcie wstając – nie, to nie to... mylisz się tłumacząc w ten sposób cierpienie, którego stałam się ofiarą. To nic wspomnienia tak mną wstrząsnęły, ale smutne przeczucia... Jestem z tobą szczęśliwa... bardzo szczęśliwa... i niegodna tego szczęścia. Niemożliwe, aby trwało ono długo; urodziłam się pod fatalną gwiazdą; jutrzienka radości zawsze była dla mnie tylko błyskawicą, która poprzedza uderzenie gromu... Boję się, że nie jesteśmy przeznaczeni do wspólnego szczęścia i to mnie przeraża. Dzisiaj jestem twoją żoną, jutro – być może – już nią nie będę... Ciągle brzmi w mej duszy tajemny głos, który mówi, że ta radość jest tylko złudzeniem, które rozpadnie się prędko jak kwiat przekwitający w ciągu jednego dnia. Nie oskarżaj mnie o kaprys czy oziębłość; jeśli winna, to jeno zbyt wrażliwości; nieszczęścia nauczyły mnie widzieć wszystko z najgorszej strony...

Pan de Courval klęczał u stóp małżonki, na próżno usiłował uspokoić ją pieszczotami i perswazjami; gdy nagle...

Zbliżała się godzina siódma, zapadł wczesny październikowy zmierzch... Wszedł lokaj i oznajmił, że jakiś nieznajomy domaga się usilnie rozmowy z panem de Courval. Florville zdrząła... mimowolnie łzy ściekły jej po twarzy, zachwiała się, chciała mówić, ale głos zamarł jej w gardle.

Pan de Courval, zaniepokojony stanem żony, kazał poprosić gościa, aby zechciał zaczekać i pośpieszył jej z pomocą; jednakże pani de Courval; która obawiała się, że zemdleje wskutek wewnętrznego poruszenia, i usiłowała za wszelką cenę ukryć wrażenie, jakie zrobiła na niej niespodziewana wiadomość, uniosła się z wysiłkiem i powiedziała:

– To nic... to nic... niech on wejdzie. Lokaj wyszedł i wrócił po chwili, prowadząc mężczyznę w wieku trzydziestu siedmiu lub trzydziestu ośmiu lat, którego fizjonomia, skądinąd wcale przyjemna, zdradzała jednak zakorzeniony głęboko smutek.

– Ojczy! – zawołał nieznajomy, rzucając się do nóg panu de Courval. – Czy poznajesz syna utraconego przed dwudziestu dwoma laty, a za swe błędy aż nadto ukaranego przez nieszczęścia, które od tamtej chwili nieustannie go prześladowały?

– Mój syn! Wielki Boże! Patrz jakie to zrządzenie losu... niewdzięczniku, któż ci przypominał o starym ojcu?

– Serce, ojczy, to występne serce, które wszelako nigdy nie przestało cię miłować! Wysłuchaj mnie, ojczy... wysłuchaj mnie, mam wiele do opowiedzenia, racz usiąść... a ty, pani – mówił młody Courval, zwracając się do małżonki swego rodzica – wybac, że już przy pierwszym spotkaniu zmuszony jestem odsłonić przed tobą straszne nieszczęście rodziny, których wszelako nie wolno mi taić przed ojcem.

– Proszę, niech pan mówi – wyszeptała pani de Courval zdławionym głosem, rzucając błędne spojrzenie na swego pasierba. – Niestety jest mi nieobce, doświadczyłam go wiele od czasów dzieciństwa!

Podróżnik utkwiał wzrok w pani de Courval i odrzekł z mimowolnym wzruszeniem:

– Doświadczyłaś nieszczęścia, o pani? Wielki Boże! Niepodobna, abyś była ciężej od nas dotknięta!

Usiedli... Trudno opisać stan pani de Courval... co chwila podnosiła wzrok na kawalera, potem wbijała go w ziemię... ciężko dyszała. Pan de Courval ocierał łzy, syn próbował go uspokoić, prosił, aby zechciał skupić uwagę. Podjęli wreszcie rozmowę.

– Tyle mam do opowiedzenia ci, ojczy – rozpoczął młody Courval – że pozwól mi pominąć szczegóły i zająć się jedynie najważniejszymi faktami. Przyrzeknij mi, a ty, o pani, zechciej dać również swoje słowo, że nie przerwiecie, póki nie skończę całej historii.

– Rozstałem się z tobą ojczy, mając lat piętnaście; pierwszym moim odruchem było pośpieszyć za matką, którą w zaślepieniu swoim bardziej niż ciebie miłowałem. Porzuciła cię przed wielu laty; odszukałem ją w Lyonie, ale jej rozwiązłość przeraziła mnie do tego stopnia, że ratując resztki winnego jej szacunku zmuszony byłem czym prędzej stamtąd uciekać. Pojechałem do Strasburga, gdzie stacjonował ówczesnie regiment normandzki... – W tym miejscu pani de Courval spojrzała nań z przerażeniem, ale zdołała się opanować. – Udało mi się zainteresować swoim losem dowódcę tego pułku; ofiarował mi szarżę podporucznika; po roku znalazłem się z całą formacją w garnizonie Nancy... I tam zakochałem się w kuzynce niejakiej pani de Verquin... uwiodłem tę młodą osobę, miałem z nią syna, a potem niegodziwie ją porzuciłem...

Słyszając te słowa pani de Courval zadrżała; głuchy jęk wydarł się z jej piersi, ale nie poruszyła się i siedziała nadal znieruchomiła w fotelu.

– Ta nieszczęsna przygoda była przyczyną wszystkich moich niedoli. Oddałem dziecko tej biednej panny do pewnej kobiety, zamieszkałej w pobliżu Metz, która przyrzekła mi otoczyć je staranną opieką, i po pewnym czasie wróciłem do swojego pułku. Potępiono powszechnie moje zachowanie, a ponieważ owa panna nie pokazała się już więcej w Nancy, spadły na mnie oskarżenia o spowodowanie jej zguby. Była tak ładna, że interesowało się nią wielu mężczyzn w tym mieście, znalazła więc mścicieli. Musiałem stanąć do pojedynku, zabiłem swego przeciwnika, a potem uszedłem do Turynu razem z synem, którego zabrałem przejeżdżając w pobliżu Metz. Dwanaście lat służyłem królowi Sardynii. Nie będę już opowiadał o nieszczęściach, których tam doświadczyłem, były doprawdy niezliczone; dopiero porzucając Francję zaczynamy ją cenić! Tymczasem mój syn rósł i zapowiadał się obiecująco. Poznałem w Turynie pewną Francuzkę, która towarzyszyła jednej z naszych księżniczek wydanej za mąż na tamtejszym dworze; ta czcigodna dama zainteresowała się moją niedolą, ośmieliłem się więc prosić ją, aby zabrała mego syna do Francji celem wydoskonalenia jego edukacji. Obiecałem, że w ciągu sześciu lat na tyle uporządkuję swoje interesy, że będę mógł przyjechać po chłopca i zabrać go znowu do siebie. Zgodziła się i zawiozła do Paryża to nieszczęśliwe dziecko, nie zaniebując odtąd niczego, co było niezbędne dla jego wychowania, i donosząc mi stale o jego postępach.

Wróciłem do Francji na rok przed umówionym terminem, pośpieszyłem do owej damy, pełen słodkiej nadziei na spotkanie ze swoim synem, na uściskanie w ramionach tego owocu miłości zdradzonej... ale nadal płonącej w moim sercu. – Twój syn już nie żyje – oświadczyła mi niespodziewanie ta szlachetna przyjaciółka, zalewając się łzami. – Padł ofiarą tej samej namiętności, która unieszczęśliwiła jego ojca. Zabraliśmy go na wieś; tam zakochał się w pewnej uroczej dziewczynie, której nazwisko przysięgłam utaić; porwany gwałtownym uczuciem chciał wydrzeć jej siłą to, czego obrońcą była jej cnota... cios z jej ręki, wymierzony dla odstraszenia napastnika, ugodził go w serce i spowodował śmierć...

Pani de Courval zapadła w rodzaj osłupienia, które przez chwilę zdawało się nawet grozić jej życiu; oczy jej znieruchomiały, krew zastygła w żyłach. Pan de Courval, który aż nadto dobrze pojął tragiczny związek między tymi nieszczęsnymi wypadkami, przerwał synowi i pochwycił żonę w ramiona. Odzyskała przytomność i z heroiczną determinacją zawołała:

– Pozwól mu mówić, jeszcze nie dopełniła się miara mych nieszczęść!

Co prawda młody Courval nie zrozumiał zainteresowania tej damy faktami, które dotyczyły jej – jak sądził – tylko pośrednio, ale zgadując coś niezwykłego w zachowaniu małżonki ojca, patrzył na nią z wyraźnym niepokojem. Pan de Courval ścisnął za rękę syna i odwracając jego uwagę od zrozpaczonej Florville, nakazał mu kontynuować opowieść, zatrzymując się wszelako jedynie przy sprawach najważniejszych i pomijając szczegóły, gdyż jego historia zawiera tajemnicze okoliczności, które trzeba jak najspieszej wyjaśnić.

– Zrozpaczony śmiercią syna – podjął podróżnik – nie mając we Francji i nikogo, kto mógłby mnie zatrzymać... poza ojcem, którego nie śmiałem jednak odwiedzić, lękając się jego gniewu... postanowiłem wyjechać do Niemiec: Nieszczęsny ojczule! – zawołał młody Courval, zraszając łzami ręce swego rodziciela – zbierz odwagę, błagam cię, pozostają mi do opowiedzenia fakty najokropniejsze...

– Ledwo przybyłem do Nancy, gdy usłyszałem, że niejaka pani Desbarres.. a było to nazwisko, które przyjęła matka, skoro tylko uwierzyłeś w jej śmierć.. dowiedziałem się, iż owa pani Desbarres została wtrącona do więzienia pod zarzutem zasztyletowania swojej rywalki, a nazajutrz zostanie zapewne stracona na szafocie.

– Widzisz! – zawołała pani de Courval, z rozdzierającym szlochem obejmując męża za szyję. – Widzisz teraz ogrom moich nieszczęść?

– Tak, droga pojmuję wszystko – wyszeptał pan de Courval. – Ale zaklinam cię, pozwól memu synowi skończyć opowiadanie.

Florville zamilkła; oddychała z wysiłkiem, straszliwe napięcie malowało się w skurczonych rysach jej twarzy.

– Mów, synu, mów dalej – powiedział nieszczęśliwy ojciec. – Za chwilę wszystko ci wyjaśnię.

– Usłyszawszy tę nowinę – kontynuował młody Courval – upewniłem się od razu, czy nie ma jakiejś pomyłki w nazwisku. Niestety, okazało się, że tą zbrodniarką była naprawdę moja matka. Zażądałem widzenia, uzyskałem zgodę władz, padłem w jej ramiona. – Umieram winna zbrodni – powiedziała mi ta nieszczęśliwa kobieta – ale w zbiegu okoliczności, który zaprowadził mnie na szafot, jest coś doprawdy niesamowitego. Kto inny mógł być posądzony o to zabójstwo, szukano go nawet, wskazywały go wszystkie poszlaki; ale jakaś kobieta i jej służący, których przypadek sprowadził wówczas do oberży, widzieli zbrodnię, chociaż ja sama w wielkim wzburzeniu nie zdołałam ich dostrzec. Zeznania ich stały się jedyną podstawą wydanego na mnie wyroku śmierci. Trudno! Nie traćmy czasu na próżne narzekania! Mam ci powierzyć ważną tajemnicę, słuchaj więc, synu... Skoro tylko oczy moje zamkną się na zawsze, pojedziesz do mego męża a swojego ojca; powiesz mu, że wśród licznych moich zbrodni jest jedna, o której nigdy się nie dowiedział, a do której chcę mu się przyznać... Miałeś siostrę synu... Przyszła na świat w rok po twoim urodzeniu... Uwielbiałam cię, lękałam się, że ta dziewczyna może kiedyś umniejszyć twe prawa; że w chwili wydania za mąż trzeba będzie dać jej posag z majątku, który winien do ciebie należeć. Aby więc zachować tylko dla ciebie całe dziedzictwo, pod nieobecność ojca postanowiłam pozbyć się tej dziewczynki i postarać się, aby w przyszłości mój mąż nie uzyskał już żadnego potomstwa z naszego małżeństwa. Rozwiązłość wtrąciła mnie wkrótce we wszelkie rodzaje występku, które zapobiegły skutkom tych zamierzeń, chociaż wciągnęły mnie w inne, najokropniejsze zbrodnie. Co do tej dziewczynki, to zdecydowana byłam skazać ją bez litości na śmierć. Zabierałam się już do wykonania tego haniebnego planu razem z mamką, którą hojnie opłacałam, ale owa kobieta oświadczyła mi, że zna pewnego mężczyznę, od dawna już żonatego, który wszelako daremnie

oczekuje upragnionego potomstwa; ofiarowała się uwolnić mnie od córki bez popełnienia zbrodni, i to w sposób, który w przyszłości zapewni dziecku prawdziwe szczęście. Zgodziłam się bez wahania; tej samej nocy podrzucono dziewczynkę pod bramą domu tego człowieka, ze stosownym listem włożonym do kołyski... Skoro mnie już nie będzie, udaj się śpiesznie do Paryża i błagaj ojca, aby zechciał mi przebaczyć, aby nie przeklinał mojej pamięci i odzyskał dla siebie to dziecko.

– Mówiąc to matka ścisnęła mnie... usiłowała ukoić rozterkę, którą wywołała we mnie jej opowieść... Ojciec, stracono ją nazajutrz! Niebezpieczna choroba omal nie wtrąciła mnie do grobu; dwa lata byłem między życiem a śmiercią, nie mając ni siły, ni odwagi, aby do ciebie napisać. Skoro tylko odzyskałem zdrowie, postanowiłem natychmiast rzucić ci się do nóg, błagać o przebaczenie dla nieszczęśliwej małżonki i ujawnić nazwisko osoby, u której winieś szukać informacji o mojej siostrze; to pan de Saint-Prât...

Pan de Courval był prawie nieprzytomny; postradał niemal zmysły, zamarli w nim wszystkie siły ducha; stan jego był doprawdy przerażający.

Florville, od kwadransa rozdzielana nieopisanym cierpieniem, wstała nagle ze spokojem zdradzającym ostateczną determinację.

– Tak, mój drogi! – zwróciła się do Courvala. – Czy wierzysz teraz, że na całym świecie nie ma ohydniejszej zbrodniarki niż nędzna Florville?... Spójrz na mnie, Senneval! Poznajesz swoją siostrę? Dziewczynę, którą uwiodłeś w Nancy? Morderczynię naszego syna, żonę własnego ojca, niegodziwą istotę, która rodzoną matkę zawiodła na szafot... Tak, panowie, straszne są moje zbrodnie... Na któregokolwiek z was ośmielę się spojrzeć, widzę jeno przyczynę zgrozy... Widzę kochanka we własnym bracie, męża w rodzonym ojcu... a kiedy pomyślę o sobie, dostrzegam odrażające monstrum, które przebiło nożem serce swojego dziecka i skazało na śmierć własną matkę... Czy wszystkie męczarnie piekła mogą być dla mnie dostateczną karą? Sądzicie może, iż zdołam żyć dalej z tak wielką męką w duszy? O nie!... jeszcze tylko jednej zbrodni nie mam na sumieniu, ale ta pomści was wszystkich...

W mgnieniu oka nieszczęśliwa rzuciła się na pistolety Sennevala, wyrwała mu broń i wystrzeliła sobie w głowę, zanim ktokolwiek zdołał przejrzeć jej zamiary. Skonała za chwilę, nie wymówiwszy ani słowa.

Pan de Courval stracił przytomność; syn, wstrząśnięty widokiem tej strasznej sceny, wołał rozpaczliwie o pomoc. Ale dla Florville nie było już ratunku; cień śmierci położył się na jej twarzy; w zniekształconych rysach dostrzec można było cierpienie gwałtownego zgonu i beznadziejną rozpacz... pławiła się w kałuży krwi.

Zaniesiono do łóżka nieprzytomnego pana de Courval; przeleżał dwa miesiące w najniebezpieczniejszym stanie. Syn jego rozchorował się również, ale swoimi staraniami i czułą opieką zdołał jednak przywrócić ojcu zdrowie i siły. Wszelako po tylu okrutnych ciosach postanowili obaj usunąć się od świata. Odległa samotnia skryła ich na zawsze przed ciekawością przyjaciół; tam też na łonie cnoty i wiary zakończyli życie tragiczne i ponure, dowodząc swoim przykładem, że tylko w wiecznej ciemności grobu dane jest człowiekowi odnaleźć spokój, który wydziera mu nieustannie na tym świecie złośliwość bliźnich, splot własnych namiętności, a nade wszystko fatalizm losu.

EUGENIA DE FRANVAL

OPOWIEŚĆ TRAGICZNA

Pouczyć i przyczynić się do poprawy obyczajów – oto jest jedyny sens tej opowieści. Niechaj ukaże ona ogrom niebezpieczeństwa, na które wystawia się każdy, kto gotów jest na wszystko dla nasycenia swej żądz! Czyż człowiek taki może sądzić, że wykształcenia, bogactwa, talentów i darów Natury można użyć na co innego niż błędzenie po manowcach, skoro nie wspierają ich i nie nadają im właściwego waloru w jego oczach powściągliwość, dobre obyczaje, rozsądek i skromność? Tej właśnie prawdy zamierzamy dowieść w toku niniejszej opowieści. Niech wybaczone nam będą potworne szczegóły zbrodni, o których musimy rozprawić! Czy byłoby jednak możliwe wpojenie odrazy do podobnych występków, gdyby zabrakło nam odwagi przedstawienia ich w całej odrażającej nagości?

Rzadko się zdarza, aby wszystko sprzyjało powodzeniu tej czy innej ludzkiej istoty. Ktoś jest faworytem Natury, ale Fortuna odmawia mu swoich darów; innego znowu Fortuna darzy szczodrze łaskami, ale znęca się nad nim Natura. Wydaje się, że zamiarem Opatrzności było przedstawienie w losach każdego indywiduum tej wielkiej prawdy, że zasada powszechnej równowagi jest najważniejszym prawem Wszechświata, które określa byt wszystkiego, co pojawia się, istnieje, oddycha.

Franval był mieszkańcem Paryża, gdzie zresztą się urodził, a z czterystu tysiącami liwrów rocznej renty łączył piękną postawę, ujmującą powierzchowność i rozmaite talenty. Pod tą uwodzicielską maską ukrywały się jednak skłonności do najgorszych występków, przede wszystkim zaś te, które tolerowane i podsycane wiodą tak prędko ku jawnej zbrodni. Główną wadą Franwala był nieopisany przerost imaginacji. Niełatwo jest wyzbyć się tej cechy, zwłaszcza gdy jej skutki wiążą się z pomniejszaniem sił. Im mniej ktoś może dokonać, tym usilniej się o to stara. Im mniej ktoś działa, tym więcej myśli. Każdy rok życia podsuwa mu nowe pomysły, a przesyt zmysłów nie ostudza go bynajmniej, lecz przeciwnie, rodzi w nim najfatalniejsze wyrafinowanie.

Tak więc Franval obdarzony był wszystkimi powabami młodości i znakomitymi talentami, ale jednocześnie gardził głęboko obowiązkami moralnymi i religijnymi; wychowawcy na próżno starali się wpoić mu te zasady. W czasach gdy najniebezpieczniejsze książki trafiają do rąk dzieci równie łatwo jak do rąk ich rodziców i guwernerów, gdy zuchwałość poglądów uchodzi za filozofię, niedowiarstwo za siłę ducha, a libertynizm za bogatą imaginację, żartowano początkowo z poglądów młodego Franwala, po trosze go potem ganiono, a wreszcie i pochwalono. Ojciec Franwala, zagorzały wielbiciel modnych sofizmatów, sam zachęcał syna, by we wszystkich sprawach kierował się rozsądkiem. Sam podsuwał mu dzieła, które miały przyspieszyć zepsucie młodego umysłu. W tej sytuacji żaden nauczyciel nie ośmielał się oczywiście uczyć młodzieńca zasad sprzecznych z poglądami pana domu, któremu zmuszony był ulegać.

Wszelako Franval wcześniej stracił oboje rodziców; miał zaledwie lat dziewiętnaście, gdy stary wuj, który zresztą umarł wkrótce potem, przekazał mu w chwili małżeństwa cały majątek, należny prawem dziedzictwa.

Z taką fortuną pan de Franval winien łatwo znaleźć stosowną partię. Proponowano mu wiele panien, ale uprosił wuja, aby wyszukał mu dziewczynę młodą i w miarę możności pozabawioną liczną rodziną. Stary opiekun postarał się zadowolić swojego siostrzana; zapoznał go z panną de Farneille, córką pewnego finansisty, która była już zresztą półsierotą, wychowywaną przez matkę, dziewczyną bardzo młodą, ledwie piętnastoletnią, obdarzoną najbardziej uroczą buzią w całym Paryżu, i co więcej, sześćdziesięciu tysiącami liwrów rocznej renty. Była to jedna z tych niewinnych dziewczęcych postaci, w których wszelkie powaby

łączą się z naiwnością, widoczną w delikatnych i wdzięcznych rysach twarzyczki. Piękne jasne włosy spływały jej do pasa, miała wielkie niebieskie oczy natchnione czułością i skromnością, figurę szczupłą i gibką, liliową karnację i świeżość różanego pączka. Odnaczała się licznymi talentami, usposobieniem żywym, ale nieco melancholijnym, skłonnością do owego szczególnego smutku, który każe miłować książki i samotność; są to cechy, którymi Natura zdaje się obdarzać jedynie istoty przeznaczone ku nieszczęściu, jakby starając się z góry odjąć im zgorzknienie, a wpoić zdolność do rozkoszy smętnej i wzruszającej, w której z wolna poczynają gustować, przekładając łzy nad frywolną radość jawnego szczęścia, mniej przejmującą i mniej w końcu realną.

Pani de Farneille, która na krótko przed małżeństwem córki ukończyła lat trzydzieści dwa, była osobą pełną wdzięku i zalet umysłu, ale być może nieco zbyt surową i skłonną do rezerwy. Pragnąc szczęścia jedynej swojej córki dopytywała się wielu osób w Paryżu, co myślą o zamierzonym małżeństwie. Nie miała jednak zbyt wielu krewnych, a dla zasięgnięcia rady mogła udać się tylko do paru oziębłych przyjaciół, dla których w końcu wszystko było jednakowo warte. Przekonano ją, że młody człowiek starający się o jej córkę jest bez wątpienia najlepszą partią w Paryżu i że dopuściłaby się niewybaczalnej ekstrawagancji, gdyby przeszkodziła temu związkowi. Odbył się więc ślub. Młodzi ludzie, dostatecznie bogaci, aby od razu założyć własny dom, zamieszkali osobno od pierwszych chwil małżeństwa.

Młody Franval wolny był od tych wszystkich wad lekkomyślności, nierozwagi i nieustankowania, które nie pozwalają mężczyźnie osiągnąć pełnej dojrzałości przed ukończeniem trzydziestu lat. Troszczył się o swoją pozycję, lubił porządek, umiał doskonale zarządzać swoim majątkiem; jeżeli chodzi o tę stronę życiowego powodzenia, Franval miał wszelkie niezbędne kwalifikacje do pełnego szczęścia. Jego wady polegały na czymś zupełnie innym, przejawiały się raczej w występkach wieku dojrzałego niż w zbłądzeniach młodości. Wyróżniał się zrećnością w intrydze, niechęcią do ludzi, ponurym stosunkiem do świata, egoizmem, przesadnym politykowaniem, szalbierstwem; ukrywał to wszystko nie tylko dzięki wspomnianym wyżej talentom i osobistemu urokowi, lecz również dzięki elokwencji, nieskończenie bystremu umysłowi i umiejętności jednania ludzi. Takim był człowiek, którego mamy przedstawić.

Zgodnie ze zwyczajem panna de Farneille poznała swego męża za ledwie na miesiąc przed ślubem, nic więc dziwnego, że zwiedziona tymi fałszywymi blaskami łatwo dała się oszukać. Dni były dla niej zbyt krótkie, by mogła nasycić się szczęściem obcowania z mężem, ubóstwiała go do tego stopnia, że egzaltacja młodej osoby wzbudziła chyba niepokój otoczenia, gdyby pewne wypadki nie zatrwały rychło słodczy hymenu, w którym – jak mówiła – znalazła największe szczęście.

Franval traktował kobiety podobnie jak wszystkie inne zjawiska: filozoficznie; patrzył na tę czarującą istotę chłodno i spokojnie.

– Kobieta, która do nas należy – powiadał – jest stworzeniem oddanym nam przez powszechny zwyczaj w zupełną niewolę. Powinna być łagodna, posłuszna i rozsądna... Nie dlatego, bym przywiązywał jakiegokolwiek znaczenie do rozmaitych przesądów na temat kompromitacji i hańby, którą może okryć się żona, naśladując męskie wybryki; po prostu dlatego, że nie lubię, aby ktoś obcy wchodził w moje prawa. Reszta nie ma znaczenia; nic nie dodaje, ani nie ujmuje pełnemu szczęściu.

Skoro mąż żywił takie sentymenty, łatwo zgadnąć, że droga nieszczęsnej dziewczyny, którą z nim związano, nie była bynajmniej usłana różami. Uczciwa i wrażliwa, cnotliwa i zakochana, starała się zaspokajać wszystkie żądze jedynej mężczyzny, którego dostrzegła w swoim świecie. Przez kilka lat pani de Franval dźwigała kajdany nie czując nawet ich ciężaru. Łatwo było zauważyć, iż żywiła się tylko resztkami pozostałymi po miłosnych biesiadach; i to jednak uszczęśliwiała ja tak dalece, że jedyną troską było usilne staranie, aby w nielicz-

nych chwilach poświęconych czułości Franval mógł znaleźć to wszystko, co uważała za niezbędne dla satysfakcji swego ukochanego małżonka.

Franval nie zawsze uchylał się od małżeńskich obowiązków, czego najlepszym dowodem było dziecko, mała dziewczynka jeszcze piękniejsza niż matka, którą pani de Franval urodziła po roku małżeństwa, nie mając jeszcze siedemnastu lat. Ojciec nazwał ją od razu Eugenią... Eugenią, która miała się okazać jednocześnie cudem i potworem Natury.

Niewątpliwie już w chwili narodzin tego dziecka pan de Franval ułożył swoje ohydne plany. Oddzielił ją przede wszystkim od matki. Aż do siódmego roku życia Eugenia powierzona była trosce kobiet, których wierności Franval był całkiem pewny i które ograniczając swoje zabiegi wychowawcze do troski o zdrowie i temperament dziecka, a naukę do początków czytania, strzegły ją pilnie, by nie przeniknęły do jej świadomości żadne zasady religijne czy moralne, o jakich dziewczynka w tym wieku jest zwykle pouczana.

Pani de Farneille i jej córka były oburzone tym postępowaniem i często czyniły Franwalowi gorzkie wyrzuty; odpowiadał im chłodno, że postanowił zapewnić szczęście swojej córce, a więc nie ma zamiaru zatruwać jej umysłu chimerami, które zdolne są tylko trwożyć człowieka, nie będąc mu w niczym użyteczne. Dziewczyna powinna jedynie umieć się podobać; może natomiast ignorować bzdury, które komplikując życie, nie wzbogacają z pewnością jej strony moralnej ani o jedną prawdę, a tym bardziej jej strony fizycznej o jakikolwiek powab. Poglądy takie gorszyły wielce panią de Farneille, która tym bardziej oddawała się myślom o wieczności, im dalej odsuwała się od przyjemności tego świata. Dewocja jest słabością właściwą pewnym, okresom życia czy stanom zdrowia. W tumultach namiętności odległa przyszłość zazwyczaj mało nas zajmuje. Gdy jednak namiętności słabną, gdy zbliża się chwila ostateczna, gdy cały świat wreszcie nas opuszcza, zaczynamy szukać Boga, o którym mówiono nam w dzieciństwie; a jeśli nawet, wedle twierdzeń filozofii, są to iluzje równie fantastyczne jak wiele innych, z pewnością są mniej od innych niebezpieczne. Teściowa Franwala nie miała rodziny, nie miała autorytetu, miała za to, jak już mówiliśmy, kilku przypadkowych przyjaciół, którzy zazwyczaj niechętnie angażują się w konflikt; zmuszona do walki ze swym bogatym zięciem, człowiekiem młodym, ujmującym, wszędzie mile widzianym, doszła do rozsądnego wniosku, że w tej sytuacji lepiej ograniczyć się do perswazji niż szukać sposobów radykalnych, gdyż próba sił z takim człowiekiem mogłaby doprowadzić tylko do ruiny matki i uwięzienia gdzieś na odludziu nieszczęśliwej córki. Ośmieliła się na trochę napomnieć i w końcu zamilkła widząc, że słowa jej nie zdają się na nic.

Franval był pewny swojej przewagi, a skoro dostrzegł, że tak się go lękają, przestał w ogóle się kłopotować; zadowolony jedynie marnymi pozorami dla uspokojenia opinii publicznej, zmierzał prosto do swego strasznego celu.

Kiedy Eugenia ukończyła siedem lat, Franval zaprowadził ją do żony; czuła matka, która nie widziała swego dziecka od chwili, gdy wydała je na świat, nie mogła nasycić się pieszczotami; dwie godziny przyciskała ją do piersi, okrywała pocałunkami, oblewała łzami. Chciała poznać wszystkie jej talenty; mała Eugenia umiała jednak tylko biegle czytać, cieszyła się znakomitym zdrowiem i była piękna jak anioł. Pani de Franval przeżyła głęboki wstrząs, gdy stwierdziła, że jej córka nie zna nawet podstawowych zasad wiary chrześcijańskiej.

– Czyżbyś chciał wychować ją tylko dla tego świata? – mówiła z oburzeniem do męża. – Nie zastanawiasz się, że podobnie jak my przeżyje tutaj jeno chwilę, aby pograżyć się potem w wieczności, jakże straszliwej, gdy pozbawisz ją szansy radowania się szczęściem u stóp Boga, któremu zawdzięcza swe istnienie?

– Jeżeli Eugenia nie pozna tej wiary, jeśli ukryje się przed nią starannie owe maksymy – odpowiedział Franval – nie doświadczy nigdy nieszczęścia. Jeśli wiara twoja jest słuszna, Najwyższa Istota zbyt jest sprawiedliwa, aby karać ją za ignorancję. Jeżeli zaś wszystko to jest fałszem, po co mamy jej o tym opowiadać? Co do innych stron jej edukacji, proszę cię,

abyś mi zaufała. Sam będę odtąd jej wychowawcą i ręczę ci, że za parę lat twoja córka przeżywszy nieskończenie wszystkie dzieci w tym samym wieku.

Pani de Franval chciała nalegać, wezwała wszelkie racje swego serca na pomoc rozumowi; łązy świadczyły o jej uniesieniu. Ale Franval, bynajmniej nie wzruszony, zdawał się nawet ich nie dostrzegać. Kazał odprowadzić Eugenię i oświadczył żonie, że jeśli ośmieli się sprzeciwić w czymkolwiek zamierzonej edukacji córki lub jeśli wpajać jej będzie zasady odmienne od tych, które on sam jej podsuwa, zostanie pozbawiona szczęścia jej oglądania, a dziewczynkę wyśle się do jednego z odległych zamków, którego nigdy już nie opuści. Pani de Franval posłusznie zamilkła. Błagała męża, aby nie rozdzielał jej z najdroższym dzieckiem, i płacząc przyrzekła, iż nie będzie się mieszać do edukacji, jaką dla niej obmyślił.

Od tej chwili panna de Franval zamieszkała w pięknym apartamencie tuż obok pokoi ojca, razem z inteligentną guwernantką, jej pomocnicą, pokojówką i dwoma małymi dziewczynkami w tym samym wieku, których jedynym zadaniem było służyć jej za towarzyszek zabaw. Dobrano jej starannie nauczycieli pisania, rysunku, poezji, historii naturalnej, deklamacji, geografii, astronomii, anatomii, greki, angielskiego, niemieckiego, włoskiego, szermierki, tańca, jazdy konnej i muzyki. Bez względu na porę roku Eugenia wstawiała codziennie o siódmej rano. Wybiegając do ogrodu brała ze sobą śniadanie: wielką kromkę razowego chleba. Wracając o ósmej, spędzała kilka chwil w apartamencie ojca, który bawił się z nią lub uczył stosownych gier towarzyskich; o dziewiątej przygotowywała się do swoich codziennych obowiązków, zjawiał się pierwszy nauczyciel. Przyjmowała ich kolejno pięciu, aż do godziny drugiej po południu. Proszono ją wtedy do stołu razem z obu koleżankami i guwernantką. Obiad jej składał się z jarzyn, ryb, ciast i owoców; nie jadła nigdy mięsa ani zupy, nie znała smaku wina, likieru czy kawy. Między trzecią a czwartą Eugenia wracała do ogrodu, aby pobawić się trochę z małymi towarzyszkami. Grały w piłkę, w kręgle, w wolanta, w klasy. Ubrane były swobodnie; nic nie krępowało im talii, nie opinano ich nigdy owymi śmieszonymi fiszbinami, niebezpiecznymi dla klatki piersiowej i żołądka, które utrudniając oddychanie młodej istoty nieuchronnie szkodzą jej płucom. Między czwartą a szóstą panna de Franval spotykała się znowu ze swymi wychowawcami: ponieważ nie wszyscy mogli zmieścić się w tym samym dniu, pozostali przychodzili nazajutrz. Trzy razy w tygodniu Eugenia jeździła z ojcem do teatru, do zasłoniętej łoży, którą Franval abonował dla niej przez cały rok. O dziewiątej wracała na kolację; podawano jej wieczorem tylko jarzyny i owoce. Cztery razy w tygodniu, między godziną dziesiątą a jedenastą. Eugenia bawiła się ze swoimi damami, czytała powieści, wreszcie kładła się spać. W pozostałe dni, kiedy Franval nie jadł kolacji poza domem, przychodziła sama do pokoju ojca; były to chwile, które Franval nazywał swoimi konferencjami. Wówczas to wpajał córce własne poglądy na sprawy religii i moralności; przedstawiał jej najpierw to wszystko, co ludzie zazwyczaj myślą w tej materii, a potem wykladał swoje racje i argumenty.

Jeżeli weźmie się pod uwagę wielką inteligencję dziewczynki, jej szeroką wiedzę, żywe usposobienie i namiętność, która poczęła się w niej rozpalać, to łatwo pojąć, jak znaczny postęp dokonywał się w duszy Eugenii dzięki takiemu systemowi edukacji. Jednakże niegodziwy Franval nie ograniczał się bynajmniej do konstruowania jej światopoglądu; konferencje jego rzadko kończyły się bez szczególnego roznamiętnienia serca dziewczynki. Ów straszny człowiek umiał podobać się swojej córce; zjednał ją sobie z taką zręcznością, stał się tak użyteczny w jej nauce i zabawie, tak gorliwie i skutecznie dowodził swej wyższości nad każdym, kto mógł się wydać jej miłym, że Eugenia, obracając się w najświetniejszym towarzystwie, nie potrafiła dostrzec nikogo równie uroczonego jak własny jej ojciec. Zanim Franval ujawnił swe zamiary, niewinne i wrażliwe stworzenie zebrało już dłoń w swoim młodym sercu tyle uczuć przyjaźni, wdzięczności i czułości, że nieuchronnie przerodzić się to musiało w najgorętszą miłość. Widziała w świecie tylko Franvala, tylko ojciec wyróżniał się ponad wszystkich; burzyła się na myśl, że ktokolwiek mógłby ich rozdzielić. Była gotowa mu po-

święcić już nawet nie swój honor, czy urodę, bo takie ofiary wydawały się jej zbyt nędzne wobec ukochanego bóstwa, ale nawet krew i życie, gdyby ów najdroższy przyjaciel kiedyś tego zażądał.

Swojej czcigodnej i nieszczęśliwej matce panna de Franval nie okazywała jednak podobnych porywów serca. Ojciec mówił jej wprost, że pani de Franval, korzystając ze swoich praw żony, domagała się od niego starań, które często przeszkadzały mu w czynieniu dla swej drogiej dziewczynki tego wszystkiego, do dyktowało mu serce. Potrafił w ten sposób zasiać w duszy młodej istoty zazdrość i nienawiść, które wyparły uczucia szacunku i miłości, należne bez wątpienia takiej matce.

– Mój drogi, mój ukochany – mówiła czasami Eugenia do Franvala, który nie życzył sobie, aby córka zwracała się do niego w inny sposób – kobieta, którą nazywasz swoją żoną, ta istota, która jak powiadasz, wydała mnie na świat, jest chyba bardzo wymagająca, skoro żąda nieustannie, abys spędzał przy niej tyle czasu i pozbawia mnie szczęścia przebywania razem z tobą. Wiem dobrze, że wolisz ją od swojej Eugenii. A ja nie potrafiłabym miłować kogoś, kto by odbierał mi twoje uczucia!

– Moja droga przyjaciółko – odpowiadał Franval – nie ma na świecie nikogo, kto wobec mnie mógłby poszczycić się prawami równymi twoim. Więzy łączące tę kobietę z twoim najlepszym przyjacielem są skutkiem zwyczaju i konwencji społecznych; traktuję je zgodnie ze wskazaniami rozumu; nigdy nie dorównają więzom, które nas połączyły. Eugenio, będziesz zawsze miała pierwszeństwo; zawsze będziesz moim aniołem i światłością moich dni, schronieniem mej duszy i natchnieniem mego istnienia! – Och, najdroższy, mów tak, mów często! – zawołała Eugenia. – Jakże drogie są mi twoje słowa! Gdybyś wiedział, jak raduje mnie każdy dowód twej czułości!

Schwyciła dłoń Franvala i przycisnęła do serca.

– Patrz, czuję je tutaj, tu je zachowam na zawsze!

– Oby wróciły do mnie w twoich czułych pieszczotach – odrzekł Franval ściskając ją w ramionach.

I w ten sposób, wolny od wyrzutów sumienia, dopełniał powoli dzieła uwiedzenia tej nieszczęsnej.

Eugenia skończyła wreszcie czternaście lat. Chwilę tę przeznaczył Franval na dokonanie zbrodni. Zadrżycie! Stało się!

[Dzień³ jej urodzin spędzili na wsi, z dala od krewnych i natrętów. Hrabia⁴ kazał jej tego dnia ubrać się wspaniale, na wzór dziewczyc, które poświęcano niegdyś w świątyni Afrodyty. O jedenastej rano wprowadził ją do rozkosznego salonu, którego okna przysłonięte były cienkimi firankami, a meble usłane kwieciami. W środku wznosi się tron ustrojony różami. Franval podszedł do jego stopni prowadząc córkę za rękę.

– Eugenio – powiedział, każąc jej usiąść – bądź dzisiaj moją królową, panią mego serca, pozwól, abym uwielbiał cię na kolanach.

– Ty miałbyś mnie uwielbiać, najdroższy? Mnie, która wszystko ci zawdzięczam, którą stworzyłeś, którą wychowałeś? Ach, pozwól raczej, bym padła ci do nóg! Tam jest moje miejsce, jedyne, którego przy tobie pragnę!

– Ukochana moja Eugenio – mówił hrabia sadowiąc się obok niej na ukwieconym piedestale, który miał mu posłużyć za ołtarz triumfu – jeżeli rzeczywiście sądzisz, że cokolwiek mi zawdzięczasz, jeżeli uczucia, które objawiasz, są naprawdę tak szczerze, jak mówisz, czy zdajesz sobie sprawę, jakim sposobem możesz mnie o tym przekonać?

³ Fragmentów umieszczonych w nawiasach brak w pierwodruku. Odnalazł je dopiero w roku 1926, w rękopisie nr 4010 paryskiej Bibliothèque Nationale, znakomity badacz twórczości markiza de Sade, Maurice Heine.

⁴ We fragmencie tym autor nazywa Franvala „hrabią” (*le comte*). Tytułu tego pozbawił go przygotowując nowelę do druku (przyp. tłum.).

– Jakim, najdroższy? Powiedz mi prędko, abym mogła się nim natychmiast posłużyć...

– Musisz poświęcić mi bez reszty całą urodę, którą Natura tak hojnie cię obdarzyła, wszystkie dary, które od niej otrzymałaś...

– I tylko tego żądasz? Czy nie jesteś panem mnie całej? Czy dzieło twoje nie do ciebie należy? Czy ktoś inny miałby korzystać z tego, coś stworzył?

– Znasz wszelako ludzkie przesady...

– Nie kryłeś ich przede mną.

– Nie chcę więc odrzucać ich bez twojej zgody.

– Gardzisz nimi chyba na równi ze mną?

– Z pewnością, ale nie chcę być twoim tyranem. a tym bardziej uwodzicielem. Szczęście, którego pragnę, chcę zawdzięczać jedynie miłości. Znasz świat, nie tailem przed tobą jego powabów. Byłoby to niegodnym mnie podstępem, gdybym ukrył innych mężczyzn przed twoim wzrokiem i dopuścił, abyś widziała tylko mnie jednego. Jeżeli więc istnieje człowiek, którego byś ode mnie wolała, wymień mi natychmiast jego nazwisko: poszukam go nawet na końcu świata i niezwłocznie przywiodę w twe objęcia. Kochanie, pragnę tylko twojego szczęścia, droższe jest mi ono nad własne. Rozkosze, którymi możesz mnie obdarzyć, nie byłyby dla mnie nic warte, gdyby nie okazały się darem twej miłości. Zdecyduj sama, Eugenio. Zbliża się chwila, w której musisz złożyć z siebie ofiarę. Wskaż jednak sama człowieka, który ma ją przyjąć. Zrzeknę się rozkoszy, którą masz ofiarować swemu ukochanemu, jeśli nie dasz mi jej z duszy i serca. Chcę zostać na zawsze godnym twej miłości; jeśli wybierzesz kogoś innego, kogo potrafisz pokochać, z pewnością ci go przyprowadzę; chociaż utracę twoje serce, zostanie mi przynajmniej twa wdzięczność będę przyjacielem Eugenio, skoro nie będzie mi danym zostać jej kochankiem.

– Będiesz dla mnie wszystkim, ukochany! – zawołała Eugenia, płonąć miłością i pożądaniem. – Będiesz wszystkim! Komuż miałabym złożyć się w ofierze, jeśli nie jednemu, którego uwielbiam! Czy jest na świecie ktoś od ciebie godniejszy posiadania tych mizernych powabów, których tak pragniesz... które rozpalone twe ręce badają tak namiętnie... Nie widzisz, że ogarnia mnie płomień, że równie gorąco chcę poznać rozkosz, o której mówisz? Ach, nasyć się mną, najdroższy, mój ukochany! Niechaj twa Eugenia stanie się twoją ofiarą! Złożona na ołtarzu twymi najdroższymi rękoma będę zawsze zwycięska i triumfująca!

Rozpłomieniony Franval, który zresztą zdolny był do takiej subtelności jedynie dlatego, iż szło mu o jak najdoskonalsze zrealizowanie uwodzicielskich zamiarów, nadużył bez zwłoki łatwowierność swej córki. Zasady, którymi karmił ją od dawna, sztuka, którą posłużył się w krytycznym momencie, wszystko to usunęło ostatecznie przeszkody. Dokonał swego perfidnego podboju i sam stał się bezkarnym niszczycielem przybytku dziewictwa, którego obronę powierzyła mu Natura i zwyczaj.

Kilka dni spędzili we wspólnym upojeniu. Eugenia była już zdolna poznać rozkosze miłości, a ośmielona przez wyznawane poglądy, oddawała się im z całym uniesieniem. Franval uczył ją wszystkich tajemnic, był jej przewodnikiem na wszystkich drogach. Im dalej posuwał swe starania, tym mocniej utwierdzał panowanie. Pragnęła przyjmować hołdy jednocześnie w tysiącu świątyń; oskarżała imaginację swego kochanka o opieszałość i rozleniwienie; zdawało się jej, że coś przed nią ukrywa. Żaliła się na swą młodość i naiwność, które czyniły ją nie dość pociągającą. Pragnęła wszystkiego się nauczyć, aby żaden ze sposobów rozpalania namiętności ukochanego nie pozostał jej nie znanym.]

Wrócili do Paryża; zbrodnicze rozkosze, którymi upajał się ów przewrotny człowiek, zbyt zadowalały go fizycznie i moralnie, aby niestałość, kończąca zazwyczaj wszystkie miłosne intrygi Franwała, mogła zerwać zadzierzgnięte więzy. Był śmiertelnie zakochany, a niebezpieczna namiętność spowodowała oczywiście zupełnie już zaniedbanie jego nieszczęsnej żony. Biedna ofiara Pani de Franval miała wówczas lat trzydzieści jeden, była w pełni rozkwitu swej urody; wyraz melancholii wywołanej gryzącymi strapieniami dodawał jej nawet wdzię-

ku. Spłakana i osamotniona, z długimi włosami bezwładnie spływającymi na alabastrową pierś, z portretem swego ukochanego tyrana, który nierzadko okrywała pocałunkami, przypominała owe dziewczęce postacie, malowane przez Michała Anioła, w bolesnej zadumie. Nie знаła jeszcze ogromu swego nieszczęścia, ale gnębiły ją nieustanne troski; porządek edukacji Eugenii, sprawy wiary i moralności, które ukrywano przed dziewczyną lub przedstawiano jej po to tylko, aby uczyć nienawiści; pewność, że Franval nigdy nie pozwoli swej córce na spełnianie obowiązków, które darzył tak głęboką pogardą; brak czasu na spotkania z córką; obawa, aby niezwykła edukacja nie doprowadziła jej prędzej czy później do jawnej zbrodni; wreszcie obojętność Franwala, jego codzienna surowość wobec niej, wobec istoty, której jedynym staraniem było zawsze uprzedzać jego życzenia, która nie знаła innej radości, jak podobać mu się i zyskiwać jego pochwały... Jak straszliwe cierpienie czekało tę czułą i wrażliwą duszę w chwili, gdy miała się o wszystkim dowiedzieć!

Tymczasem edukacja Eugenii postępowała nadal bez większych zmian; sama zażądała, aby wszyscy nauczyciele kształcili ją aż do ukończenia szesnastego roku życia. Niezwykłe zdolności dziewczyny, coraz rozleglejsza jej wiedza, wdzięk rozwijający się z dnia na dzień, wszystko to przykuwało do niej Franwala z coraz większą siłą; łatwo pojąć, że nikogo w życiu nie darzył przedtem podobną miłością.

W porządku dnia panny de Franval zmieniły się tylko terminy k o n f e r e n c j i. Te czułe spotkania sam na sam z ojcem powtarzały się teraz znacznie częściej, a nierzadko przeciągały się do późna w nocy. Jedynie guwernantka Eugenii znała całą prawdę o tych spotkaniach; Franval ufał jej tak dalece, że nie lękał się niedyskrecji. Eugenia jadała teraz posiłki razem z rodzicami, siadała do stołu obok zaproszonych gości. W domu tak licznie odwiedzanym prędko zwrócono na nią uwagę; była piękną panną na wydaniu, wielokrotnie proszono o jej rękę. Franval był jednak pewny serca swej córki i nie lękał się tych ofert; nie zastanawiał się jednak, że taki natłok małżeńskich propozycji może w końcu doprowadzić do ujawnienia całej tajemnicy.

Pewnego dnia pani de Franval, korzystając z okazji spotkania i rozmowy z córką, którą to łaskę przyznawano jej tak rzadko, powiadomiła Eugenię, że pan de Colunce chce ją pojąć za żonę.

– Znasz tego pana, córeczko – mówiła pani de Franval. – Kocha cię, jest młody, miły; będzie kiedyś bogaty; czeka tylko na twoją zgodę... wystarczy jedno słowo, Eugenio... Co mam mu odpowiedzieć?

Zaskoczona Eugenia zarumieniła się i odrzekła, że nie czuje żadnej skłonności do małżeństwa, ale poradzi się ojca; jego zdanie będzie dla niej zawsze ostatecznym wyrokiem.

Pani de Franval dopatrzyła się w tej odpowiedzi jedynie dziewczęcej prostoty. Poczekala parę dni, a znalazłszy wreszcie okazję rozmowy z mężem, zakomunikowała mu intencje rodziny młodego pana de Colunce i jego własne prośby, wspomniała na koniec o odpowiedzi córki.

Łatwo zgadnąć, że Franval wiedział już o wszystkim; nie dał jednak poznać tego po sobie i oświadczył sucho:

– Proszę cię stanowczo, abyś nie mieszała się do losu Eugenii. Ze starań, które poczyniłem, żeby oddalić ją od ciebie, powinnaś zrozumieć, jak bardzo mi zależy, aby wszystko, co jej dotyczy, nie miało z tobą żadnego związku. Raz jeszcze zwracam ci uwagę na moją decyzję w tej sprawie. Mam nadzieję, że więcej się już nie zapomnisz?

– Więc co mam odpowiedzieć, skoro się do mnie zwracają?

– Powiesz, że jestem nieskończenie wdzięczny za honor, który mnie spotyka, ale na urodzeniu mojej córki ciążyą pewne okoliczności, które uniemożliwiają jej jakkolwiek związek małżeński.

– Ale te okoliczności, to przecież nieprawda! Dlaczego żądasz, abym kłamała? Dlaczego chcesz pozbawić swoje jedyne dziecko szczęścia, które może znaleźć w małżeństwie?

– Czyżby małżeństwo tak cię uszczęśliwiło?

– Jeżeli mnie, niestety, nie udało się zdobyć twego przywiązania, nie znaczy to, że podobny los czeka każdą kobietę. A może – dodała z westchnieniem – nie wszyscy mężczyźni są do ciebie podobni.

– Kobiety... fałszywe, zazdrosne, kapryśne, kokietki albo dewotki... Mężczyźni... perfidni, niestali, okrutni, despotyczni... Oto wzory wszystkich istot ludzkich na tym świecie! Nie sądzę, że uda ci się znaleźć jakiegoś feniksa.

– Jednakże wszyscy się żenią.

– Tak, głupcy i niedojdy. Ludzie zawierają małżeństwa, jak powiedział pewien filozof, albo nie wiedząc, co czynią, albo dlatego, że nie wiedzą, co począć.

– Ludzkość ma więc wyginać?

– Mogłaby z pewnością! Roślina, która rodzi jeno jad, niedługo powinna czekać na wypełnienie!

– Eugenia nie będzie ci wdzięczna za ten nadmiar surowości.

– Czy to małżeństwo ją pociąga?

– Powiedziała, że twój rozkaz jest dla niej najwyższym prawem.

– Dobrze! Mój rozkaz brzmi: przestań marzyć o tym związku.

I pan de Franval wyszedł z pokoju, ponawiając raz jeszcze surowe upomnienie, aby żona nie ośmieliła się nigdy wspominać mu o tej sprawie.

Pani de Franval nie omieszkła powtórzyć matce całej rozmowy ze swym mężem; pani de Farneille, bystrzejsza i lepiej od swej córki obeznana ze skutkami ludzkich namiętności, od razu zaczęła podejrzewać, że kryje się za tym wszystkim coś niezwykłego.

Eugenia rzadko widywała się ze swoją babką; od czasu do czasu spędzała z nią godzinę, zawsze pod czujnym okiem Franvala. Pani de Farneille szukała sposobu wyjaśnienia tajemnicy; poprosiła wreszcie zięcia, by przysłał jej wnuczkę na całe popołudnie, gdyż chciałaby w jej towarzystwie rozerwać się trochę i pozbyć ataku migreny, gnębiącej ją boleśnie tego dnia. Franval oświadczył cierpko, że Eugenia niczego tak się nie lęka jak widoku waporów; zawiezie ją wszelako do babki, ale pod warunkiem, że długo u niej nie zabawi; gdyż umówiona jest tego wieczoru na wykład fizyki, którą pilnie od niejakiego czasu studiuje.

Zjawili się oboje u pani de Farneille, która od razu wyraziła zięciowi swoje zdumienie z powodu odrzucenia tak korzystnej propozycji małżeńskiej.

– Sądzę, że nie masz nic przeciwko temu – dodała – aby twoja córka sama wyjaśniła mi, jakie to okoliczności uniemożliwiają jej, twoim zdaniem, wstąpienie w związki małżeńskie?

– Czy okoliczności te są rzeczywiste, czy zmyślane – odrzekł Franval, nieco zdumiony natarczywością teściowej – jest faktem, że małżeństwo jej za dużo by mnie kosztowało. Jestem jeszcze zbyt młody, aby godzić się na podobną ofiarę. Kiedy skończy dwadzieścia pięć lat, postąpi wedle swojej woli. Do tego czasu w niczym nie może na mnie liczyć.

– A ty, Eugenio, podzielasz poglądy ojca? – spytała pani de Farneille.

– Nie we wszystkim – odrzekła panna de Franval z niezwykłą stanowczością. – Ojciec godzi się, bym wyszła za mąż mając dwadzieścia pięć lat. Ja zaś oświadczam i jemu, i tobie, pani, że do końca życia nie skorzystam z tego pozwolenia. Przy moich poglądach byłoby to największym nieszczęściem mego życia.

– W twoim wieku nie ma się jeszcze poglądów, moja panno – powiedziała surowo pani de Farneille. – W tym wszystkim kryje się coś niezwykłego, co zmusza mnie, abym się tobą zajęła.

– Ostrzegam panią przed tym pomysłem – rzekł Franval, kierując się z córką ku wyjściu. – Proszę raczej poszukać pomocy swego spowiednika i wspólnie z nim rozwiązywać zagadkę. Gdy razem dobrze pomyślicie i dojdziecie do właściwego wniosku, proszę wtedy mi powiedzieć, czy miałem rację przeciwstawiając się małżeństwu Eugenii.

Ironiczna uwaga na temat duchownych doradców pani de Farneille dotyczyła pewnej czcigodnej osobistości, którą trzeba w tym miejscu przedstawić, gdyż w dalszych wypadkach odegrała poważną rolę.

Chodziło o spowiednika pani de Farneille i jej córki, jednego z najcnotliwszych kapłanów w całej Francji. Ksiądz de Clervil był szlachetny, uczynny, pełen rozsądku i prostoty; obce mu były wszystkie wady stanu duchownego, słynął jako wspomóżyciel ubogich, szczerzy przyjaciel możnych, pocieszyciel nieszczęśliwych. Czcigodny ów mąż jednoczył w sobie zalety osobistego uroku z cnotami mądrości.

Zapytany, co myśli o postępowaniu pana de Franval, Clervil odpowiedział jak człowiek rozsądny: że zanim dojdzie się do jakichkolwiek wniosków należy wyjaśnić powody, skłaniające go do sprzeciwu wobec małżeństwa córki. I chociaż pani de Farneille nie była daleka od podejrzenia intrygi, która w rzeczy samej istniała aż nadto realnie, rozważny kapłan odrzucił jej supozycje, a uznając je za zbyt obelżywe i dla pani de Franval, i dla jej męża wzdrzął się ze wstrętem na ich wspomnienie.

– Byłoby to czymś równie ohydny jak morderstwo – powiadał ów szlachetny człowiek. – Jest tak mało prawdopodobne, aby ktoś rozsądny zrywał świadomie wszystkie tamy wstydlivości i hamulce cnoty, że przypisywanie komukolwiek podobnych występków budzi we mnie najskrajniejszą odrazę. Unikajmy podejrzeń o zbrodnię; są one zazwyczaj płodem naszej miłości własnej, prawie zawsze wynikiem nieświadomego porównywania, które przeprowadzamy w głębi duszy; chcemy u innych dopatrzeć się zła, aby mieć prawo uważania się za lepszych. Dobrze się jednak zastanowiwszy, czy nie sądzi pani, że lepiej jest dopuścić, aby potajemny grzech nigdy na jaw nie wyszedł, niż w niewybaczalnej lekkomyślności domyślać się rzekomych występków i bez żadnego powodu krzywdzić w ten sposób w naszych oczach ludzi, których oskarża jeno nasza pycha? Czyż zasada taka nie jest pożyteczniejsza? Należy przede wszystkim przeszkadzać w dokonaniu i rozprzestrzenianiu zbrodni, a mniej troszczyć się o jej ukaranie. Pozostając w ciemnościach, których tak poszukuje, nie jestże owa zbrodnia niemal unicestwiona? Skandal łatwo jest wywołać; opowieści o zbrodni burzą zawsze namiętności tych, którzy skłaniają się do podobnych występków. Nieuchronne zaślepienie zbrodniarza każe mu wierzyć, iż będzie miał więcej szczęścia niż sprawca właśnie wykryty; to już nawet nie lekcja, której mu udzielamy, to wprost zachęta. Popęlnia więc ekscesy, których nigdy by się nie dopuścił, gdyby nie ów fatalny rozgłos, błędnie uznany za akt wymiaru sprawiedliwości, a wywodzący się z niesłusznej surowości lub tajonej próżności innych.

W czasie tej pierwszej narady zapadło więc tylko postanowienie, że ustali się dokładnie przyczyny niechęci Franvala wobec ewentualnego małżeństwa córki i powody skłaniające Eugenię do podzielenia jego poglądów. Zdecydowano niczego nie przedsięwziąć, póki te motywy nie zostaną całkowicie wyjaśnione.

– Widzisz Eugenio – powiedział wieczorem Franval do córki – chcą nas rozdzielić... Dziecko moje drogie, czy uda się im tego dokonać? Czy zdołają zerwać te najdroższe dla mnie więzy?

– Nie lękaj się, ukochany, nigdy, przenigdy tego nie osiągną! Te więzy, które tak cię radują, są mi równie drogie. Nie próbowałeś mnie oszukać, mówiłeś mi, zanim się połączyliśmy, do jakiego stopnia stosunek nasz wstrząśnie obyczajami. Nie lękałam się pogardzić umownymi zwyczajami, które tak różnią się w każdym klimacie, że nie powinny być niczym uświęcone. Pragnęłam tych więzów, sama je zadzierzgnęłam i nie czuję wyrzutów sumienia. Nie lękaj się więcej, że zechcę je zerwać.

– Niestety! Któż może wiedzieć? Colunce jest ode mnie młodszy; ma wszystkie zalety, których potrzeba, by cię oczarować. Nie upieraj się, Eugenio, przy tej resztkę uczuć, która cię jeszcze zaślepia! Z czasem rozsądek w tobie przeważy, rozwieje się omamienie, zrodzi się żal, który złożysz wielkim ciężarem na mojej piersi. A ja nigdy sobie nie wybaczę, że stałem się jego przyczyną!

– Nie – odpowiedziała twardo Eugenia – nie! Zdecydowałam, że będę kochała tylko ciebie. Gdybym miała dostać męża, byłabym najniešťeśliwszą z kobiet... Ja – mówiła z goryczą – ja miałabym się połączyć z obcym, który nie mając tak jak ty podwójnych powodów, by mnie kochać traktowałby mnie wedle swych sentymentów, a może tylko swego pożądanía? A potem opuszczona, pogardzona przez niego, kim bym została? Dewotką czy ładaczną? Och, nigdy! Wolę być zawsze twoją kochanką, najdroższy! Stokroć wolę być z tobą niż stoczyć się do jednej z tych dwóch haniebných pozycji w wielkim świecie!

– Ale dlaczego o tym mówimy? – dopytywała się Eugenia z rozdrażnieniem. – Czy coś nam grozi? Co się stało? Czyżby twoja żona?... Tak, ona jedna byłaby zdolna... Jej nieprzytomna zazdrość... Bez wątpienia to jedyne źródło nieszczęść, które mogą nam zagrozić! Ach, nie potępiam jej! Wszystkim się można posłużyć, gdy trzeba walczyć, by ciebie przy sobie zatrzymać. Na cóż bym ja się nie odważyła, gdybym była na jej miejscu, a chcieliby odebrać mi twe serce?

Franval, do głębi poruszony, uściskał gorąco swą córkę, a ta, ośmielona zbrodnicznymi pieszczotami, rozwijając coraz śmieiej swą okrutną imaginację, z niewybaczalnym bezwstydem odważyła się powiedzieć ojcu, że jedywym dla nich sposobem uchronienia się przed niepożądaną obserwacją byłoby wyszukanie kochanka dla matki. Pomysł ten rozweselił zrazu Franvala; okrutniejszy jednak od córki, a pragnąc również zasiać w jej sercu większą jeszcze nienawiść do swej żony, odpowiedział, że zemsta taka byłaby chyba zbyt słodka; jest wiele innych sposobów ukarania kobiety, która zatruwa życie swemu mężowi.

Minęło kilka tygodni, zanim Franval i Eugenia zdecydowali się wreszcie wypróbować plan uknuty dla wtrącenia cnotliwej małżonki nędznika w nieszczęście i desperację. Sądziłi nie bez racji, że przed użyciem jeszcze niegodziwszych metod przydać się może pomysł z kochankiem, nie tylko wygodny jako punkt wyjścia dla innych podstępów, ale przede wszystkim, w wypadku powodzenia, wtrącający od razu panią de Franval w takie położenie, że nie mogłaby odtąd interesować się grzechami innych, sama mając cokolwiek na sumieniu. W celu realizacji tego pomysłu Franval począł rozglądać się wśród swoich młodych znajomych, a po dojrzałym namyśle doszedł do wniosku, że w tym celu nadawałby się jedywym pan de Valmont.

Valmont miał lat trzydzieści, czarującą powierzchowność, sporo dowcipu i bujnej imaginacji, a za to żadnej z zasad moralnych. Był wobec tego znakomitym kandydatem do roli, jaką mu przeznaczano. Pewnego dnia Franval zaprosił go na obiad.

– Mój drogi – powiedział, gdy wstali od stołu i zostali sami – zawsze sądziłem, że jesteś godny mej przyjaźni. Możesz mi teraz dowieść, że się nie myliłem. Chciałbym dowodu twych uczuć... Dowodu co prawda dość szczególnego...

– O co ci chodzi? Mów jaśniej. Nie wątpiłeś chyba nigdy, że zawsze jestem gotów we wszystkim ci służyć?

– Co powiesz o mojej żonie?

– Doprawdy urocza! Gdyby ktoś inny był jej mężem, od dawna starałbym się zostać jej kochankiem.

– Dzięki ci za te względy, ale wcale mi na nich nie zależy.

– Jak to?

– Będziesz zdumiony... Właśnie dlatego, że jesteś moim przyjacielem... dlatego, że jestem mężem pani de Franval, proszę cię, żebyś został jej kochankiem.

– Jesteś szalony?

– Nie, ale trochę dziwak i trochę fantasta... Znasz mnie z tej strony od dawna. Chcę doprowadzić cnotę do upadku i pragnę, abyś ty schwytał ją w pułapkę.

– Co za nedorzeczość!

– Bynajmniej, to arcydzieło rozsądku.

– Więc chcesz, żebym ja...

– Tak, chcę, żądam i ostrzegani, że przestanę uważać cię za przyjaciela, jeżeli odmówisz mi tej przysługi. Wszystko ci załatwię, wszystko przygotuję... a ty skorzystasz. Kiedy zaś będę już pewien swego losu, rzucę ci się jeśli zażadasz, do nóg, aby dziękować za dobrodziejstwo.

– Słuchaj, Franval, nie dam ci się nabrać; za tym kryje się coś niezwykłego. Nie przystępuję nigdy do działania, jeśli nie znam wszystkich okoliczności.

– Tak... Ale wiem, żeś trochę skrupulant, nie sądzę też, byś miał dość siły ducha, aby poznać całą prawdę. Zawsze jakieś przesady... rycerskie uniesienia... chyba się nie mylę? Gdybym ci wszystko wyjawiał, zadrżałbyś jak wystraszone dziecko i nie chciał w ogóle zabrać się do rzeczy.

– Ja miałbym zadrzeć? Jestem twoim osądem doprawdy zdumiony. Dowiedz się, mój drogi, że nie ma w całym świecie takiego szaleństwa, nie ma występku, który byłby w stanie mnie poruszyć, który mógłby choć na chwilę zakłócić bicie mego serca!

– Valmont, widziałeś Eugenię?

– Twoją córkę?

– Moją kochankę, jeśli wolisz...

– Och, łotrze! Rozumiem teraz...

– Po raz pierwszy w życiu widzę cię cokolwiek poruszonym.

– Jakże to? na honor, żyjesz ze swoją córką?

– Tak, przyjacielu, jak biblijny Loth! Zawsze byłem przejęty tak wielkim respektem dla Pisma świętego, zawsze wierzyłem, że niebo stoi otworem przed tymi, którzy naśladowają bohaterów tej świętej księgi... Ach, mój drogi! Nie dziwi mnie już szaleństwo Pigmaliona. Czyż historia świata nie jest pełna przykładów podobnych słabostek? Nie trzebaż było od tego zacząć, aby zaludnić ziemię? A w jaki sposób mogło to stać się zbrodnią, jeśli wówczas nią nie było? Co za nedorzecznosc! Młoda dziewczyna nie może mnie podniecać, ponieważ miałem nieszczęście przyczynić się do wydania jej na świat? To co winno najbardziej ją do mnie zbliżyć, ma być powodem oddalenia? Mam patrzeć na nią chłodno i obojętnie, ponieważ jest do mnie podobna, ponieważ płynie w niej moja krew, a więc dlatego, że jednoczy w sobie wszystkie zalety zdolne wzbudzić najgorętszą miłość? Co za sofizmaty, co za bzdury! Zostawmy głupcom obowiązek poszanowania tych śmiesznych zakazów; nie dotyczą one umysłów takich jak nasze. Królestwo piękna i święte prawa miłości nie mają nic wspólnego z nędznymi konwencjami społecznymi. Usuwają je precz swoim blaskiem, podobnie jak promienie słońca oczyszczają ziemię z mgieł, którymi spowiła ją noc. Zdepczmy te okrutne przesady, stojące na drodze szczęścia! Jeśli zdarzyło się im kiedykolwiek przeważyć nad racjami rozumu, działo się to zawsze kosztem najdoskonalszych radości. Niech będą przez nas wzgardzone i potępione na wieki!

– Przekonałeś mnie – oświadczył Valmont. – Przyznaję, że twoja Eugenia może być wspaniałą kochanką. Jest wyraźniejszym od swej matki typem urody, a chociaż nie widać u niej, jak u twojej żony, owego rozmarzenia, które tak rozkosznie ogarnia duszę, ma za to w sobie coś podniecającego i zniewalającego, coś zdolnego złamać każdy opór. Tamta ulega, ta żąda; tamta przyzwala, ta się oddaje; przyznaję, że jest w tym więcej uroku.

– Pamiętaj, że ofiaruję ci nie Eugenię, ale jej matkę.

– Doprawdy, cóż cię do tego skłania?

– Moja żona jest zazdrosna, przeszkadza mi, śledzi nas. Chce wydać Eugenię za mąż. Musi więc poczuć się winna, abym mógł dzięki temu osłonić swoje winy. Trzeba, abyś ją posiadł... zabawił się z nią przez czas jakiś, a potem ją zdradził... Przyłapię ją w twych ramionach i ukarzę, a przynajmniej za cenę tego odkrycia kupię sobie spokój i wzajemną tolerancję naszych wspólnych błędów... Tylko się nie zakochaj; błagam. cię Valmont, zachowaj zimną krew; zdobądź ją i nie pozwól nad sobą panować. Jeśli wmieszają się w to jakieś sentymenty, moje plany diabli wezmą!

– Bądź spokojny, byłaby to w moim życiu pierwsza kobieta, która by poruszyła me serce.

Dwaj zbrodniarze uzgodnili więc swoje zamierzenia; postanowiono, że w ciągu paru dni Valmont zacznie uwodzić panią de Franval, mogąc używać wszelkich sposobów, nawet ujawnienia jej romansu Franvala jako najsilniejszego argumentu zdolnego nakłonić tę szlachetną niewiastę do poszukiwania zemsty.

Eugenia, którą powiadomiono o ułożonym projekcie, nadzwyczaj się uradowała; niegodziwa istota ośmieliła się nawet żądać, aby – jeśli Valmontowi się powiedzie – mogła dopełnić swego szczęścia, oglądając na własne oczy upadek matki; chciała widzieć tę bohaterkę cnoty jawnie poddającą się urokom rozkoszy, z taką surowością dotąd przez nią potępianych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy najcnotliwsza i najnieszczęśliwsza z kobiet miała nie tylko otrzymać straszliwy cios, ale również zostać znieważoną i opuszczoną przez swego zbrodniczego małżonka, wydana w ręce człowieka, który na jego własne żądanie miał go zniesławić... Co za szaleństwo! Jakież cele może mieć Natura tworząc serca tak zdeprawowane! Parę wstępnych wizyt poprzedziło tę scenę. Valmont był zresztą tak blisko zaprzyjaźniony z Franvalem, że matka Eugenii, przyzwyczajona już do pozornie niegroźnego towarzystwa tego człowieka, nie mogła się obawiać pozostania z nim sam na sam.

Byli we troje, w salonie, gdy nagle Franval podniósł się z fotela.

– Wychodzę – powiedział. – Muszę załatwić pilną sprawę. Będiesz z Valmontem tak bezpieczna, jak pod opieką swojej guwernantki – dodał z uśmiechem – to człowiek bardzo rozsądny... Gdyby się jednak zapomniał, winnaś mi zaraz o tym powiedzieć; lubię go, ale nie na tyle, by dzielić się z nim swoimi prawami...

I wyszedł.

Po kilku zdaniach nawiązujących do żartu Franvala Valmont zauważył, iż przyjaciel jego zmienił się wyraźnie od sześciu miesięcy.

– Nie miałem śmiałości pytać o powody – dodał – wydaje się jednak, że ma jakieś zmartwienia.

– Pewne jest tylko – odrzekła pani de Franval – że jest nieustanną przyczyną zmartwień swoich bliskich.

– O nieba! czego się dowiaduję? Czyżby mój przyjaciel krzywdził panią?

– Lepiej o tym nie mówić.

– Proszę mi się zwierzyć; zna pani moją gorliwość, moje niewzruszone przywiązanie...

– Ciągłe te straszliwe doktryny, to zepsucie obyczajów, najróżniejsze przykrości... Uwierzy pan? Proponowano naszej córce najkorzystniejszą mariaż, nie zgodził się...

W tym miejscu zręczny Valmont spuścił oczy i przybrał minę człowieka, który wie... który współczuje... i który boi się powiedzieć.

– I cóż – podjęła pani de Franval – pana to nie dziwi? Szczególne jest to pańskie milczenie.

– Ach, pani! Lepiej jest milczeć niż mówić i stać się przyczyną rozpacz ukochanej istoty...

– Co to za zagadki? Proszę mi wyjaśnić, zaklinam pana!

– Chciałaby pani, bym nie drżał, gdy mara otworzyć ci oczy – mówił Valmont, ściskając jak w gorączce rękę tej niezwyklej kobiety.

– Albo przestaniemy rozmawiać – odpowiedziała żywo pani de Franval – albo wyjaśni mi pan dokładnie swoje aluzje. Żądam tego! Nie może mnie pan zostawić w tej strasznej sytuacji.

– Sytuacja, w której znalazłem się dzięki pani, jest może jeszcze straszniejsza! – zawołał Valmont, spoglądając na swoją przyszlą ofiarę wzrokiem pełnym płomiennej miłości.

– Co jednak znaczy to wszystko? Najpierw mnie pan przeraża, zmusza do żądania wyjaśnień, potem ośmiela się mówić rzeczy, których nie chcę i nie powinnam słuchać, chyba po to jedynie, aby odjąć mi możliwość dowiedzenia się wreszcie, co miał pan na myśli tak okrutnie mnie niepokojąc. Proszę mi powiedzieć albo wpędzi mnie pan w ostateczną rozpacz!

– Skoro pani tego żąda, będę wyrażał się jaśniej, choćbym miał rozedrzeć ci serce. A więc pozna pani straszną tajemnicę, dla której Franval odrzucił starania pana de Colunce. Eugenia...

– Cóż Eugenia?

– Franval ją uwielbia. Nie jest już dla niej ojcem, ale kochankiem. Wolałby wyrzec się życia niż tej dziewczyny...

Słyszając to niesamowite wyjaśnienie pani de Franval doznała takiego wstrząsu, że na chwilę straciła zmysły. Valmont podtrzymał ją; po minucie otworzyła oczy.

– Widzi pani – kontynuował – ile cię kosztuje poznanie tej prawdy, której się domagałaś. Gdybym wiedział...

– Niech pan mnie zostawi! – zawołała pani de Franval, której stan trudno było opisać – niech pan odejdzie! Po takim strasznym wstrząsie muszę być chwilę sama!

– Chciałabyś, abym zostawił cię w takim stanie? Ach, zbyt okrutnie dotyka mnie twój ból, abym nie miał cię błagać o łaskę podzielenia z tobą twego cierpienia. Stałem się jego przyczyną, pozwól, abym je ukoił!

– Mój mąż zakochany we własnej córce! Wielki Boże! To stworzenie, które nosiłam pod sercem, odbiera mi go teraz tak niegodziwie! Taka zbrodnia! Ach, panie de Valmont! Czy to możliwe? Czy pan jest pewny?

– Gdybym miał, pani, jakiegokolwiek wątpliwości, milczałbym jak grób. Wolałbym zostawić cię w nieświadomości niż na próżno niepokoić. Niestety, wiem o tej hańbie od samego Franvala, zwierzył mi się. Cokolwiek się jednak stało, błagam panią o spokój! Rozważymy zaraz sposoby zerwania tej intrygi i ukarania winnych. Ty jedna możesz wymierzyć mu sprawiedliwą karę...

– Niech pan mówi, co robić! Taka zbrodnia mnie przeraża.

– Mężczyzna o usposobieniu Franvala nie da się nawrócić przykładem cnoty. Małżonek pani gardzi kobietami. Wszystko, co czynią one, by nas zjednać, utrzymuje Franval, jest skutkiem ich ambicji albo temperamentu; nie chodzi im o to, by nam się podobać lub nas zobowiązać, ale po prostu o własne zadowolenie. Wybacz pani, ale nie będę ukrywał, że w tej materii podzielam jego mniemanie. Nigdy nie widziałem, by jakiegokolwiek kobiecie udało się swoją cnotą sprowadzić męża z drogi występku. Franvala zabolaloby raczej postępowanie podobne do jego własnego; to byłby sposób na przywrócenie pani miłości męża. Zazdrość to najlepszy i niezawodny środek ponownego rozniecenia miłości. Gdyby mąż pani pojął, że ta cnota, do której tak przywykł i którą ośmielił się pogardzić, jest raczej skutkiem refleksji niż obojętności albo braku temperamentu, nauczyłby się panią cenić właśnie dlatego, że uznałby cię za zdolną do jej porzucenia. Franval sądzi... ośmiela się nawet opowiadać, że jeśli nie miałaś nigdy kochanków, to dlatego jedynie, iż nikt cię nie pożądał i nie atakował. Dowiedz mu, że możesz ich mieć, ilu zapragniesz; że możesz się zemścić za jego zdrady i pogardę. Zapewne w świetle surowych pani zasad będzie to trochę niegodziwe; pamiętaj jednak, ilu grzechom przez to zapobiegiesz, jakiego mężczyznę nawrócisz! Ta niewielka obraza uwielbionego bóstwa cnoty przywiedzie do jej świątyni nie byle jakiego odszczepieńca! Ach, pani! Apeluje do twego rozsądku! Postępowaniem, które ośmielał się radzić, na zawsze przywiążesz do siebie Franvala, zjednasz go do śmierci. Odsuwa się od ciebie, boś zbyt cnotliwa; wymyka ci się, by może już nigdy nie powrócić. Tak, twierdzą stanowczo, że jeśli kocha pani swego męża, nie powinnaś się wahać!

Pani de Franval, zdumiona tym przemówieniem, przez kilka chwil trwała w milczeniu. Przypomniała sobie gorące spojrzenia i pierwsze zdania Valmonta.

– Panie de Valmont – powiedziała wreszcie patrząc nań uważnie – załóżmy, że chciałabym pójść za pańską radą. Jak pan sądzi, na kogo powinnam zwrócić uwagę, aby zaspokoić swego męża?

– Ach, pani! – zawołał Valmont, nie dostrzegając zastawionej pułapki. – Najdroższa, boska przyjaciółko! Spójrz na człowieka, który kocha cię jak nikogo na świecie! Który uwielbia cię od chwili poznania i przysięga u twych stóp, że odda życie na każde skinienie!

– Proszę stąd wyjść – zawołała z oburzeniem pani de Franval – i nigdy nie pokazywać mi się na oczy! Przejrzałam pański podstęp! Ośmieliłeś się oskarżyć mego męża o zbrodnię, której nie byłby zdolny popełnić, aby doprowadzić do skutku swoje perfidne zamiary! Oświadczam panu, że gdyby nawet był winien, sposoby, które mi doradzasz, uważam za tak odrażające, że niezdolna byłabym posłużyć się nimi nawet przez chwilę. Błędy męża nigdy nie usprawiedliwią grzechów żony! Właśnie dlatego musi być tym bardziej czysta i cnotliwa, aby sprawiedliwy Bóg powściągnął swój gniew i nie rzucił na miasto występku płomieni, które winny je pochłonać!

Z tymi słowy pani de Franval wyszła z salonu; zawołała służbę Valmonta i poprosiła, aby opuścił jej dom, co i uczynił, pełen wstydu i upokorzenia.

Aczkolwiek ta niezwykła kobieta wykryła podstępne zamiary przyjaciela pana de Franval, to jednak słowa jego tak bardzo zgadzały się z jej obawami i domysłami matki, że postanowiła użyć wszelkich sposobów, aby dojść wreszcie do najgorszej nawet prawdy. Pojechała do pani de Farneille i opowiedziała całe wydarzenie; wróciła stamtąd zdecydowana na krok, który uznała za najwłaściwszy.

Od dawna powiadają, i chyba słusznie, że najgorszych wrogów mamy we własnej służbie. Zawsze zazdrośni, zawsze zawistni, lokaje zdają się szukać sposobu ulżenia swemu losowi w śledzeniu wszelkich występków, które poniżając nas w ich oczach, pochlebiają niejako ich próżności i przywracają im poczucie moralnej przewagi, odebrane przez los i sytuację.

Pani de Franval zdołała przekupić jedną z pokojówek Eugenie. Za obietnicę bezpiecznej ucieczki i korzystnej zmiany posady, za upewnienie, iż służy dobrej sprawie, kreatura ta zdecydowała się pokazać następnej nocy pani de Franval bezsporne dowody jej nieszczęścia.

Nadeszła oczekiwana chwila. Nieszczęsna matka ukryła się w gabinecie sąsiadującym z pokojem, w którym jej perfidny małżonek znieważał każdej nocy sakrament małżeństwa. Eugenia weszła tam razem z ojcem. Na kominku paliły się świece w wielkim kandelabrze, oświetlały wyraźnie miejsce zbrodni... Ołtarz był już przygotowany, ofiara złożyła się na nim z uśmiechem, zbliżył się do niej zbrodniczy kapłan... Pani de Franval zebrała w sobie całą odwagę, wszystkie siły, które czerpała z desperacji i znieważonej miłości; otworzyła drzwi i wdarła się do sypialni. Tam, zalana łzami, padła do nóg kazirodcy.

– O ty, który stałeś się nieszczęściem mego życia! – wołała do Franvala – któremu nic nie zawiniłam... którego nawet teraz uwielbiam jeszcze mimo krzywd i bólu... Patrz na me łzy i nie odtrącaj mnie! Błagam cię o zmiłowanie nad tą nieszczęśliwą, która zwiedziona swą słabością i twoimi uwodzicielskimi zabiegami sądzi, że znalazła szczęście na łonie zbrodni i bezwstydu... Eugenio, Eugenio! Czyżbyś chciała uderzyć żelazem w łono, które wydało cię na świat? Nie gódź się dłużej na współnictwo zbrodni, której ohydę przed tobą utajono! Uciekaj stąd! Uciekaj! Przyjmę cię z największą radością! Widzisz u swych stóp nieszczęśliwą matkę, która zaklina cię, byś przestała znieważać i honor, i prawo Natury... Ale jeśli odrzucisz me błaganie – mówiła dalej zdesperowana niewiasta, przyciskając do piersi ostrze sztyletu – oto jakim sposobem uwolnię się od hańby, którą chcesz mnie okryć! Niechaj obleje was moja krew; tylko na moich zwłokach będziecie mogli dopełnić swej strasznej zbrodni!

Kto zrozumiał już nieczułą duszę Franvala, łatwo pojmuje, że widok ten złoczyńcy bynajmniej nie wzruszył. Trudno jednak uwierzyć, że serce Eugenie również nie drgnęło.

– Pani – powiedziała z okrutnym spokojem ta zdeprawowana dziewczyna – nie pojmuję, jak możesz godzić ze zdrowym rozsądkiem tę śmieszoną scenę, którą robisz swojemu mężowi! Czyż nie jest on panem swojego postępowania? A jeśli pochwała moje, jakie masz prawo nas ganić? Czy my śledzimy twoje swawole z panem de Valmont? Przeszkadzamy ci w twoich

rozkoszach? Racz więc respektować nasze, a w przeciwnym wypadku nie dziw się, że pierwsza będę prosiła twojego męża, aby zastosował środki, które cię do tego zmuszą...

W tym momencie skończyła się cierpliwość pani de Franval. Cały jej gniew zwrócił się przeciwko niegodziwej istocie, która do tego stopnia wobec niej się zapomniała. Rzuciła się ku niej z wściekłością. Ale okrutny Franval schwycił żonę za włosy, odciągnął ją z furią od córki i wywłókł z pokoju; pchnął ją z całą siłą po schodach, tak że stoczyła się zemdlona i skrwawiona aż na próg pokoju jednej ze służących, która zbudzona okropnym hałasem wybiegła z izdebki i osłoniła pośpiesznie swą panią przed gniewem okrutnika, zbiegającego już na dół, aby dokończyć zemsty... Wciągnęła ją do siebie, zamknęła drzwi, zaczęła cucić... Natomiast potwór, który z taką wściekłością ją maltretował, wrócił do swojej towarzyszki, aby spędzić z nią noc tak spokojnie, jak gdyby nie upodobnił się przed chwilą do najdzikszej bestii bezlitosnymi zniewagami, potwornym upokorzeniem ofiary, jednym słowem czynami tak odrażającymi, że wstyd nas ogarnia, iż musieliśmy je odsłonić.

Skończyły się złudzenia biednej pani de Franval. Nie mogła dłużej się oszukiwać; było aż nadto jasne, że odebrano jej najdroższy skarb całego życia, serce męża... I któż tego dokonał? Istota winna jej najgłębszy szacunek, która jednak ośmieliła się przemawiać do niej z tak niesłychaną zuchwałością! Domyślała się również, że cała przygoda z Valmontem była szkaradną pułapką, mającą na celu wpędzenie jej w występki, a przynajmniej stworzenie pozorów, zdolnych zrównoważyć, i usprawiedliwić czyny tysiąckroć ohydniejsze.

Trudno było w to wątpić. Franval, powiadomiony o niepowodzeniu Valmonta, kazał mu zastąpić niepomyślną prawdę kłamstwem i oszczerstwem, to jest głosić publicznie, że jest kochankiem pani de Franval. Postanowiono również w tym godnym towarzystwie przygotować sfałszowane listy o haniebnej treści, które dowiodłyby jak najbardziej jednoznacznie istnienie stosunków, do jakich nieszczęśliwa żona Franvala nie chciała się przyznać.

Rozpacz i doznane obrażenia wtrąciły rychło panią de Franval w ciężką chorobę. Mąż nie życzył sobie jej widywać, nie raczył nawet informować się o stanie jej zdrowia. Wyjechał z Eugenią na wieś pod pretekstem, że panująca w domu gorączka może być dla dziewczyny niebezpieczna.

Podczas choroby pani de Franval Valmont kilkakrotnie składał jej wizyty, nie był jednakże ani razu przyjęty. Otoczona opieką przez matkę i księdza de Clervil nie chciała nikogo widzieć. Dopiero po czterdziestu dniach wróciła do zdrowia dzięki staraniom tych najbliższych sobie osób, jedynych przyjaciół, którzy jej pozostali. Franval odwiózł wtedy córkę z powrotem do Paryża i spotkał się z Valmontem, aby obmyśleć sposoby przełamania fortyfikacji, jakimi pani de Franval obwarowała się z pomocą przyjaciół przed ich zakusami.

Franval zjawił się u żony w chwili, gdy uznał, że jest w stanie z nim rozmawiać.

– Nie masz chyba złudzeń co do moich poglądów na swój stan zdrowia – powiedział chłodno. – Nie ukrywam, że tylko tej okoliczności zawdzięczasz powściągliwość Eugonii. Była gotowa wnieść przeciwko tobie bezwzględną skargę z powodu tak brutalnego jej potraktowania. Chociaż zdaje sobie sprawę, że winna jest ci szacunek, należy zazwyczaj matce od córki, nie może jednak ignorować faktu, że ta matka sama postawiła się w najgorszym świetle, rzucając się na córkę ze sztyletem w dłoni. Podobne uniesienia mogą otworzyć oczy wymiarowi sprawiedliwości na twoją konduite i pewnego dnia zaszkodzić fatalnie twojej dobrej sławie i twojej wolności osobistej.

– Nie spodziewałam się takich oskarżeń – odrzekła pani de Franval. – Jakże to, moja córka, uwiedziona przez ciebie, splamiona jednocześnie kazirodztwem, cudzołóstwem, libertynizmem i najohydniejszą niewdzięcznością wobec tej, która wydała ją na świat... O nie, nie wydadaję mi się, abym wobec tych okropności miała obawiać się jakiejś skargi! Trzeba mieć twój talent i złośliwość, aby wybacząc tak bezczelnie zbrodnię, oskarżać niewinność!

– Zdaję sobie sprawę, że pretekstem do tamtej sceny były twoje najdziwaczniejsze wobec mnie podejrzenia. Ale chimeryczne przewidzenia nie usprawiedliwiają zbrodni. To, czegoś

się domyślała jest złudzeniem; natomiast to, czegoś się dopuściła, jest niestety faktem. Byłaś zdumiona wyrzutami, które czyniła ci moja córka w związku z twoim romansem z panem de Valmont. Dowiedz się, że twoje nieprzystojne prowadzenie się jest głośne w całym Paryżu. Te kunszachty są tak powszechnie znane, dowody, niestety, tak niewątpliwe, że mówić ci o tym jest może nieostrożnością, ale w żadnym wypadku nie kalumnią.

– Ja... ja... – mówiła nieszczęśliwa, w oburzeniu unosząc się na łóżku – ja miałabym z Valmontem... Boże sprawiedliwy! I ty to mówisz! Niewdzięczny! – zalała się łzami. – Oto jest zapłata za moją czułość! Oto nagroda za to: zem cię tak pokochała! Niekontent jesteś z tej okrutnej krzywdy; nie dosyć ci, żeś uwiódł własną córkę; chcesz jeszcze usprawiedliwić swe zbrodnie zarzucając mi czyn, który byłby dla mnie straszniejszy od śmierci! Powiadasz, że masz dowody mojego romansu! Pokaż je wszystkim! Żądam, aby znano je powszechnie! Zmuszę cię, abyś je opublikował, jeżeli mi ich zaraz nie pokażesz!

– Moja droga, nie będę ich wszystkim pokazywał, bo zazwyczaj rozgłaszanie takiego skandalu nie jest zadaniem zdradzonego męża. Cierpi on i stara się jak najdłużej utaić dowody. Skoro jednak tego żądasz, z pewnością ci nie odmówię, – Sięgnął do portfela. – Usiądź, proszę, trzeba to sprawdzić spokojnie; złość i uniesienie zaszkodzą ci, a mnie nie przekonają. Przeczytaj, proszę i podyskutujemy z zimną krwią.

Pani de Franval była tak pewna swojej niewinności, że nie pojęła, co mają znaczyć te dziwne słowa. Zdumienie i zgroza przejęły ją dreszczem.

– Oto jak widzisz – mówił Franval, wyjmując z portfela plik papierów – cała twoja korespondencja z panem de Valmont z ubiegłych sześciu miesięcy. Nie oskarżaj tego młodego człowieka o niedyskrecję lub nieostrożność; zbyt jest rycerski, aby w czymkolwiek ośmielił się ci uchybić. Ale jeden z jego służących, zrećniejszy od swego pana, znalazł sposób na dostarczenie mi tych cennych dowodów twojej nadzwyczajnej skromności i znakomitej cnoty. – Przerzucił listy rozłożone na stole i wyjął jeden. – Pozwolisz, że wśród tych rozmaitych paplanin kobiety roznamiętnionej... roznamiętnionej przez mężczyznę bez wątpienia wielce przystojnego... wybiorę list, który wydał mi się najbardziej charakterystyczny i beztroski. Oto jego treść:

„Nudziarz wyjeżdża dziś wieczorem do swojej podmiejskiej willi razem z tą nędzną kreaturą. Nie pojmuję, jak mogłam wydać ją na świat! Przybywaj, najdroższy, pocieszyc mnie po strapieniach, których nie szczędzą mi te dwa potwory. Czy zresztą nie oddają nam teraz największych usług? Ta intryga przeszkadza mojemu mężowi w dostrzeżeniu naszej miłości. Niech wyprawia z tą dziewczyną, co mu się podoba, byleby nie ważył się targnąć na najdroższe związki, łączące mnie z człowiekiem, którego uwielbiam jak nikogo na świecie.”

– I cóż na to powiesz?

– Doprawdy, podziwiam cię – odrzekła pani de Franval. – Każda nasza rozmowa wzmaga moje niewiarygodne wprost dla ciebie uznanie. Przyznam się jednak, że wśród znakomitych twoich zdolności nie dostrzegłam jeszcze talentów fałszerza i oszczercy!

– Ach, więc zaprzeczasz?

– Bynajmniej. Żądam tylko, aby mi to udowodniono. Wezwiemy sędziów, powołamy ekspertów. I zażądamy, jeśli się zgodzisz, najsurowszej kary dla tego z nas dwojga, kto okaże się naprawdę winnym...

– Oto co można nazwać prawdziwą beczelnością! Dobrze, wolę nawet śledztwo od nieustannego cierpienia. Poszukajmy dalej – mówił Franval, wyjmując z portfela drugi plik papierów. – Nic dziwnego, że masz kochanka... z taką urodą i mężem n u d z i a r z e m... Ale pozwolisz, że uznam raczej za niezwykle, iż w twoim wieku już musisz go utrzymywać, i to na mój koszt! Oto weksle i rachunki prawie na sto tysięcy talarów, płacone przez ciebie albo żyrowane na korzyść pana de Valmont. Obejrzyj je sobie, proszę bardzo – dorzucił ów nędznik pokazując jej z daleka jeden z dokumentów.

„Pan Zaide, jubiler... Przekazuję panu przy niniejszym sumę dwudziestu dwóch tysięcy liwrow jako pokrycie zobowiązania pana de Valmont. Farneille de Franval.”

– Jametowi, handlarzowi koni: sześć tysięcy liwrow.. To za ten ekwipaż, którym chlubi się dzisiaj Valmont w całym Paryżu Tak, pani, nazbierało się tego w sumie na trzysta tysięcy dwieście osiemdziesiąt trzy liwry i dziesięć soldów. z czego jedną trzecią jesteś jeszcze winna, a resztę lojalnie pospłacałaś. Co o tym sądzisz?

– Zbyt prymitywne jest to fałszerstwo, abym choć przez chwilę mogła się go obawiać. Potrafię zawstydzić niegodziwych, którzy wymyślili to wszystko, aby mnie zgubić... Żądam, aby ludzie; którym jak powiadasz, płaciłam rzekomo te rachunki, przyszli tutaj i zaprzysięgli, że ode mnie dostawali pieniądze.

– Przyjdą, pani, możesz w to nie wątpić. Czy donieśliby mi z własnej woli o twoim postępowaniu, gdyby nie byli gotowi podtrzymać swoich zeznań? Jeden z nich chce nawet już dzisiaj, bez mojego wpływu, wnieść przeciw tobie pozew do sądu...

Gorzkie łzy płynęły z oczu nieszczęśliwej kobiety. Opuściła ją odwaga, ogarnęło zwątpienie; przerażające były symptomy jej rozpacz, biła w zapamiętaniu głową w marmurowe kolumny, raniła sobie twarz.

– Zlituj się nade mną! – zawołała, rzucając się mężowi do nóg. – Jeśli chcesz się mnie pozbyć, możesz tego dokonać sposobem mniej okrutnym i bezlitosnym! Skoro moje istnienie przeszkadza w radowaniu się zbrodnią, połóż mu kres jednym ciosem! Nie wtrącaj mnie do grobu tak powolnie i podstępnie! Czy to moja wina, że cię kochałam? Że burzyłam się przeciwko temu, co tak brutalnie pozbawiało mnie twych uczuć? Dobrze. Ukarz mnie, złoczyńco, weź to żelazo – mówiła w gorączce, chwytając szpadę męża – i przebij mnie bez litości! Niech chociaż umrę godna twego szacunku, niech zabiorę do mogiły jedyne pocieszenie, wiarę, że w twoich oczach niezdolna byłam do występków, o jakie mnie oskarżasz... po to jedynie, aby ukryć swe własne...

Kłęcząc u stóp Franvala ścisnęła pokrwawionymi rękami obnażone ostrze, usiłując ugodzić się nim w pierś. Półnaga, z rozpuszczonymi włosami, zalana potokami łez, była patetycznym i wyrazistym uosobieniem rozpacz. Nigdy chyba cierpienie nie ukazało się w postaci równie szlachetnej, wzruszającej i pięknej.

– Nie, pani – powiedział Franval, wydzierając jej szpadę. – Nie zależy mi na twojej śmierci, chcę tylko sprawiedliwej kary. Pojmuję twoją skrucę, łzy wcale mnie nie dziwią; szalejesz z rozpacz, że zostałaś zdemaskowana. Żal twój bardzo mnie cieszy, mogę mieć nadzieję na pokutę i poprawę... którą przyspieszy niewątpliwie los, jaki ci teraz przeznaczam... Zwróć w tym kierunku wszystkie swoje starania.

– Wstrzymaj się! – zawołała nieszczęśliwa. – Nie rozgłaszaj chociaż swojej hańby, niech świat się nie dowie, że jesteś jednocześnie krzywoprzysięzcą, fałszerzem, kazirodcą i oszczercą! Chcesz się mnie pozbyć, wyjadę, poszukam schronienia, gdzie nawet wspomnienie o tobie zniknie z mej pamięci... Będiesz wolny, będziesz grzeszył bezkarnie... zapomnę cię... jeżeli potrafię... A jeśli nawet twego bolesnego wizerunku nie zdołam wyrwać ze swego serca, jeżeli będzie mnie prześladował i na odległym wygnaniu, to się go nie pozbędę, niegodziwy... nie, to byłoby ponad moje siły... ale ukarzę się za własne zaślepienie i złożę wówczas do grobu tę zhańbioną świątynię, w której byłeś tak uwielbiony...

Uniesienie wyczerpało siły pani de Franval, osłabionej niedawną chorobą; osunęła się i zemdlą. Chłodny cień śmierci położył się na jej różanej karnacji, tak wyniszczonej przez cierpienie. Ciało jej było już prawie nieczułą bryłą, której wszelako nie opuszczał jeszcze wdzięk, wstyd i piękno... wszystkie atrybuty cnoty. Nędznik wyszedł, aby wraz ze swoją występłą córką radować się odrażającym triumfem, który zbrodnia odniosła nad szczęściem i niewinnością.

Szczegóły tego zajścia nadzwyczaj uradowały córkę Franvala; żałowała nawet, iż nie mogła być jego świadkiem. Była zdania, że należało posunąć się dalej i skorzystać z okazji, aby

Valmont mógł wreszcie zatriumfować nad surowością jej matki, a Franval ich przychwycić. Gdyby tak się stało, cóż mogłaby mieć na swoje usprawiedliwienie ich biedna ofiara? Nie trzeba było pozbawić jej ostatnich argumentów? Takie to rozważania snuła Eugenia de Franval!

Nieszczęśliwa kobieta miała na pociechę tylko serce swej matki; nie zwlekała też z przedstawieniem jej nowych powodów troski. Pani de Farneille wpadła na pomysł, aby użyć pośrednictwa księdza de Clervil, którego stan, wiek i powaga mogły, jak sądziła, wywrzeć jakiś wpływ na jej zięcia. Nikt nie jest tak ufny, jak człowiek dotknięty nieszczęściem. Uświadomiła czcigodnego kapłana o wszystkich wybrykach Franvala, przekonała go o faktach, w które dawniej nie chciał wierzyć, prosiła wreszcie, aby w rozmowie ze złoczyncą użył perswazji apelującej raczej do serca niż do rozumu. Jeżeli zaś powiedzie mu się z tym przewrotnym człowiekiem, prosiła, aby porozmawiał także z Eugenią i w podobny sposób przekonał tę nieszczęsną istotę, jaka przepaść przed nią się otwiera, a wreszcie przywiódł ją, jeśli to możliwe, z powrotem na łono matki i cnoty.

Franval dowiedział się dość wcześnie, że Clervil zamierza prosić o rozmowę z nim i z Eugenią; miał więc dosyć czasu, aby się z córką porozumieć i ułożyć odpowiedni plan działania. Powiadomili spowiednika pani de Farneille, że oboje gotowi są go wysłuchać. Naiwna pani de Franval wierzyła mocno w siłę argumentów poważnego kapłana; nieszczęśliwi gorliwie uganiają się za chimerami, a tęskniąc za powodzeniem, którego rzeczywistość im odmawia, chwytają się łapczywie wszelkich iluzji!

Clervil zjawił się o godzinie dziewiątej rano: Franval przyjął go w tym samym apartamencie, gdzie zazwyczaj spędzał noce ze swoją córką. Kazał go urządzić z wytwornym przepychem, zostawiając tam wszelako pewien subtelny nieład, który świadczył o ich występnych rozkoszach. Ukryta w sąsiedztwie Eugenia mogła słyszeć całą rozmowę, aby lepiej przygotować się do roli, jaka miała z kolei jej przyspaść.

– Ośmielam się zjawić u pana – powiedział Clervil – bardzo się obawiając, że mogę zakłócić spokój tego domu. Ludzie mojego stanu są zazwyczaj tak niemile widziani wśród osób, które jak pan oddają się przede wszystkim rozkoszom tego świata, że mam wyrzuty sumienia, iż uległem namowom pani de Farneille i prosiłem pana o chwilę rozmowy.

– Zechce ksiądz usiąść. Póki rozsądek i poczucie sprawiedliwości będą dominować w księdza wypowiedziach, póty nie ma obawy, abym się znudził lub zniecierpliwił.

– Jest pan przedmiotem uwielbienia młodej małżonki, pełnej wdzięku i cnot, która jednakże uważa pana za sprawcę swoich nieszczęść. Łatwo sobie wyobrazić, jak straszne jest jej położenie, skoro może się powołać tylko na swoją naiwność i niewinność, skoro ma jedyne oparcie w matce; a ubóstwa pana mimo tych wszystkich krzywd...

– Chciałbym, abyśmy od razu przeszli do faktów – przerwał Franval. – Wydaje mi się, że za bardzo wikła ksiądz całą sprawę. Jaki jest cel tej misji?

– Przywrócić panu szczęście, Jeżeli to jeszcze możliwe.

– A jeżeli okaże się, że jestem całkiem szczęśliwy, nie będzie miał ksiądz nic więcej mi do powiedzenia?

– Niepodobna, aby szczęście mogło wywodzić się ze zbrodni!

– Zgadza się! Ale ktoś, kto po głębokich rozważaniach i dojrzałym namyśle wzniosł się na tak wysoki poziom świadomości, że potrafi zrozumieć, iż zło nie istnieje, potrafi spoglądać z całym spokojem na wszystkie czyny ludzkie i traktować je jako nieuchronne skutki nacisku obiektywnej siły, która dobra czy zła, ale zawsze przemożna inspiruje nas do działań zarówno przez społeczeństwo pochwalanych, jak i potępianych, ale w rzeczywistości jednak jej obojętnych, czyż taki człowiek, powiadam, nie może być równie szczęśliwy prowadząc mój tryb życia, jak ksiądz wypełniając obowiązki swojego stanu? Szczęście jest pojęciem idealnym, jest tworem imaginacji; to po prostu właściwa nam formuła wzruszenia, która zależy wyłącznie od naszego sposobu widzenia i odczuwania świata zewnętrznego. Poza zaspokojeniem

elementarnych potrzeb nie ma rzeczy, która byłaby wszystkim ludziom równie do szczęścia potrzebna. Codziennie oglądamy indywidua znajdujące radość w sytuacjach, jakie w kimś innym wzbudziłyby odrazę. Nie ma więc obiektywnej formuły szczęścia, nie może istnieć inna jego koncepcja niż ta, którą każdy z nas tworzy na swój użytek stosownie do własnych zasad i organicznych potrzeb.

– Pojmuję, o co panu chodzi, ale jeśli nawet rozum nasz błądzi, to sumienie nigdy nas nie zawiedzie. Jedyna to księga, w której Natura spisała wszystkie nasze powinności!

– Doprawdy, czyż z tym sumieniem nie wyprawiamy wszystkiego, co nam się podoba? Poddaje się ono naciskowi przyzwyczajęń, jest w naszych rękach jak miękki wosk, któremu umiemy nadać dowolną formę. Gdyby księga ta, o której ksiądz mówi, zawierała prawa niewzruszone, czy sumienie ludzkie nie byłoby wszędzie jednakowe? Czyż od bieguna do bieguna wszystkie działania ludzkie na tej ziemi nie byłyby tak samo oceniane? A jak się dzieje naprawdę? Czy Hotentot wzdraga się przed tym samym co Francuz, a Francuz nie czyni codziennie tego za co na przykład w Japonii poniósłby surową karę? Nie, drogi księżu, nie ma na tym świecie zasad niewzruszonych; nic nie jest godne nagany lub uwielbienia, nic nie zasługuje ani na karę, ani na nagrodę; nie ma czynu, który tutaj uznany za niegodny nie byłby usprawiedliwiony o pięćset mil dalej. Jednym słowem, nie ma obiektywnego zła i nie ma zarazem niezmiennego dobra.

– Niech pan w to nie wierzy, cnota nie jest złudzeniem! Nie trzeba wiedzieć, co dobre jest tutaj, a złe o ileś tam mil stąd, aby umieć niezawodnie rozróżnić występki od cnoty i znaleźć właściwą drogę prowadzącą ku szczęściu. Człowiek może znaleźć szczęście jedynie w całkowitym podporządkowaniu się prawom swojego kraju. Musi je szanować albo stacza się w otchłań; nie może stanąć w połowie drogi między nieszczęściem a łamaniem prawa. Nie dlatego spadają na nas klęski, gdy dopuszczamy się czynów zakazanych, by były one złem samym w sobie; czyny te, w istocie swojej złe czy dobre, nie ma to znaczenia, są jednak znie wagą konwencji społecznych właściwych dla rzeczywistości, w której żyjemy. Nic w tym z pewnością złego, że przekłada ktoś przechadzkę po bulwarach nad spacer po Polach Elizejskich. Gdyby jednak wydano edykt, zakazujący obywatelom pokazywania się na bulwarach, ktoś łamiący to prawo byłby sam sprawcą całego łańcucha godzących w siebie nieszczęść, chociaż przekraczając ten zakaz niczego złego w istocie by się nie dopuścił. Skądinąd przyzwyczajenie łamania drobnych zakazów prowadzi prędko do zrywania najważniejszych hamulców; i tak od występku do występku dochodzi się wreszcie do zbrodni, które jednakowo są karane na wszystkich kontynentach, gdyż budzą grozę we wszystkich istotach rozumnych, niezależnie od szerokości geograficznej, pod którą żyć im wypadło. Jeśli więc rodzaj ludzki nie zna sumienia uniwersalnego, zna przecież sumienia regionalne, zależne od warunków bytu, jakimi obdarowała nas Natura, sumienia, w które jej ręką wszczepione zostały zasady, jakich nie możemy odrzucić bez narażania się na największe niebezpieczeństwo. Na przykład rodzina pańska oskarża cię o kazirodztwo. Jakich sofizmatów by nie użyć dla usprawiedliwienia tej zbrodni i pomniejszenia jej grozy, jakimi wykrętnymi rozumowaniami by się nie posłużyć, na jakie autorytety i przykłady zaczerpnięte z innych społeczeństw by się nie powołać, pozostanie zawsze faktem, że stosunki te, uznane wśród niektórych ludów, są przecież niebezpieczne tutaj, gdzie prawa ich zakazują. A jest nie mniej pewne, że mogą pociągnąć za sobą najboleśniejsze konsekwencje i dalsze zbrodnie... zbrodnie, powiadam, niewątpliwe i wszystkich przerażające. Gdyby poślubił pan swoją córkę nad brzegami Gangesu, gdzie małżeństwa takie są dozwolone, być może dopuściłby się niewielkiego grzechu. Ale w kraju, gdzie związki takie są zakazane, przedstawiając te gorszące sceny całemu społeczeństwu... a także oczom małżonki, która pana uwielbia i którą perfidia taka wpędza do grobu, popełniasz bez wątpienia czyn przerażający, zbrodnię godzącą w najświętsze prawa Natury, wedle których córka pańska winna w sprawcy swego istnienia budzić jedynie uczucia najgodniejsze i najciotliwsze. Nakłonił pan swoją córkę do pogardy dla świętych obowiązków; nauczył ją

pan nienawiści do kobiety, która nosiła ją w łonie. Przygotował pan w ten sposób, zapewne tego nie dostrzegając, broń, która może zwrócić się przeciwko tobie. Nie ukazał jej pan żadnego systemu myślenia, nie wpoił ani jednej zasady, z której nie musiałyby zrodzić się w przyszłości pańskie potępienie. Jeśli jej ramię podniesie kiedyś sztylet przeciwko panu, bądź pewien, żeś sam ukuł to ostrze.

– Poglądy księdza, tak różne od wyznawanych zazwyczaj przez ludzi twojego stanu – odpowiedział Franval – wzbudzają we mnie zaufanie. Mógłbym zaprzeczyć tym oskarżeniom; tym bardziej więc moja szczerść powinna zobowiązać księdza do potraktowania z całą powagą uchybień mojej żony, gdy je przedstawię tak samo bez osłonek jak swoje własne postępowanie. Przyznaję, że kocham swoją córkę; miłuję ją namiętnie, jest moją kochanką, żoną, siostrą, powiernicą, przyjaciółką, moim jedynym bóstwem na tym świecie; nie ma takiego hołdu, na jaki by nie zasługiwała, a ja składam jej wszystkie z głębi serca. Uczucia te gasną we mnie tylko razem z życiem; na pewno winienem się z nich usprawiedliwić, skoro nie potrafię się ich wyrzec. Pierwszym obowiązkiem ojca wobec córki – mówił dalej Franval – jest bezspornie, zgodzi się ksiądz ze mną, zapewnienie jej możliwie największego szczęścia. Jeżeli tego nie dokona, pozostanie na zawsze jej dłużnikiem; jeżeli natomiast uda mu się to osiągnąć, nikt nie ma prawa czynić mu wyrzutów. Nie uwiodłem i nie zgwałciłem Eugenii; jest to ważne stwierdzenie, proszę je zapamiętać. Nie ukrywałem przed nią świata, ukazywałem jej zarówno róże i ciernie małżeństwa; dałem wreszcie Eugenii możność swobodnego wyboru i czas do namysłu. Nie wahała się, twierdziła stanowczo, że czuje się szczęśliwa tylko ze mną. Czy mogłem wobec tego odmówić uszczęśliwienia jej związkiem, który z całą świadomością przełożyła nad inne?

– Te sofizmaty nie są w stanie pana usprawiedliwić. Nie wolno było panu pozwolić, aby córka twoja jedynego źródła swojego szczęścia poczęła dopatrywać się w związku z człowiekiem, którego wybrać zamiast innych mogła tylko dopuszczając się zbrodni. Czy nie cofnąłby się pan przed ofiarowaniem komukolwiek najpiękniejszego owocu, będąc pewnym, że pod tą zwodniczą powłoką ukrywa się trucizna i niechybna śmierć? Nie, mój panie, rozpoczynając tę nieszczęsną aferę siebie tylko miałeś na myśli; uczyniłeś córkę swoją ofiarą i współniczką zarazem. Niewybaczalne jest takie postępowanie... A cóż może pan zarzucić cnotliwej i czulej małżonce, której serce rozdzierasz z takim upojeniem? Jakie winy widzisz w niej, bezbożny człowiecze? O co ją oskarżasz, poza tym, że ośmieliła się pana uwielbiać?

– W tej właśnie materii chcę również księdzu się zwierzyć i oczekuję zrozumienia. Po swoim szczerym przyznaniu się do zarzutów, którymi mnie obciążono, mam chyba prawo spodziewać się zaufania.

Franval wyjął i pokazał księdzu de Clervil rzekome listy i bileciki swej żony, upewniając, że dokumenty te są równie autentyczne, jak bezsporna jest miłosna intryga pani de Franval z ich adresatem.

Clervil wiedział jednak o wszystkim.

– Czyż nie mówiłem, że grzech pozornie nic nie znaczący – zawołał w uniesieniu – przyzwyczajają nas jednak do łamania wszelkich zasad i prowadzi w końcu do najgorszych ekscesów, zbrodni i niegodziwości? Zaczął pan od czynów w pojęciu swoim nic nie znaczących... i oto dla ich usprawiedliwienia czy ukrycia musi się pan uciekać do najhaniebniejszych oszustw! Radzę z całego serca, wrzucmy w ogień te wszystkie kalumnie i zapomnijmy o nich raz na zawsze...

– Te dokumenty są autentyczne!

– Są sfalszowane.

– Sądzę, że w tej sprawie może mieć ksiądz najwyższą wątpliwość; czy to wystarcza dla tak stanowczego zaprzeczenia?

– Drogi panie, za ich autentycznością przemawia tylko pańskie oświadczenie; a jest pan jak najbardziej zainteresowany w podtrzymaniu swych oskarżeń. Z drugiej strony szczerze

wyznania pańskiej małżonki upewniają mnie o fałszywości tych papierów; gdyby były autentyczne, w jej własnym interesie leżałoby wyznanie mi całej prawdy... Oto podstawa mego rozumowania... Wszystkimi czynami człowieka rządzi własny interes; gdziekolwiek go dostrzegę, zapala się dla mnie pochodnia prawdy. Czterdzieści lat rozumiem w myśl tej zasady i nigdy się jeszcze nie pomyliłem. Czy zresztą cnota pańskiej małżonki nie jest zdolna sama przez się unicestwić tej szkaradnej kalumnii? Występki te godziłyby się z jej szczerością, naiwnością i miłością, którą ku tobie żywi? Nie mój panie, nie tak wyglądają początki zbrodni... pan, który znasz jej mechanizm, lepiej powinieneś układać te intrygi...

– Księżę, to są obelgi!

– Przepraszam, ale gdy widzę niesprawiedliwość, oszczerstwo i libertynizm, nie jestem w stanie opanować wzburzenia, w jakie wpędzają mnie te niegodziwości. Spalmy te papiery, błagam pana raz jeszcze jak najusilniej... spalmy je, aby ocalić twój honor i spokój!

– Nie przypuszczałem – powiedział Franval wstając z fotela – że godność kapłańska tak łatwo pozwoli księdzu zostać apologetą i protektorem rozwiązłości i cudzołóstwa. Żona moja kompromituje mnie i wpędza w ruinę, pokazałem dowody... wszelako w swoim zaślepieniu woli ksiądz obrzucać mnie oskarżeniami i uważać za oszczercę niż przypuszczać, że kobieta ta może być perfidną i rozpustną. Dobrze! Wyrok sprawiedliwości rozstrzygnie tę sprawę! Rozgłoszę swoje krzywdy we wszystkich trybunałach Francji, przedstawię dowody, opublikuję swą hańbę! Zobaczymy wówczas, czy naiwność, a raczej głupota księdza pozwoli mu nadal popierać przeciw mnie tę bezwstydną istotę!

– Wychodzę, nie mam nic więcej do powiedzenia – rzekł Clervil, również się podnosząc. – Nie sądziłem, że zbłąkanie pańskiego umysłu tak dalece zatruje również i twe serce i że zaślepiiony żądzą niesprawiedliwej zemsty będziesz z zimną krwią obstawał przy kłamstwie, które mogło się zrodzić w gniewie i uniesieniu! Ach; jakże to wszystko umacnia mnie w przekonaniu, że skoro człowiek raz podepcze najświętsze prawa, wkrótce wyrzeka się wszelkich zasad... Gdyby się jednak pan zastanowił, racz mnie natychmiast powiadomić; a ja, i rodzina pańska zawsze będziemy gotowi wyciągnąć ręce do skruszonego... Mam jeszcze prośbę: czy mógłbym porozmawiać chwilę z panną Eugenią?

– Nie mam nic przeciwko temu. Proszę nawet księdza, aby użył wobec niej całej swojej elokwencji i najsilniejszych argumentów dla przedstawienia jej owych niezbitych prawd, w których ja osobiście miałem nieszczęście dopatrzeć się jeno zaślepienia i sofizmatów...

Clervil przeszedł do pokoju Eugenii. Oczekiwała go w eleganckim i zalotnym negligu. Podobny bezwstyd, wynik zapamiętania i występku, przebijał ze wszystkich gestów i spojrzeń dziewczyny; perfidna istota, znieważając dary Natury, które zdobiły ją mimo haniebnego zachowania, łączyła w sobie wszystko, co zdolne było rozpalić występne żądze i oburzyć cnotę.

Ponieważ dla młodej dziewczyny nie było bezpieczne wdawać się w dyskusję problemów tak zawitych, jakie mógł roztrząsać biegły filozof Franval, Eugenia odpowiadała Clervilowi tylko szyderstwem. Jednocześnie starała się usilnie podrażnić kapłana swoją urodą. Skoro jednak dostrzegła, że prowokacje jej są bezskuteczne, a człowiek tak pobożny jak jej rozmówca nie daje się schwytać w pułapkę, rozerwała nagle zapięcie szaty, która osłaniała jej wdzięki i stanąwszy półnaga przed Clervilem zaczęła krzyczeć, zanim kapłan zdołał w ogóle pojąć, o co jej chodzi:

– Puść mnie, nędzniku! Zabierzcie stąd tego potwora! O Boże! Niech się chociaż ojciec nie dowie!... Myślałam, że przyszedł do mnie z pobożnymi naukami... a ten łotr godzi na mój honor i cnotę! Patrzcie – wołała do służby, która zbiegła się słysząc jej przeraźliwe krzyki – oto w jakim stanie zostawił mnie ten bezwstydnik! Widzicie, do czego są zdolni ci dobrotliwi słudzy boży! Zgorszenie, rozpusta, wyuzdanie... oto ich obyczaje! A my, oszukani ich rzekomą cnotą, w głupocie swojej ciągle jeszcze ich czcimy!

Clervil, zirytowany skandalem, zdołał jednak ukryć swoje zakłopotanie. Z zimną krwią odsunął otaczających go lokai i kierując się ku wyjściu zawołał:

– Oby Bóg ocalił tę nieszczęśliwą! Oby skruszył jej serce, jeśli to jeszcze możliwe... I niechaj nikt w tym domu bardziej ode mnie nie obrazi jej cnotliwych uczuć, które zamierzałem na pewno nie znieważyc, lecz umocnić w jej duszy!

Taki był jedyny skutek negocjacji, z którą pani de Farneille i jej córka wiązały tyle nadziei. Nie miały pojęcia o spustoszeniach, które czyni występki w duszach zbrodniarzy; przerażanie innych jeszcze ich ośmiela i nawet w szlachetnych upomnieniach potrafią oni znaleźć inspirację do zła.

Od tej chwili konflikt bardzo się zaostrił; Franval i Eugenia zdawali sobie sprawę, że trzeba ponad wszelką wątpliwość udowodnić pani de Franval jej rzekome uchybienia, a z drugiej strony pani de Farneille, w porozumieniu ze swą córką, zaczęła serio rozważać plan porwania i uwięzienia Eugonii. Porozumiały się z księdzem de Clervil; szlachetny przyjaciel odmówił jednak udziału w realizacji tak drastycznych posunięć; spotkały go już – powiedział – takie przykrości, że nie jest w stanie uczynić nic innego niż modlić się za grzeszników. Gorliwie obstawał za zmiłowaniem nad występkami i stanowczo odmówił jakichkolwiek innych usług czy pośrednictwa. Nieczęsta to wzniosłość uczuć, czemuż tak rzadko spotykana wśród ludzi tego stanu! Tymczasem Franval nie zaniedbywał swoich starań. Pewnego dnia zjawił się u niego Valmont.

– Cymbał jesteś – oświadczył mu występny kochanek Eugonii. – Niegodzien zwać się moim uczniem! Jeżeli następnym razem nie dasz sobie rady z moją żoną, skompromituję cię w oczach całego Paryża. Musisz ją mieć, i to z całym arsenałem dowodów; trzeba, abym przekonał się naocznie o jej upadku. Niechbym wreszcie pozbawił tę wstrętną kreaturę wszystkich sposobów obrony i usprawiedliwienia!

– Ale jeśli będzie się opierać? – pytał Valmont.

– To posłużysz się gwałtem... moja w tym głowa, aby nikogo wówczas w domu nie było. Nastrasza ją, groź jej, rób, co chcesz. Usprawiedliwię wszystkie sposoby, które mogą cię doprowadzić do triumfu.

– Posłuchaj! – rzekł Valmont. – Zgadzam się na twoją propozycję, daję ci słowo, że twoja żona mi ulegnie. Ale stawiam warunek; nic z całej umowy, jeśli odmówisz. Wiesz dobrze, że w naszych stosunkach zazdrość nie powinna odgrywać żadnej roli. Żądam więc, abyś pozwolił mi spędzić kwadrans sam na sam z Eugonią... Nie pojmujesz, czym byłaby dla mnie krótka rozmowa z twoją córką.

– Ależ, Valmont...

– Rozumiem twoje obawy. Jeśli jednak uważasz mnie za przyjaciela, są one dla mnie obrażą. Pragnę jedynie ujrzeć całą urodę Eugonii i porozmawiać z nią minutę.

– Valmont – rzekł Franval nieco zdumiony – trochę za drogo cenisz swoje usługi. Pojmuję nie gorzej od ciebie śmieszność zazdrości, ale uwielbiam tę dziewczynę i prędzej wyrzekłbym się całej fortuny niż jej łask!

– Nie ubiegam się o nie, bądź spokojny. Franval zdawał sobie sprawę, że wśród jego znajomych żaden nie nadawał się równie jak Valmont do spełnienia wyznaczonego zadania, ale opierał się żywo jego żądaniu.

– Powtarzam ci – mówił z rozdrażnieniem – że cena twoich usług jest za wysoka. Stawiając ten warunek pozbawiasz się prawa do mej wdzięczności.

– Och! wdzięczność jest nagrodą za uczciwe przysługi. Nie zrodzi się w twym sercu za to, czego ode mnie się domagasz. Za dwa miesiące będziemy pewnie skłóceni, znam ludzi, mój kochany... Znam ich słabości, ich grzeszki i konsekwencje stąd wynikające. Postaw człowieka, to niegodziwe zwierzę, najzłośliwsze ze wszystkich, w dowolnej sytuacji, a ja ci nieomylnie przepowiem wszystkie skutki twoich założeń. Chcę być wynagrodzony z góry albo nic z tego!

– Zgadzam się – rzekł po chwili Franval.

– Świetnie – zawołał Valmont – od ciebie teraz wszystko zależy; jestem gotów na usługi.

– Potrzeba mi teraz trochę czasu na przygotowania – powiedział Franval. – Najwyżej za cztery dni zawiadomię cię.

Pan de Franval wychował swą córkę w taki sposób, że mógł być pewny, iż wstydlivość jej nie stanie na przeszkodzie realizacji planu ułożonego z przyjacielem. Był jednak zazdrosny, o czym Eugenia dobrze wiedziała; skoro zrozumiała, o co właściwie chodzi, wyznała Franvalowi, że bardzo się obawia, aby to spotkanie z Valmontem nie miało jakichś przykrych konsekwencji. Ojciec, który sądził, że dostatecznie zna swego przyjaciela, aby być pewnym, iż cała ta historia może mu najwyżej zawrócić trochę w głowie, ale w żadnym wypadku nie poruszy serca, rozwiął jednak obawy córki i przygotowania szły dalej swoim torem.

Nagle Franval dowiedział się od ludzi wiernych i zupełnie sobie oddanych, których opłacał w domu teściowej, że Eugenii grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdyż pani de Farneille miała lada chwila uzyskać zgodę władz na jej wywiezienie. Nie wątpił, że spisek ten jest dziełem Clervila. Na razie odłożył więc na bok sprawę Valmonta i zajął się przede wszystkim usunięciem nieszczęsnego kapłana, którego tak mylnie posądzał o podżeganie do zamachu na wolność Eugenii. Sypał złotem; wkładał to potężne narzędzie występku w dziesiątki i setki rąk; wkrótce miał na swoje rozkazy sześciu zaufanym zbirów.

Pewnego wieczoru, gdy Clervil, często wieczerzający u pani de Farneille, powracał pieszo i samotnie do domu, otoczyli go i pojмали nieznani ludzie, którzy przedstawili się jako agenci królewskiej policji. Sprezentowano księdzu fałszywy nakaz aresztowania, wsadzono do karety; wywieziony został pośpiesznie do dalekiego zamku Franvala, leżącego gdzieś w głębi Ardenów. Biedaka oddano tutaj w ręce zarządcy dóbr jako rzekomego przestępcę, który usiłował godzić na życie pana tego zamku. Podjęto też zaraz najpilniejsze starania, aby ów człowiek, którego winą była jedynie zbytnia pobłażliwość wobec swych prześladowców, nigdy już nie zobaczył światła dziennego.

Pani de Farneille była w rozpacz; nie wątpiła, że cios ten spotkał ją z ręki zięcia. Poszukiwania Clervila musiały opóźnić uwięzienie Eugenii; stara kobieta miała zbyt nikłe wpływy i mierne środki, aby zająć się jednocześnie obiema tak trudnymi sprawami; posunięcie Franvala zaskoczyło ją. Myślała na razie tylko o uwolnieniu swego spowiednika; wszystkie poszukiwania okazały się jednak bezskuteczne; złoczyńca tak sprytnie zorganizował porwanie, że nie sposób było niczego się dowiedzieć. Pani de Franval nie miała odwagi zapytać wprost swego męża, nie rozmawiali zresztą ze sobą ani razu od ostatniej dramatycznej sceny. Wszelako znaczenie sprawy wzięło górę nad obawą; zebrała się na odwagę i zapytała tyrana, czy zamiarem jego jest dorzucić do bezmiaru krzywd, których był sprawcą, również i odebranie jej matce najlepszego z przyjaciół. Nędznik zaprzeczył, by miał z tym wszystkim cokolwiek wspólnego; posunął swą obłudę aż do ofiarowania własnych usług w poszukiwaniu zaginionego duchownego. Zdawał sobie sprawę, że dla przygotowania zamachu Valmonta należy złagodzić nieco gniew żony, upewniał więc gorąco, że dołoży wszelkich starań, aby odszukać Clervila. Posłużył się nawet pieszczotami, wyznając łatwowiej małżonce, że chociaż nie może przeboleć jej niewierności, nie potrafi jednak wyrzec się uwielbienia, które żywi dla niej w głębi serca. Pani de Franval, jak zawsze łagodna i czuła, była uszczęśliwiona tą nagłą zmianą w duszy człowieka, który ciągle był dla niej najdroższą istotą na ziemi; znowu spełniała gorliwie wszystkie życzenia przewrotnego małżonka, uprzedzała je i z serca dzieliła, nie śmiejąc zresztą skorzystać z okazji i wymóc przynajmniej na grzeszniku przyzwoitszego postępowania, które by nie wpędzało jej z dnia na dzień w coraz większą otchłań cierpienia i smutku. Gdyby nawet tego próbowała, czyż usiłowania jej przyniosłyby jakiś skutek? Franval, zawsze tak obłudny, nie byłby w tej sprawie z pewnością uczciwszy, skoro największe zadowolenie czerpał właśnie z łamania zasad i obietnic. Z pewnością wszystko by przyrzekł dla samej rozkoszy złamania później tych przyrzeczeń; może nawet pragnąłby, aby żądano odeń przysięgi, chcąc dorzucić rozkosz krzywoprzysięstwa do swych potwornych radości.

Tymczasem, zupełnie swobodny, myślał tylko o swoich planach. Jego mściwe, niesforne i gwałtowne usposobienie skłaniało go do odpowiadania zemstą na każdą zaczepkę. Pragnął za wszelką cenę spokoju i bezpieczeństwa, ale niestety przedsiębrał dla ich zapewnienia środki zdolne jedynie wpędzić go w jeszcze gorszą sytuację. Czy mogło mu się zresztą powieść? Wszystkich swych talentów i zasobów używał tylko dla szkodzenia innym; żył zawsze w napięciu, gdyż albo musiał zwalczać podstępny przeciwników, albo z kolei sam obmyślał intrygi.

Nadeszła wreszcie chwila spełnienia warunku Valmonta; prawie przez godzinę przebywał sam na sam z Eugenią w jej apartamencie.

W udekorowanej sali Eugenia pojawiła się na podwyższeniu w postaci młodej Indianki, zmęczonej polowaniem i wspartej o pień palmy, której wyniosłe gałęzie ukrywały liczne źródła światła, tak skierowane, aby blaski skupiały się na postaci pięknej dziewczyny i ukazywały całą jej urodę. Mała scenka, na której stanęła ta ożywiona statua, otoczona była kanałem szerokim na sześć stóp i wypełnionym wodą, który odgradzał od świata młodą dzikuskę i nie pozwalał do niej w żaden sposób się zbliżyć. Na brzegu tego obwarowania ustawiono fotel dla kawalera; obok zwisał jedwabny sznur. Ciągnąc za to urządzenie można było obracać piedestał w pożądaną stronę, aby obiekt podziwu ukazywał się z coraz to innej strony; dziewczyna przybrała taką pozę, aby zwrócona w jakimkolwiek bądź kierunku była zawsze wdzięcznym widowiskiem. Hrabia, ukryty za dekoracją, mógł jednocześnie widzieć i swą kochankę, i przyjaciela, a egzamin miał trwać, według ostatecznego porozumienia, przynajmniej pół godziny. Valmont zasiadł w fotelu... był upojony widokiem, nigdy jeszcze – wyznawał – tak przepyszne wdzięki nie ukazały się jego oczom. Poddawał się roznamietnieniu; ciągnąc bez przerwy za sznur odkrywał co chwila nowe uroki. Nie mógł się zdecydować, który element tej wspaniałej statuy uznać za najdoskonalszy; Eugenia była tak doskonale piękna! Minuty płynęły; w takich okolicznościach czas prędko ucieka. Zegar wybił godzinę, kawaler skłonił się i najgorętsze pochwały spłynęły do stóp bóstwa, którego sanktuarium było dlań niestety niedostępne... Spadła zasłona, trzeba było wycofać się z sali.]

– No i co? Zadowolony jesteś – zapytał Franval zbliżając się do przyjaciela.

– To przepiękna dziewczyna! – zawołał Valmont. – Radzę ci jednak Franval, nie ważyć się na podobny eksperyment z kimkolwiek innym; możesz sobie powinszować moich przyjacielskich sentymentów, które jedynie są zdolne uchronić cię przed wszelkim niebezpieczeństwem.

– Liczę na to – rzekł dość surowo Franval. – Teraz zabierz się jak najprędzej do roboty.

– Jutro zacznę przygotowywać twoją żonę... rozumiesz, że trzeba najpierw wstępnej rozmowy... możesz liczyć na mnie, że w cztery dni będzie po wszystkim.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Jednakże po tym spotkaniu Valmont, jak można było przewidzieć, przestał myśleć o pani de Franval, a zaczął marzyć o podboju, który miał w jego oczach znacznie więcej uroku. Eugenia zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, iż nie umiał wyrzec się myśli o jej zdobyciu. Postanowił pojąć ją za żonę, zapłacić za to najwyższą nawet cenę. Stosunki Eugonii z własnym jej ojcem bynajmniej go nie odstręczały; rozważając spokojnie swoje szanse był pewny, że skoro fortuną dorównywał panu de Colunce, mógł śmiało pretendować do tego związku. Wyobraził sobie, że prosząc o rękę dziewczyny nie mógł spotkać się z odmową; gdyby działał z dostateczną energią, a zwłaszcza upewnił rodzinę, że najlepszy to sposób zerwania kazirodczych stosunków Eugonii, zdobyłby niechybnie przedmiot swego uwielbienia... za cenę konfliktu z Franvałem, z którego jednak dzięki swej odwadze i zręczności spodziewał się wyjść zwycięzcą. Dwadzieścia cztery godziny wystarczyły mu do podjęcia decyzji; uradowany swoim pomysłem Valmont udał się do pani de Franval.

Spodziewała się tej wizyty; pamiętamy, że od ostatniego spotkania z mężem była już prawie przejeżdżana, a w każdym razie dała się oszukać podstępny zabiegom tego perfidnego człowieka; nie mogła więc odmówić rozmowy z Valmontem. Miała mu co prawda za złe te rzekome listy miłosne i konszachty, które wypominał jej Franval; jednakże mąż zdawał się

więcej już o tym nie myśleć i zapewniał ją nawet, że najlepszym sposobem udowodnienia fałszywości wszelkich oskarżeń byłoby właśnie przyjmowanie pana de Valmont jak zwyczajnego znajomego. Nie godzić się na jego wizyty – mówił – znaczyłoby to usprawiedliwić dawne podejrzenia... Najlepszym dowodem niewinności, na jaki może zdobyć się kobieta – przekonywał Franval swoją małżonkę – są dalsze nie ukrywane kontakty z człowiekiem, w którym dopatrywano się jej kochanka. Szczególna była to sofistyka, pani de Franval doskonale to rozumiała, miała jednak nadzieję, że wyjaśnienia Valmonta na coś się przydadzą. Chciała go więc zobaczyć, lękała się gniewu męża; wszystko to kazało jej przymknąć oczy na względy, które powinny były ją skłonić do odmowy spotkania z młodym człowiekiem.

Przybył więc, a Franval znowu wyszedł pośpiesznie z domu, zostawiając ich sam na sam jak ostatnim razem. W takiej sytuacji wyjaśnienia i przeprosiny powinny zająć sporo czasu; jednakże Valmont, przejęty swoimi pomysłami, przeszedł od razu do rzeczy.

– Pani, racz nie dopatrywać się już we mnie tego samego człowieka, który ostatnim razem tak zawinił w twych oczach – mówił przyjmując pokorną postawę. – Byłem wówczas współnikiem występków twego męża, dzisiaj chcę naprawić te krzywdy. Proszę mi zaufać. Daję słowo honoru, że nie przyszedłem pani okłamywać ani cię czymkolwiek zwodzić.

Opowiedział jej całą historię sfalszowanych listów i dokumentów, błagał o przebaczenie, że ośmielił się wziąć w tym udział; wyznał pani de Franval, jakich to nowych podstępów od niego wymagano, wreszcie dla udowodnienia swojej szczerości wyznał uczucia dla Eugenii, ujawnił wydarzenia ostatnich tygodni, zobowiązał się zerwać całą intrygę, odebrać Eugenię Franvalowi i wywieźć ją do majątku pani de Farneille w Pikardii, jeżeli tylko obie damy zezwolą na to i przyrzekną mu w nagrodę małżeństwo z dziewczyną, którą wydobędzie z przepaści.

Valmont mówił to wszystko tak szczerze i otwarcie, że pani de Franval nie mogła się wahać. Pan de Valmont był dla jej córki znakomitą partią; czyż można było spodziewać się takiej szansy po ro zgłoszeniu niegodziwej konduity Eugenii? Valmont gotów był sam zająć się całą sprawą, nie było zresztą innego sposobu unicestwienia potwornej zbrodni, która panią de Franval doprowadzała do rozpacz. Skądinąd spodziewała się nawet odzyskania uczuć małżonka, gdy zerwana zostanie jedyna intryga rzeczywiście dla obojga niebezpieczna. Racje te przeważały, zgodziła się ale pod warunkiem, że Valmont da jej uroczyste słowo honoru, iż nie będzie walczył z bronią w ręku przeciwko panu de Franval, a po wywiezieniu Eugenii do majątku pani de Farneille zabierze ją za granicę i pozostanie tam tak długo póki namiętności Franvala nie ostygną na tyle, by zdolny był przeboleć zerwanie swoich przestępczych miłości i przystać na małżeństwo córki. Valmont zgodził się na wszystko; pani de Franval zaręczyła ze swej strony za zgodę matki i zapewniła, iż nie sprzeciwi się ona z pewnością porozumieniu, które tutaj zawarli. Valmont wyszedł, raz jeszcze wyrażając niezmierny żal, iż gotów był niedawno podjąć się przeciw pani de Franval tego wszystkiego, czego żądał występny jej małżonek.

Nazajutrz pani de Farneille wyjechała do Pikardii. Franval, zajęty przede wszystkim swą stałą namiętnością, ufny w przyjaźń Valmonta, wolny od lęku przed Clervilem, wpadł od razu w zastawioną pułapkę, okazując nie mniejszą łatwowierność niż wszyscy, których swego czasu chwycił w swoje sidła.

Od sześciu miesięcy Eugenia, która miała niedługo ukończyć siedemnaście lat, wychodziła często sama lub najwyżej w towarzystwie paru swoich przyjaciółek. W wigilię dnia, wyznaczonego Valmontowi przez Franvala na ostateczny atak przeciwko cnoście jego małżonki, pojechała wieczorem zupełnie sama na przedstawienie nowej sztuki w Komedii Francuskiej. Wracając z teatru miała udać się do zacisznej willi na spotkanie z ojcem; zamierzali pojechać potem we dwoje na kolację. Zaledwie jednak powóz panny de Franval minął przedmieście Saint-Germain, gdy otoczyło go dziesięciu zamaskowanych ludzi. Zatrzymali konie, otworzyli drzwi, wyciągnęli przemocą Eugenię i wsadzili do karetki pocztowej, gdzie Valmont

przytrzymał ją i zakneblował, aby zdławić krzyk i protesty dziewczyny. Na rozkaz kawalera pojazd ruszył galopem i w mgnieniu oka znalazł się poza granicami Paryża.

Nie udało się jednak zatrzymać powozu i ludzi Eugenii, wskutek czego Franval musiał od razu o wszystkim się dowiedzieć. Valmont liczył jednak na niepewność Franvala co do kierunku, w którym uwięziono Eugenię, a także na dwie czy trzy godziny przewagi nad ewentualnym pościgiem. Chodziło mu tylko, aby zdążyć na czas do majątku pani de Farneille, gdyż tam oczekiwała Eugenię zaprzęgnięta kareta i dwie zaufane kobiety, które miały wywieźć ją bezzwłocznie za granicę, w miejsce nieznane nawet Valmontowi, który ze swej strony miał natychmiast zbiec do Holandii, a wrócić dopiero na ślub z Eugenią, kiedy pani de Farneille i jej córka dadzą mu znać, że nic już nie stoi na przeszkodzie. Kapryśna Fortuna sprawiła jednak, że rozsądnie pomyślany plan zawiódł z powodu potwornej zawziętości zbrodniarza, przeciw któremu był wymierzony.

Powiadomiony o wszystkim Franval nie stracił ani chwili; pośpieszył natychmiast na stację pocztową i zażądał informacji, w którą stronę wyprawiono pojazdy od godziny szóstej wieczorem poczynając. O siódmej wyjechał dylizans do Lyonu, o ósmej pośpieszna karetką w stronę Pikardii. Franval nie wahał się, dylizans do Lyonu nie interesował go, natomiast karetką pocztową zmierzająca w stronę prowincji, gdzie leżały dobra pani de Farneille, była bez wątpienia poszukiwanym śladem. Zażądał natychmiast ośmiu najlepszych koni do swego powozu, kazał dać wierzchowce swoim ludziom, a zanim oporzędzono pojazd zdążył jeszcze kupić i nabić odpowiednie pistolety. W chwilę potem pędził jak szalony traktem, po którym wiodła go miłość, desperacja i żądza zemsty.

Przy zmianie koni na stacji w Senlis dowiedział się, że karetką pocztową ledwie co opuściła miasto. Franval rozkazał wydusić z koni wszystkie siły. Niestety, zdołali dopędzić uciekający pojazd. Z pistoletami w garściach ludzie Franvala zatrzymali pocztyliona wynajętego przez pana de Valmont. Rozwścieczony Franval wdarł się do karety, a skoro rozpoznał swojego przeciwnika, wystrzelił mu w głowę, zanim ów zdołał chwycić za broń.

Wyciągnął na pół żywą z przerażenia Eugenię, wskoczył wraz z nią do powozu, kazał zawrócić w stronę Paryża. Znaleźli się w mieście przed godziną dziesiątą rano. Nie przejęty bynajmniej wydarzeniem na trakcie, Franval indagował śpiesznie Eugenię. Czy zdrajca Valmont nie usiłował skorzystać z sytuacji? Czy jest mu nadal wierna, a występne ich związki nie zostały naruszone? Panna de Franval uspokoiła ojca. Valmont opowiedział jej tylko o swoich zamiarach, a pełen nadziei prędkiego jej poślubienia strzegł się przed sprofanowaniem ołtarza, na którym chciał złożyć pierwszą w swym życiu czystą ofiarę. Franval odetchnął słysząc przysięgę Eugenii. A jego żona... czy wiedziała o tych machinacjach. Przyłożyła się do nich? Eugenia, która zdążyła wszystkiego się dowiedzieć, zapewniała, że porwanie jest właściwie dziełem jej matki, której nie szczędziła najgorszych epitetów; to fatalne spotkanie, które wedle mniemania Franvala miało być wstępem do triumfu Valmonta, w rzeczywistości stało się dlań okazją do najbezwstydniejszej zdrady.

– Ach! gdyby miał nie jeden, a tysiąc żywotów! – zawołał rozjuszony Franval. – Wydzierałbym mu jeden po drugim! Moja żona! Chciałem się z nią pojednać, a ona pierwsza mnie oszukała! Ta istota uważana za tak łagodną, ten anioł cnoty! Ach podła zdrajczyni, zapłaci mi za swą zbrodnię! Zemsta moja wymaga krwi, a jeśli trzeba będzie, wytoczę ją własnymi rękoma z jej żył! Uspokój się, Eugenio – mówił Franval w uniesieniu – tak! Uspokój się! Musisz teraz odpocząć.

Tymczasem pani de Farneille, która rozstawiła na trakcie swoich szpiegów, niedługo czekała na wiadomość o nieszczęśliwym obrocie wypadków: dowiedziawszy się, że wnuczka jej została odbita, a Valmont zginął, pośpieszyła natychmiast do Paryża. Rozwścieczona, zwołała niezwłocznie rodzinną naradę. Zdawało się jej, że zabójstwo Valmonta oddaje Franvala w jej ręce, że jego wpływy, których tak się obawiała, muszą teraz zgasnąć, że lada dzień uzyska pełnię władzy nad swą córką i Eugenią. Doradzano jej wszelako, aby unikała skandalu; celem

niedopuszczenia do haniebnego procesu powinna wystarać się o dekret, który mógłby po cichu załatwić sprawę jej zięcia.

Franval dowiedział się zaraz o tych radach i poczynaniach, które mogły z nich wynikać; powiadomiono go również, że sprawa nabiera rozgłosu, a teściowa czeka tylko na jego wyraźną klęskę, aby nareszcie zatriumfować. Pośpieszył więc do Wersalu, przeprowadził rozmowę z ministrem, zwierzył się mu z całej afery; w odpowiedzi poradzono mu, aby ukrył się śpiesznie w swoich dobrach w Alzacji albo na szwajcarskim pograniczu.

Franval nie zapomniał jednak o zemście i zamiarze ukarania żony za niedawną zdradę; chciał poza tym mieć nadal pod ręką osobę tak bliską sercu pani de Farneille, aby ta śmiertelna nieprzyjaciółka nie ważyła się, przynajmniej oficjalnie, podejmować żadnych przeciwko niemu kroków. Postanowił wyjechać do Valmoru, majątku, o którym wspomniał minister, tylko w towarzystwie żony i córki. Czy jednak pani de Franval zgodzi się na tę podróż? Czując się winną zdrady, która spowodowała ostatnie nieszczęścia, czy nie będzie się bała tak oddalić od Paryża? Czy odważy się oddać bez lęku w ręce rozgniewanego małżonka? Wątpliwości te niepokoiły Franvala; aby wyjaśnić sytuację udał się do żony, która zresztą o wszystkim już wiedziała.

– Pani – oświadczył jej z zimną krwią – przez swoje nierozważne postępowanie wpędziłaś mnie w otchłań nieszczęść. Potępiając bezwzględnie skutek, nie mogę jednak ganić twych intencji. Rozumiem, że przyczyną tego postępowania była z pewnością miłość do córki i do mnie. Skoro jednak moje błędy poprzedziły twoje, powinienem ci wybaczyć. Droga i najbliższa mi istoto! – zawołał klękając u stóp żony – zechciej zgodzić się na pojednanie, którego już nic odtąd nie zakłóci! Proszę cię o przebaczenie, a oto co ci ofiaruję dla jego przypieczętowania...

Złożył u nóg pani de Franval wszystkie sfałszowane listy i dokumenty, całą rzekomą korespondencję Valmonta.

– Spal to zaraz, moja droga, błagam cię – kontynuował zdrajca udając łkanie – i wybacz niegodziwości, do których przywiodła mnie zazdrość. Pozbądźmy się wzajemnego rozgoryczenia... przyznaję, że wielkie były moje winy... któż jednak wie, czy Valmont, usiłując za wszelką cenę zrealizować swoje zamysły, nie oczernił mnie przed tobą bardziej niż zasługiwałem. Jeśli ośmielił się powiedzieć, że przestałem cię kochać... że nie jesteś już dla mnie najdroższą i najczcigodniejszą istotą na świecie... ach! aniele mój!... jeśli splamił się takimi oszczerstwami, jakże słusznie uwolniłem świat od podobnego szalbierza i kłamcy.

– Och! – mówiła ze łzami pani de Franval. – Jakże mogłeś zmyślić przeciwko mnie podobne okropności! Czy po tym wszystkim można jeszcze żądać ode mnie zaufania?

– Pragnę, abyś mnie znowu pokochała, o najdroższa i najlepsza z żon! Chciałbym, żebyś za ten bezmiar błędów oskarżała tylko mój umysł, abyś wierzyła, iż serce wiecześnie ci oddane nie mogło nigdy cię zdradzić! Tak... każdy z tych występków jednak mnie do ciebie przybliżał... Im bardziej odsuwałem się od swojej ukochanej małżonki, tym trudniej było mi znaleźć satysfakcję i uspokojenie; rozkosze i miłości nie mogły mi zastąpić dawnego szczęścia... ściskając twój portret opłakiwałem utratę jego pierwowzoru! Najdroższa moja! Gdzież można znaleźć serce do twego podobne? Gdzież doświadczyć rozkoszy zdolnych dorównać upojeniu, które przeżywa się w twych objęciach? Przeklinam swoje obłąkanie, chcę odtąd żyć tylko dla ciebie... aby w twojej zgnębionej duszy odbudować miłość zniszczoną przez niegodziwości, których wspomnienia nawet chcę się wyrzec!

Niepodobna, aby pani de Franval mogła oprzeć się tak czułym błaganiom człowieka, którego nadal kochała. Czy można darzyć choćby najsprawiedliwszą nienawiścią przedmiot swojej miłości? Wrażliwa i czuła dusza tej niezwykłej kobiety nie mogła pozostać obojętna na widok człowieka ukochanego, upokorzonego i przygniecionego wyrzutami sumienia. Łkanie wydarło się z jej piersi.

– Ja... ja... – mówiła, przyciskając do serca ręce swego małżonka – nigdy nie przestałam uwielbiać cię, okrutniku, chociaż tak strasznie i bez powodu nade mną się znęcałeś... Bóg mi świadkiem, że ze wszystkich ciosów, jakie mogły mnie spotkać z twej ręki, najboleśniejszy był strach przed utratą twej miłości, przed podejrzeniem, które ci się nasuwało... Kim się posłużyłeś jako narzędziem mojej krzywdy i zniewagi? Własną moją córką! W jej dłonie kładłeś sztylet, którym rozdzierała mi serce... Czy chcesz zmusić mnie do znieprawienia istoty, którą prawo Natury uczyniło tak mi drogą?

– Przyprawdzą ją i każę rzucić ci się do nóg! – zawołał Franval w uniesieniu. – Chcę, żeby razem ze mną wyrzekła się swego bezwstydu i grzechu, aby również wybłagała twoje przebaczenie! Będziemy odtąd we troje budować nasze wspólne szczęście. Zwrócę ci córkę, a ty zwrócisz mi żonę... potem uciekniemy!

– Uciekniemy? Wielki Boże, dlaczego?

– Moja przygoda nabrała rozgłosu; jutro mogę być już zgubiony. Przyjaciele i minister radzą mi wyjazd do Valmoru. O ukochana, gdybyś zechciała towarzyszyć mi w tej podróży! Czy w chwili gdy u twych stóp żebrzę o przebaczenie, będziesz zdolna przebić mi serce swoją odmową?

– Przerażasz mnie! Jak to, ta sprawa...

– Mówią, że to był mord, a nie pojedynek.

– Boże! I to ja byłam przyczyną... Mów... mów, co mam robić! Pojadę z tobą, jeśli trzeba, nawet na koniec świata. Och! jestem chyba najniešťszeliwszą z kobiet!

– Powiedz raczej: najšťszeliwszą, gdyż odtąd każda chwila mego życia poświęcona będzie zamienianiu w róże cierni, które rzucałem pod twe stopy! Czy dwojgu kochającym się istotom nie wystarczy nawet pustynia? A zresztą wygnanie nie będzie wieczne; prosiłem już przyjaciół, rozpoczynają starania...

– A moja matka? Chciałabym się z nią zobaczyć.

– Nie rób tego, ukochana! Mam niezbite dowody, że to właśnie ona podjudza przeciwko mnie krewnych Valmonta, że doradza im, jak przygotować moją zgubę!

– Ona jest niewinna, przestań żywić wobec niej te ohydne podejrzenia. Jej czułe serce nigdy nie znało obłudy; nie umiałeś jej docenić... och, gdybyś zdolny był pokochać ją tak samo jak ja! Znaleźlibyśmy u jej boku najprawdziwsze szczęście na ziemi! To anioł pokoju, którego zesłało ci niebo, aby wypełnić grzechy twojego życia; odtrąciłeś ją, nie chciałeś czułości i przyjaźni, przez kapryś czy rozwiąźłość, przez niewdzięczność czy libertynizm wyrzekłeś się dobrowolnie najlepszej przyjaciółki, jaką los postawił na twej drodze. A więc?... nie mogę się już z nią spotkać?

– Nie! nalegam na to jak najusilniej! Nie ma ani chwili do stracenia. Napiszesz do niej, przedstawiś moją skrucę. Może zlituje się nad moimi wyrzutami sumienia... może zdołam jeszcze odzyskać kiedyś jej szacunek i uczucie. Wszystko z czasem się uspokoi, wrócimy, będziemy w jej ramionach radować się przebaczeniem i miłością. Ale teraz musimy wyjechać jak najšťpiśniej... najpóźniej za godzinę powinniśmy być w drodze, karety czekają...

Przerażona pani de Franval nie ośmieliła się protestować. Zaczęła przygotowywać się do podróży. Życzenie Franvala było dla niej rozkazem. Zdrójca pobiegł tymczasem po córkę, przywiódł ją do stóp matki. Obłudna dziewczyna rzuciła się jej do nóg z perfidią równą ojcowskiej; zalewała się łzami, błagała o przebaczenie, które oczywiście otrzymała. Pani de Franval objęła ją i ucałowała; trudno jest zapomnieć, że jest się matką, choćby winy dzieci były nawet największe! W czulej i wrażliwej duszy odzywa się zawsze przemoźny głos Natury, a jedna łza ukochanego dziecka wystarcza, by wymazać z pamięci nawet dwadzieścia lat jego grzechów i występków.

Wyjechali więc do Valmoru. Nadzwyczajny pośpiech, z jakim trzeba było przedsięwziąć tę podróż, usprawiedliwił w oczach pani de Franval, nadal łatwowiernej i zaślepionej, nie-

wielką liczbę służby, którą małżonek jej zabrał na wieś. Zbrodnia lęka się rozgłosu... unika świadków; spowija się w mroki tajemnicy, gdy zamierza przystąpić do działania.

Na wsi nic nie zapowiadało na razie grożącego niebezpieczeństwa. Franval silił się na oznaki respektu, dowody czułości, nadszpeciwał żonę, okazywał jej najgorętszą miłość; łatwo oszukał nieszczęsną panią de Franval. Wywieziona daleko od Paryża, znalazłszy się niemal na pustkowiu, bez możliwości skomunikowania się z matką, była jednak szczęśliwa, skoro – jak powiadała – udało się jej odzyskać serce męża, a córka, nadal pełna skruchy i pokory, starała się ze wszystkich sił zyskiwać jej uznanie.

Apartamenty Eugenii i jej ojca teraz już nie sąsiadowały ze sobą. Franval mieszkał w najbardziej oddalonej części zamku, Eugenia tuż obok matki. Paryska rozwiązłość zastąpiona została w Valmorze powściągliwością, przystojnością i umiarkowaniem. Franval udawał się każdej nocy do sypialni małżonki; korzystając z jej niewinności, naiwności i rozkochania łotr bezwstydnie podniecał w sobie nadzieję przyszłej zemsty. Szczere i gorące pieśczęty, którymi hojnie darzyła go ta najcnotliwsza z kobiet, nie były w stanie ułagodzić Franvala; w płomieniach namiętności rozpalał ów zbrodniarz swą żądzę okrucieństw.

Łatwo zgadnąć, że stosunki Franvala i Eugenii mimo pozorów nie zostały bynajmniej zerwane. Codziennie rano, gdy matka zajęta była toaletą, Eugenia w głębi ogrodu spotykała się z ojcem. Otrzymywała wtedy od niego polecenia stosowne do sytuacji i cieszyła się najintymniejszymi względami, których nie zamierzała wcale wyrzec się na korzyść swej rywalki.

Minęło zaledwie osiem dni od przyjazdu w te okolice, gdy Franval otrzymał z Paryża wiadomość, iż rodzina Valmonta ściga go z niesłychaną zawziętością, a cała sprawa zaczyna przybierać groźny obrót. Niepodobna – pisał jeden z przyjaciół – uznać starcia z Valmontem za pojedynek, zbyt wielu było niestety świadków tego wydarzenia. Poza tym ustalono ponad wszelką wątpliwość – dodawał – iż pani de Farneille stanęła na czele wrogów swojego zięcia i dokłada starań, aby go zgubić, uwięzić, a przynajmniej zmusić do opuszczenia Francji, a wreszcie odzyskać opiekę nad dwiema drogimi istotami, z którymi została przez Franvala rozłączona.

Franval pokazał list swojej żonie. Schwyciła natychmiast za pióro, aby uspokoić matkę i skłonić ją do zmiany poglądów, aby przedstawić jej szczęście, którym cieszyła się od chwili, gdy niełaska Fortuny poruszyła serce jej nieszczęśliwego małżonka. Zapewniła ponadto, że wszelkie próby nakłonienia jej do powrotu wraz z córką do Paryża będą daremne, gdyż jest zdecydowana nie opuszczać Valmoru, póki sprawy jej męża nie zostaną ostatecznie załatwione. Jeżeli zaś złośliwość nieprzyjaciół lub głupota sędziów doprowadzi do skazania Franvala, gotowa jest razem z nim porzucić Francję.

Franval gorąco podziękował żonie. Nie miał jednak zamiaru oczekiwać bezczynnie losu, który mu szykowano; uprzedził żonę, iż wyjedzie teraz na jakiś czas do Szwajcarii; zostawia jej Eugenię i zaklina, aby obie nie oddalały się z Valmoru, póki jego przyszłość nie zostanie wyjaśniona. Skoro zaś to nastąpi, przyjedzie do Valmoru bez względu na sytuację, spędzi ze swą ukochaną żoną przynajmniej całą dobę i ustali z nią razem, kiedy wrócą do Paryża, jeżeli nic nie będzie temu stało na przeszkodzie, lub też, w przeciwnym razie, dokąd udadzą się na bezpieczne wygnanie.

Podjąwszy tę decyzję Franval, który bynajmniej nie zapomniał, iż nieostrożność jego żony w postępowaniu z Valmontem była jedyną przyczyną nieszczęść, jakie nań spadły, i który marzył ciągle o zemście, kazał powiadomić córkę, iż czeka na nią w głębi parku. Zamknął się z Eugenią w samotnym pawilonie, kazał jej zaprzysiąc ślepe posłuszeństwo w wykonaniu wszystkiego, cokolwiek jej zleci, a potem uściskał ją gorąco i rzekł:

– Utracisz mnie niedługo, moja córeczko... może na zawsze... – A widząc łzy Eugenii mówił dalej: – Uspokój się aniele, odrodzenie naszego szczęścia od ciebie tylko zależy. Możemy je odnaleźć we Francji czy gdziekolwiek indziej. Sądzę, Eugenio, że jesteś dostatecznie przekonana, iż twoja matka była jedyną sprawczynią wszystkich naszych nieszczęść. Wiesz do-

brze, że nie przestaję myśleć o zemście; znasz doskonale i apróbujesz powody, dla których musiałem ukrywać się przed tą kobietą ze swoimi prawdziwymi uczuciami; pomogłaś mi znaleźć sposoby jej oszukania. Zbliżamy się do kresu tej gry, Eugenio, trzeba teraz działać. Zależy od tego i twój, i mój spokój. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz; obdarzona jesteś zbyt wielką siłą ducha, aby to, co mam ci powiedzieć, mogło choć na chwilę wzbudzić w tobie niepokój. Tak, córeczko musimy działać, działać bez zwłoki i bez wahania; to będzie twoim zadaniem... Twoja matka chciała cię unieszczęśliwić; zbrukała więzy hymenu, na które ciągle się powołuje, straciła wszystkie wynikające z nich prawa. Odtąd jest dla ciebie nie tylko obcą kobietą, ale nawet śmiertelną nieprzyjaciółką. Prawo Natury, wszczepione głęboko w nasze serca i dusze, nakazuje nam uwalniać się zawsze, jeśli możemy, od istot, które przeciw nam spiskują. Święte to prawo, które nieustannie nas inspiruje i kieruje naszym postępowaniem, nie każe nam bynajmniej żywić dla bliźniego miłości większej niż ta, którą winni jesteśmy sobie samym... Najpierw my, potem inni... oto jest odwieczny porządek Natury! A więc żadnego respektu dla innych... nie wolno nam ich oszczędzać, zwłaszcza gdy się okazuje, iż nasze nieszczęścia i zguba są jedynym celem ich działania. Gdybyśmy chcieli inaczej postępować, znaczyłoby to, że stawiamy interes innych wyżej od własnego, a to byłoby przecież absurdalne! Rozumiesz mnie... Przejdźmy więc do motywów, które winny cię skłonić do działania, jakie chcę ci doradzić.

– Zmuszony jestem wyjechać, wiesz dobrze dlaczego. Jeśli zostawię cię z tą kobietą, to przed upływem miesiąca opętana przez swą matkę wywiezie cię do Paryża, a ponieważ po ostatnim skandalu nie można już liczyć na wydanie cię za męża, bądź pewna, że te dwie okrutne istoty nie zawahają się przed dożywotnim zamknięciem cię w klasztorze, gdzie będziesz mogła oplakiwać swoją słabość i nasze radości. Twoja babka, Eugenio; ściga mnie swą żądzą zemsty; połączyła się z moimi wrogami, aby dopiąć swego celu i mnie zniszczyć. Czy może mieć inne plany niż zyskać nad tobą wyłączną władzę i na zawsze pozbawić cię wolności? Im bardziej wikłają się moje sprawy, tym większą siłę i znaczenie zyskuje koteria sprzysiężona na naszą zgubę. Trudno wątpić, że twoja matka stoi potajemnie po stronie tej koterii, że łączy się z nią otwarcie, skoro tylko mnie tutaj zabraknie. Spisek ten dąży do mojej zguby po to jedynie, aby uczynić cię najniezwyklejszą z kobiet. Trzeba więc śpieszyć się z przeciwdziałaniem; najlepszy sposób na pozbawienie tej wrogiej nam koterii zasadniczej siły, to wyrwanie z jej grona pani de Franval. Czy możemy przedsięwziąć cokolwiek innego? Mógłbym cię zabrać ze sobą, ale wówczas twoja matka do głębi rozjątrzona, zgodziłaby się od razu na propozycje pani de Farneille, a to byłby koniec naszego spokoju. Szukali by nas, ścigali, w żadnym kraju nie znaleźlibyśmy bezpiecznego schronienia, żaden zakątek na kuli ziemskiej nie byłby nietykalny i godzien uszanowania w oczach tych zbrodniarzy, którzy prześladowają nas swoją zawziętością. Wiesz dobrze, jak daleko potrafi sięgnąć ramię despotyzmu i tyranii, gdy wsparte jest siłą złota. a kierowane zbrodniczym zaślepieniem. Jeżeli jednak twoja matka umrze, pani de Farneille, która kocha ją niewątpliwie bardziej niż ciebie i jej interes ma przede wszystkim na myśli, dojdzie do wniosku, że istotny motyw jej działania już nie istnieje, porzuci więc z pewnością całą sprawę i przestanie podjudzać moich wrogów. przestanie ich wspierać... Potem sprawy mogą przybrać dwojaki obrót: albo afera Valmonta zostanie jakoś zatuszowana i nic nie będzie stało na przeszkodzie naszemu powrotowi do Paryża, albo też afera ta zaogni się, a wtedy zmuszeni do ucieczki za granicę, będziemy przynajmniej wolni od mściwych prześladowań pani de Farneille, która – powtarzam – za życia twej matki będzie dążyła zawsze do pełnego unieszczęśliwienia nas, gdyż wyobraża sobie, że uratowanie jej córki wymaga koniecznie naszej wspólnej zguby. Z którejkolwiek bądź strony spojrzysz więc na naszą sytuację, nie możesz wątpić, iż żona moja jest głównym wrogiem naszego spokoju, a jej nędzny żywot największą przeszkodą na drodze do naszego szczęścia.

– Eugenio, najdroższa Eugenio! – zawołał w uniesieniu Franval, ściskając ręce swej córki – kochasz mnie... czy mogłabyś więc przez swe wahanie lub strach przed czynem, tak ko-

niecznym dla ratowania wspólnych naszych interesów, zgubić człowieka, który cię uwielbia? Najdroższa, najukochańsza moja przyjaciółko! Możesz ocalić tylko jedno z dwojga twoich rodziców... zdecyduj sama! Musisz być zabójczynią jednego z nas dwojga, wybierz sama ofiarę, której serce przebijesz morderczym sztyletem! Albo zginie twoja matka, albo musisz wyrzec się mnie na zawsze... musisz własną ręką dopełnić mej zguby. Czyż mógłbym zresztą żyć bez ciebie? Sądzisz, że byłbym zdolny istnieć dalej bez ukochanej Eugenii? Pozostać sam na sam ze wspomnieniami rozkoszy, których zakosztowałem w twoich ramionach... rozkoszy tak przejmujących, a na zawsze wydartych mym zmysłem? Zbrodnia twoja, Eugenio, będzie identyczna w jednym czy drugim wypadku... Albo usuniesz z tego świata matkę, która cię nienawidzi i dyszy tylko żądzą wtrącenia cię w nieszczęście, albo zabijesz ojca, który żyje jeno dla ciebie... Wybieraj... wybieraj więc, Eugenio! Jeżeli mnie skazesz na śmierć, nie wahaj się niewdzięcznico, ugodź bez litości w to serce, które zawiniło jedynie nadmiarem miłości; błogosławić będę cios twoją ręką zadany, a w ostatnim moim tchnieniu usłyszysz jeszcze słowa uwielbienia!

Franval zamilkł i czekał na odpowiedź córki. Pograżyła się przez chwilę w głębokiej zadumie... Wreszcie rzuciła się w objęcia ojca.

– Najdroższy! – zawołała – ciebie będę kochać do ostatniej chwili swego życia! Czy możesz wątpić, po czyjej stronie stanę? Czy podejrzewasz moją determinację i odwagę? Włóż zaraz broń w moje dłonie, a ta, która godzi na twój spokój i bezpieczeństwo, padnie natychmiast pod moim ciosem! Naucz mnie, ojcze, co mam czynić, wyznacz mi zadania i uciekaj, skoro jest to konieczne dla twego ocalenia... Będę walczyła sama, będę ci o wszystkim donosiła... Czy jednak sprawy twoje zakończą się klęską czy zwycięstwem, nie wolno ci zostawić mnie samej w tym zamku, gdy zginie nasza nieprzyjaciółka... Musisz po mnie przyjechać, żądam tego, albo przynajmniej zawiadomić mnie niezwłocznie, dokąd mam pośpieszyć, aby się znowu z tobą połączyć.

– Ukochana! – zawołał Franval, ściskając w ramionach tę potworną istotę, którą tak zrezygnie potrafił sobie zjednać – wiedziałem, że znajdę w tobie miłość i stałość zdolne zapewnić nam wspólne szczęście! Weź tę szkatułkę... ukryta jest w niej śmierć!

Eugenia schwyła pudełko ze śmiertelnością zawartością i przytuliła się do ojca, ponawiając najgorętsze przysięgi. Uzgodnili dalsze postępowanie; Eugenia miała zaczekać na wynik procesu wytoczonego Franvalowi i dokonać zamierzonej zbrodni, jeżeli wyrok trybunału będzie dla ojca niepomysłny... Rozstali się; Franval pośpieszył pożegnać się z żoną; posunął swą obłudę i czelność do tego stopnia, że zalewał się łzami i nie zdradzając swych uczuć przyjmował od tego anioła dobroci wzruszające i naiwne pieszczoty, którymi chciała mu osłodzić rozstanie. Upewniwszy się wreszcie, że pani de Franval pozostanie z córką w Alzacji bez względu na wynik procesu, nędznik wskoczył na konia i śpiesznie opuścił Valmor... opuścił cnotę i niewinność, tylekroć znieważaną przez jego zbrodnię!

Zatrzymał się w Bâle, aby chroniąc się przed pościgiem i prześladowaniami, być jednocześnie jak najbliżej Valmoru i w czasie swej nieobecności utrzymywać z Eugenią stałą korespondencję Bâle leży w odległości dwudziestu pięciu mil od Valmoru, ale komunikacja między tymi miejscowościami jest dosyć łatwa, chociaż łącząca je droga biegnie przez środek Czarnego Lasu; w każdym razie Franval mógł otrzymywać listy od córki przynajmniej raz w tygodniu. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą poważne kapitały, przede wszystkim jednak nie gotowiznę, ale papiery wartościowe. Zostawmy go na razie w Szwajcarii i wracajmy do jego żony...

Intencje tej niezwyklej kobiety były najczystsze i najszczerze. Obiecała mężowi, że pozostanie na wsi aż do otrzymania nowych jego rozkazów, nic więc nie było w stanie zmienić tego postanowienia; codziennie upewniała o tym Eugenię. Niestety, dziewczyna była daleka od zaufania, jakie winna wzbudzać w niej czcigodna matka; podzielała wszystkie uprzedzenia Franwala, który podniecał je zresztą swoimi poufnymi listami; była przekonana, że na całym

świecie nie mogła mieć groźniejszej nieprzyjaciółki niż własna matka. Pani de Franval starała się ze wszystkich sił przezwyciężyć odrazę, którą ta niewdzięcznica żywiła dla niej w głębi serca. Darzyła ją przyjaźnią, obsypywała pieścotami, cieszyła się w jej obecności ze szczęśliwego pogodzenia z mężem; do tego stopnia posuwała swą słodycz i gorliwość, iż dziękowała nawet za to Eugenie i przyznawała jej całą zasługę nawrócenia Franvala. Rozpaczała wreszcie, iż stała się niechcący przyczyną nowych nieszczęść, grożących mężowi; daleka była od przypisywania Eugenie jakiegokolwiek winy, oskarżała się sama i przyciskając córkę do piersi pytała ze łzami, czy zdolna będzie kiedykolwiek jej to wybaczyć... Okrutne serce Eugenie było jednak niewrażliwe na te anielskie słowa; ta perfidna dusza ogłuchła na głos Natury, występki zamknął wszystkie drogi, którymi mógł on do niej dotrzeć... Chłodno wysuwała się z objęć matki, patrzyła na nią wzrokiem pełnym nienawiści i mówiła sobie w duchu dla dodania odwagi: „Jakże fałszywa jest ta kobieta... jak przewrotna! Pieściła mnie również i tego dnia, kiedy kazała mnie porwać.” Te niesprawiedliwe pretensje były jednak tylko ohydnyymi sofizmatami, którymi tak chętnie wspiera się zbrodnia, gdy chce stłumić głos sumienia. Pani de Franval kazała porwać Eugenię dla jej szczęścia i własnego spokoju, w interesie cnoty; miała więc prawo utaić swe zamierzenia. Podstęp taki może spotkać się z potępieniem tylko ze strony występnych, których zwodzi; nie obraża bynajmniej uczciwości. Eugenia opierała się czułościom pani de Franval, ponieważ pragnęła dopuścić się wobec niej strasznego czynu, bynajmniej nie z powodu grzechów matki, która z pewnością wobec swej córki niczym nie zawiniła.

Pod koniec pierwszego miesiąca pobytu w Valmorze pani de Franval otrzymała list od matki z wiadomością, że proces jej męża przybiera coraz groźniejszy obrót, a wobec niebezpieczeństwa haniebnego wyroku powinna natychmiast wrócić do Paryża razem z Eugenią, aby położyć kres krążącym plotkom i razem z panią de Farneille rozpocząć starania zmierzające do ułagodzenia trybunału i załatwienia sprawy Franvala bez konieczności wydawania go w ręce władz.

Pani de Franval, która postanowiła nie mieć przed córką żadnych tajemnic, pokazała jej natychmiast ten list. Eugenia popatrzyła uważnie na matkę i zapytała spokojnie, jak zamierza postąpić wobec tych smutnych nowin.

– Nie wiem – odpowiedziała z wahaniem pani de Franval. – Prawdą jest, że tutaj na nic się nie przydadamy. Czy pomoc moja nie byłaby dla twego ojca o wiele użyteczniejsza, gdybym poszła za radą swej matki?

– Ty decydujesz, mamó – odrzekła Eugenia – ja mam obowiązek słuchać cię we wszystkim, możesz być pewna że będę posłuszna...

Powiedziała to jednak tak oschle, że pani de Franval zrozumiała, iż rozwiązanie takie nie podoba się córce; odrzekła więc, że jeszcze zaczeka, a tymczasem odpisze pani de Farneille; Eugenia może być pewna, że jeśli uchybi nakazom męża, to jedynie wtedy, gdy przekona się ostatecznie, iż będzie mu bardziej pomocna w Paryżu niż w Valmorze.

Minął drugi miesiąc, Franval pisywał stale do żony i córki i otrzymywał od nich listy jak najbardziej go zadowolające, gdyż w jednych dostrzegał zupełną uległość wobec swych życzeń, w drugich zaś niewzruszoną stałość i gotowość popełnienia zamierzonej zbrodni, skoro tylko wymagać będzie tego sytuacja albo gdy pani de Franval zacznie ulegać naciskowi swej matki. „Jeśli zaś – pisała Eugenia w jednym z listów – twoja żona będzie nadal lojalna i szczerą, a przyjaciele w Paryżu doprowadzą twoje sprawy do szczęśliwego końca, przekażę w twoje ręce zadanie, którym mnie obarczyłeś, i sam go dopełnisz, gdy będziemy razem, a uznasz to za stosowne; chyba żebyś znowu kazał mi działać i uważał to za konieczne; wówczas wezmę wszystko na siebie, możesz być pewny.”

W odpowiedzi Franval raz jeszcze potwierdził to wszystko, co uprzednio nakazał córce. Były to ostatnie listy, które między sobą wymienili. Następną pocztą nie przyniosła od Eugenie żadnych wiadomości. Franval zaczął się niepokoić; kolejny kurier również nie przywiózł

listu; Franval wpadł w desperację, jego żywe usposobienie nie pozwalało mu czekać. Zdecydował się pojechać osobiście do Valmoru i przekonać się, jakie były powody tego milczenia, które tak okrutnie go niepokoiło.

Wyruszył konno razem z wiernym służącym. Zamierzał przybyć do zamku następnego dnia, jeszcze pod osłoną nocy, aby uniknąć rozpoznania. Jednakże na skraju boru, który otacza Valmor i łączy się od wschodu z Czarnym Lasem, zatrzymało ich sześciu uzbrojonych mężczyzn. Zażądali sakiewki... Złoczyńcy byli dobrze poinformowani, wiedzieli, z kim mają do czynienia, wiedzieli również, że Franval, uwikłany w niebezpieczną aferę nie rusza się w drogę bez dobrze wypchanego portfela i znacznej ilości złota. Służący stawiał bandytom opór; w chwilę potem runął bez życia pod kopyta swego konia. Franval zeskoczył z siodła ze szpadą w dłoni, rzucił się na nędzników, zranił trzech, ale został obezwładniony przez pozostałych. Zabrali mu wszystko, co miał przy sobie, choć nie zdołali wyrwać broni. Dokonawszy rabunku złodzieje zniknęli w lesie. Franval próbował ich ścigać, ale bandyci pognali tak szybko ze swym łupem i zrabowanymi końmi, że nie zdołał nawet zauważyć, w jakim kierunku się udali.

Zapadła ponura noc. Dął mroźny wicher, padał grad, wszystkie siły Natury zdawały się jednoczyć przeciwko temu nieszczęśnikowi. Można by sądzić, że w niektórych wypadkach Natura wzburzona zbrodniami człowieka, którego ściga swym gniewem, chce przygnieść go przed ostatecznym unicestwieniem wszystkimi ciosami, jakie ma w swej mocy. Franval, w podartym ubraniu, ze szpadą w dłoni, oddalał się śpiesznie od miejsca tragicznego wydarzenia i przedzierał w stronę Valmoru. Znał jednak słabo te okolice, w których przebywał dotąd tylko raz jeden, zbłądził między ciemnymi ścieżkami tego wielkiego i obcego lasu...

Wyczerpany zmęczeniem, przygnieciony bólem, rozdarty niepokojem, smagany burzą, upadł wreszcie na ziemię. Po raz pierwszy w życiu oczy jego zwilżyły się szczerymi łzami.

– Wszystko sprzysięgło się, aby zdruzgotać mnie nieszczęsnego! – zawołał. – Ręka Opatrzności przebiła cierpieniem moją duszę! Zwiedziony ułudą powodzenia nie znałem dotąd nieszczęścia... O ukochana, którą tak ciężko dotąd krzywdziłem, która w tej chwili jesteś już może ofiarą mej zawziętości i okrucieństwa... żono uwielbiana! Czy świat cieszy się jeszcze twoim istnieniem? Czy ręka Opatrzności zdołała wstrzymać cios przeze mnie przygotowany?... Eugenio, dziewczyno ławowierna, niegodnie zwiedziona moimi haniebnymi podstępami... czy głos Natury skruszył twoje serce, czy zapobiegł skutkom mojej namowy, a twej słabości? Czy jeszcze jest czas? Czy mam jeszcze czas, Boże sprawiedliwy?

Nagle dobiegł go z dala posepny i majestatyczny dźwięk licznych dzwonów... Odbijając się od niskiego sklepienia chmur przejmował jego duszę zgrozą. Zamilkł przerażony.

– Co to? – zerwał się z ziemi. – Córko niegodziwa! Czy to już śmierć? Zemsta!? Czyżby piekło dokończyło mego dzieła? Te dzwony... gdzie jestem? Skąd je słyszę? Dobij mnie. Boże! Dobij występnego! – A padając na kolana zawołał: – Wielki Boże! dopuść, bym złączył swój głos z błaganiami tych wszystkich, którzy w tej chwili wzywają twego zmiłowania! Wiedzisz me wyrzuty sumienia i moje cierpienie, przebaczone, że cię dotąd nie znałem... Racz wysłuchać błagania... pierwszego błagania, które ośmielałem się zwrócić ku tobie!

Istoto Najwyższa! Ocal cnotę, ratuj tę, która była twym najpiękniejszym obrazem na ziemi! Niechaj te dzwony... te straszne dzwony nie okażą się sygnałem zbrodni, która przejmuję mnie przerażeniem!

Franval, niemal oszalały, nieświadomy, co czyni, powlókł się drogą, wyrzucając z siebie bezładne słowa... Nagle usłyszał daleki tętent... ktoś zbliżał się ku niemu; wytężył słuch; drogą pędził na koniu jakiś jeździec.

– Kimkolwiek jesteś – zawołał Franval, rzucając się ku nadjeżdżającemu – kimkolwiek jesteś, zlituj się nad nieszczęsnym, zdruzgotanym przez cierpienie! Gotów jestem targnąć się na swe życie! Pomóż mi, ratuj mnie, jeśliś człowiekiem i masz Boga w sercu! Ocal mnie przed własnym moim obłąkaniem!

– Boże! – odpowiedział mu głos dobrze znajomy. – To pan? Tutaj?! O nieba! Wstrzymaj się!

I Clervil... gdyż był to właśnie Clervil, szlachetny kapłan uwolniony z więzienia Franvala, którego los zesłał na pomoc nieszczęśliwemu w najtragiczniejszej chwili życia, zeskoczył z konia i schwycił w objęcia swego zawziętego wroga.

– A więc to ty księże – wyszeptał Franval, przyciskając do piersi czcigodnego starca – to ty, wobec którego tak strasznie zawiniłem...

– Niech się pan uspokoi! Proszę się uspokoić! Uwolniłem się od nieszczęść, które na mnie spadły, nie myślę już i o tych, które pan na mnie ściągnął, skoro z woli bożej mogę służyć panu swoją pomocą.. Okrutna to będzie usługa, którą mam panu oddać, ale niestety konieczna... Usiądźmy... Spocznijmy u stóp tego cyprysa, przystoi ci teraz tylko żałobny wieniec z jego liści. Drogi panie de Franval, jakże straszne są wieści, które ci przynoszę! Płacz, przyjacielu, łzy ulżą twemu cierpieniu; niestety, muszę ci zadać jeszcze większy ból... Minęły dni radości, przepadły dla ciebie jak piękny sen, zostały ci teraz jeno dni rozpacz i cierpienia.

– Rozumiem, księże... Te dzwony...

– Zanoszą do stóp Najwyższej Istoty żal i modły zrozpaczonych mieszkańców Valmoru, którym Przedwieczny zesłał anioła po to tylko, aby go oplakiwali i żalowali...

Słyszając te słowa Franval oparł o pierś ostrze szpady i chciał przeciąć nić swego żywota. Ale Clervil odepchnął broń i zawołał:

– Nie, przyjacielu, nie śmierci winienesz teraz szukać, lecz pokuty i zadość uczynienia za swe zbrodnie! Wysłuchaj mnie, wiele mam ci do powiedzenia, musisz się uspokoić, by zrozumieć, co zaszło w zamku Valmor...

– Mów, księże, słucham! Wbijaj mi powoli sztylet w serce, godzi się, bym przeżył te same męczarnie, które chciałem zadawać innym...

– Nie będę się rozwodził nad swoją historią – mówił Clervil. – Po kilkumiesięcznym pobycie w strasznym więzieniu, do którego kazał mnie pan wtrącić, udało mi się wzruszyć mojego strażnika. Pewnej nocy otworzył mi bramy. Polecilem mu, aby jak najstaranniej utaił przed światem niesprawiedliwość, której się pan wobec mnie dopuścił. Będzie milczał, drogi panie de Franval, nie zdradzi się ani słowem...

– Och! drogi księże...

– Proszę mnie słuchać, powtarzam, mam ważne rzeczy do opowiedzenia: Po powrocie do Paryża dowiedziałem się o nieszczęsnej pańskiej aferze, o twoim wyjeździe... Płakałem razem z panią de Farnelle, łzy jej były szczere, może mi pan wierzyć... Dokładałem wspólnie z nią starań, aby nakłonić panią de Franval do odwiezienia do nas Eugenii; potrzebniejsze były w Paryżu niż w Alzacji. Nie pozwolił jej pan jednak opuszczać Valmoru... była posłuszna, zawiadomiła nas o tym rozkazie, zwierzyła się z odrazy, jaką budziła w niej myśl o jego złamaniu. Wahala się długo... Ale wreszcie zapadł w pana sprawie wyrok skazujący... Jesteś potępiony, Franval... Masz ponieść karę śmierci jako winny morderstwa na publicznym trakcie. Ani zabiegi pani de Farnelle, ani starania twych krewnych i przyjaciół nie były w stanie powstrzymać miecza sprawiedliwości. Jesteś zrujnowany, wszystkie twoje dobra będą skonfiskowane...

Widząc gwałtowne poruszenie Franvala Clervil zawołał:

– Słuchaj mnie! Żądam tego jako pokuty za tve zbrodnie! Żądam w imieniu niebios, które skrucha twoja może jeszcze przebłagać! A więc – mówił dalej – skoro to nastąpiło, napisaliśmy natychmiast list do pani de Franval, przedstawiliśmy jej całą sytuację. Matka powiadomiła ją, że powrót do stolicy stał się teraz konieczny; wysłała mnie do Valmoru, abym nakłonił ją do wyjazdu. Dążyłem w ślad za kurierem, który wiozł nasz list; niestety, przybył do zamku wcześniej ode mnie. Przyjechałem za późno... twój potworny spisek udał się całkowicie. Zastałem panią de Franval na łożu śmierci. Och! co za zbrodnia!... Ze względu na pański stan daruję ci już te wyrzuty... Słuchaj dalej! Eugenia nie wytrzymała tego widoku. Kiedy

przyjechałem do zamku, pogrążona była w rozpacz, zalana łzami, rozslochana... Panie de Franval, jakże opisać ci tę straszną scenę... Żona twoja konała, wstrząsana potwornymi konwulsjami... Eugenia krzyczała w zapamiętaniu, wyznawała, że jest winna, błagała o śmierć, chciała targnąć się na swoje życie, czołgała się u naszych stóp, obejmowała matkę za szyję i chciała ożywić ją własnym oddechem, ocucić łzami, wzruszyć swymi okropnymi wyrzutami sumienia... Taki to bolesny widok przedstawił się moim oczom. Kiedy wszedłem do sypialni, pani de Franval poznała mnie... Chwytała mnie za rękę, chciała mówić... Zdołała wyszeptać kilka słów, które z trudem zrozumiałem, które z wysiłkiem wydobyły się z jej piersi, zdławionej atakiem jadu... Przebaczała ci... prosiła Boga o zmiłowanie nad tobą, błagała przede wszystkim o łaskę dla córki... Widzisz, bezbożny człowiecze... Ostatnie słowa, ostatnie westchnienie kobiety, którą zabiłeś, były do ciebie zwrócone... Starłem się ją ratować, czuwałem nad służbą, posłałem po najlepszych lekarzy. Pocieszałem Eugenię; stan jej był tak okropny, że nie potrafiłem odmówić jej swego miłosierdzia... Na nic to się nie zdało. Twoja nieszczęśliwa żona zmarła w konwulsjach, w męczarniach trudnych do opisania. W tym tragicznym momencie byłem świadkiem niespodziewanego skutku wyrzutów sumienia, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Eugenia poszła w ślad za matką, zmarła w chwilę po niej. Myśleliśmy początkowo, że tylko zemdlą... Ale zgasły w niej wszystkie oznaki życia... zmysły jej doznały szoku, który ją zabił umarła naprawdę wskutek gwałtownego wstrząsu spowodowanego wyrzutami sumienia, boleścią i rozpaczą... Tak, przyjacielu, straciłeś obie! Te dzwony, których dźwięk brzmi ci jeszcze w uszach, odprowadzają na wieczny spoczynek dwie istoty zrodzone dla twego szczęścia, które padły ofiarą twych zbrodni i swojego do ciebie przywiązania... ich krwawe wspomnienie ścigać cię będzie aż do grobu!

– Drogi panie de Franval! – zawołał Clervil. – Czy nie miałem racji, nakłaniając cię swego czasu, abyś cofnął się znad przepaści, w którą spychały cię namiętności? Ośmielisz się nadal ganić i wyszydzać bojowników cnoty? Czy niesłusznie dumni są oni ze swej postawy, skoro widzą wokół zbrodni i grzechu tyle nieszczęść i klęsk?

Clervil zamilkł. Spojrzał na Franvala; nieszczęsny siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię, z oczu płynęły mu łzy, nie odzywał się ani słowem. Ksiądz zaczął go wypytywać, w jaki sposób znalazł się w lesie, i to w ubraniu tak poszarpanym. Franval w paru słowach opowiedział mu swoją przygodę.

– Ach! panie de Franval! – zawołał szlachetny kapłan – jakże czuję się szczęśliwy, że pośród tylu klęsk mogę chociaż w małym stopniu przyczynić się do złagodzenia twego losu! Jechałem do Bâle, aby znaleźć pana i o wszystkim powiadomić, aby ofiarować ci pomoc... Przyjmij ją, zaklinam cię! Wie pan dobrze, że nie jestem bogaty... ale oto sto ludwików, to wszystkie moje oszczędności; weź je! Żądam tego od pana!

– Człowieku wspaniałomyślny! – zawołał Franval, padając do nóg tego szlachetnego i nie zwykłego przyjaciela. – Mnie to ofiarujesz? Boże! Czyż potrzebuję czegokolwiek po stratach, które poniosłem? I to ksiądz... ksiądz, z którym tak niegodziwie się obszedłem! Ty śpieszysz mi z pomocą?

– Trzeba zapomnieć o własnych krzywdach, kiedy nieszczęście przygniata ich sprawcę; jedyna zemsta, która przystoi nam w takiej sytuacji, to pośpieszyć mu z pomocą! Jakże się nad nim znęcać, skoro i tak rozdarty jest cierpieniem i wyrzutami sumienia? Oto głos Natury! Widzi pan teraz, że kult Istoty Najwyższej w niczym mu się nie sprzeciwia, chociaż dawniej tak sądziłeś, że skłonności, które w nas inspiruje, są w rzeczy samej najświętszymi prawami boskimi...

– Nie, księżę – odpowiedział Franval, podnosząc się z ziemi – niczego mi już nie trzeba. Bóg zostawiając mi ten ostatni skarb – wskazał na szpadę – pouczył mnie, jaki mam z niego zrobić użytek... Drogi przyjacielu – mówił ściskając szpadę w dłoni – to jest ta sama broń, którą moja ukochana małżonka schwyciła pewnego dnia, aby przebić sobie nią pierś, kiedy nie mogła już znieść moich oszczerstw i niegodziwości. Ta sama... może jeszcze widać na

klindze kropelki jej zaschłej krwi... Trzeba, abym obmył ją własną... Chodźmy! Znajdziemy jakąś chatę, gdzie będę mógł podyktować ci swoją ostatnią wolę... a potem rozstaniemy się na zawsze.

Ruszyli... Szukali drogi, która mogła ich zaprowadzić do najbliższego osiedla. Noc okrywała coraz cięższym kirem opustoszały las... Z daleka dały się słyszeć jakieś ponure pieśni nikły blask kilkunastu pochodni rozjaśnił mrok; migocące płomienie dodawały grozy całej tej scenierii, mogłaby ona przejąc dreszczem dusze czułe i wrażliwe... Dalekie dzwony były znowu coraz mocniej... ponure ich głosy mieszały się z grzmotami, które blaskiem błyskawic przecinały niebo i ginęły w oddali. Ognie niebieskie rozrywające co chwila chmury i przygaszające blask pochodni zdawały się odmawiać mieszkańcom ziemi prawa złożenia do grobu tej, którą wiózł niesamowity kondukt. Groza panowała dokoła, las dyszał rozpaczą, można by sądzić, że wieczysta żałoba okryła naturę.

– Co to? – zawołał z przerażeniem Franval. – Nic... nic... – odpowiedział Clervil, ściskając dłoń nieszczęśliwego i próbując sprowadzić go z drogi.

– Nic? Oszukujesz mnie, księżu, ja wiem, co to za pochód śpieszy tą drogą...

Pobiegł naprzód... zobaczył trumnę.

– Boże sprawiedliwy! – zawołał. – To ona! To ona, Bóg pozwolił, abym raz jeszcze mógł ją zobaczyć!

Clervil widząc, że niepodobna powstrzymać nieszczęśnika, skinął na kapłanów, usunęli się w milczeniu. Oszałały Franval rzucił się na trumnę, wyciągnął z niej śmiertelne szczątki kobiety, którą tak boleśnie znieważył; ściskając zwłoki w ramionach zawlókł je pod drzewo, złożył na trawie i padł obok w szale rozpacz.

– O najdroższa! – wołał odchodząc od zmysłów – zamordowałem cię, uwielbiona! A teraz błagam u twych stóp przebaczenia i zmiłowania! Nie po to, bym miał cię przeżyć... ale w nadziei, że Przedwieczny wzruszy się twą niewinnością i raczy, jeśli to możliwe, przebaczyć mi tak samo, jak ty mi wybaczyłaś... Masz prawo do mojej krwi, umiłowana! Potrzeba ci krwi, abyś była pomszczona... i zostaniesz pomszczona w tej godzinie! Patrz na moje łzy, na moją skruchę! Pójdę za tobą, najdroższa... kto jednak przyjmie moją udręczoną duszę, jeżeli ty nie wstawisz się za nią? Odrzucona przez Boga i przez ciebie, miałażby cierpieć wieczyste męki piekielne, chociaż tak jest rozdarta najszczerszą skruchą i żalem za swe zbrodnie? Przebacz, ukochana, przebacz me niegodziwości i patrz, jak zostaną pomszczone.

Odwrócił się tyłem do Clervila, zwrócił przeciw sobie ostrze szpady i pchnął się straszliwie, przebijając pierś na wylot; krew buchnęła na zwłoki ofiary; zdawała się być dla nich bardziej zniewagą niż zadośćuczynieniem.

– Umieram, przyjacielu – wyszeptał do Clervila. – Umieram w najstraszliwszych wyrzutach sumienia. Powiedz moim najbliższym, jak nędzny był koniec moich zbrodni... powiedz, że tak właśnie winien umierać niewolnik namiętności, podły zbrodniarz, zdolny stłumić w swym sercu głos obowiązku i Natury. Złóżcie mnie w trumnie obok nieszczęśliwej małżonki, niegodzien byłbym tej łaski, gdyby nie żal i skrucha... one tylko dają mi prawo do wiecznego razem z nią spoczynku... Błagam o to! Żegnaj, księżu...

Clervil wysłuchał prośby nieszczęśnika... kondukt ruszył dalej. Grobowiec skrył na wieki śmiertelne szczątki dwojga małżonków zrodzonych dla wzajemnej miłości, przeznaczonych dla wspólnego szczęścia, którego na pewno by zakosztowali, gdyby zbrodnia i szaleńcza rozwiązłość nie zmieniła występłą ręką jednego z nich wszystkich róż żywota w jady i ciernie.

Zacny duchowny zawiózł do Paryża relację o tym tragicznym końcu trojga istot. Nikt nie żałował Franvala, ale żona jego była powszechnie opłakiwana; ubolewano nad jej losem. Czy można wśród kobiet wytwornych i zwracających ku sobie wzrok mężczyzn znaleźć podobną, która by po to jedynie czciła i praktykowała wszelkie cnoty ziemskiego żywota, aby spotykać na każdym kroku tylko nieszczęście i cierpienie?

SPIS RZECZY

Wstęp
Florville i Courval
Eugenia de Franval